

Konrad T. Lewandowski

## KSIN

ORBITA Spółka z o.o. Warszawa 1991

### PRZYBYSZ

#### Wygrana śmierć

Przeciągłe, wibrujące wycie wilkołaka rozległo się gdzieś w głębi mrocznego matecznika. Śpiew słowika urwał się, ucichły świerszcze. Nawet wiatr zamarł i wszystkie cienie znieruchomiały. Jeden tylko wielki, okrągły księżyc trwał niczym nie wzruszony, siejąc mocną, złocistą poświatą.

Ksin przystanął na moment i zwrócił głowę w stronę, z której doleciał go głos. Oceniał odległość. Było blisko. Za blisko.

Ruszył dalej. Długim susem przesadził strumień i biegł, prawie nie dotykając spiczastych traw. Śpieszył się, lecz to nie strach go poganiał. Powodem był Korzeń. Korzeń dla Starej Kobiety, która tak bardzo go potrzebowała. Czuł, że czasu już mało i dlatego chciał zdążyć. Musiał zdążyć.

Wypadł z pomiędzy drzew na niewielką polanę i stanął jak wryty. Instynkt tylko na małą chwilę wyprzedził wzrok. Teraz zobaczył. Przypadł do ziemi, jeżąc sierść na grzbiecie.

- Jednak nie biegłem dość szybko, musiał obejść - pomyślał, patrząc na kształt, który wynurzył się przed nim.

Wilkołak był zaskoczony, szedł przecież śladem człowieka, już wyobrażał sobie, smakował świeżą krew i ciepłe drgające jeszcze mięso, a tu...

Dwie pary świecących oczu niemo wpatrywały się w siebie: czerwonosine wilkołaka i zielonkawę Ksina.

- Odejdzie, czy nie odejdzie? - zastanawiał się Ksin.

Nie odchodził. Nie mógł się zdecydować. Czuł człowieka, widział kotołaka i nie pojmował tego.

Ksinowi obrzydło czekanie, poderwał się nagle i runął wprost na tamtego. Chciał tylko wolnej drogi, nie zwady. Odbił się i wyprężył jak struna, przelatując wysoko nad łbem wilkołaka.

I to był błąd, nie docenił napastnika. W ułamku sekundy ziejąca smrodem morda znalazła się tuż pod nim, a szerniałe kły wbiły się w jego udo, nieomal wyrrywając kawał ciała.

Ksin zwinął się w kłęb i runęli na ziemię, aż jęknęła od podwójnego ciosu. Drzewa zatrzęsły się od przeraźliwego ryku, który wypełnił już cały las.

Zakręcili się w opętańczym tańcu, a strzępy darni i fontanny ziemi rozpryskiwały się na wszystkie strony. Zwarli się ciasno i miotali tak gwałtownie, że Ksin nawet nie

usiłował wyciągnąć pazurów. Każda próba uwolnienia łap mogła mieć tylko jeden koniec: ucieczkę wilkołaka wraz z częścią jego nogi. Nie miał wyjścia; wypuścił Korzeń i ostro skręcając łeb, wgrzył się wolnym już pyskiem w krtań napastnika. Wycie zamieniło się w charkotliwy bełkot.

Gdyby miał zęby takie, jak te, co wpiły się w niego, byłoby już po walce. Ale jego były krótsze i tkwiły w dużo mniejszej paszczy. Jednak zrobiły swoje - wilkołak puścił i w tym samym momencie uczynił to Ksin.

Odskoczyli od siebie.

Ksin prychnął i warknął gardłowo. Odpowiedziało mu tylko chrypienie wilkołaka. Rzucił kilka szybkich spojrzeń - nigdzie nie dostrzegł Korzenia. Nie było czasu na szukanie, wyprostował się i powoli unióś w górę ramiona. Napiął mięśnie. Miękkie opuszki rozchyliły się i potężne szpony w księżycowej poświacie rozbłysły jak polerowana stal.

Wilkołak zamilkł, sprężył się i zaszarżował, rozchylając szczęki. Kły przeciw pazurom. Starcie było szybkie jak myśl, ale Ksin był jeszcze szybszy i nie popełnił już błędu. Dwa ciosy zerwały napastnikowi z pyska wszystkie mięśnie i ścięgna, odsłaniając nagą kość oraz wrosnięte w nią zęby, które bezsilnie chwyciły powietrze w miejscu, gdzie przed momentem stał Ksin.

Wilkołak zarył łbem w trawę i przekoziółkował przez plecy. Natychmiast wstał i znów zaatakował, tym razem z wysoko. Spotkali się w powietrzu.

Skóra na ramieniu kotołaka rozdarła się z trzaskiem, ale dwa jego pazury trafiły wprost w jedno z sino jarzących się ślepi i wyrwały je razem z kawałem kości czaszki.

Jęk wilkołaka w niczym nie przypominał już tego, co Ksin usłyszał na samym początku - teraz była to przeraźliwa skarga upiora. Na wpół oślepiony zaczął cofać się w stronę drzew, ale Ksin nie pozwolił mu uciec. Pałący ból w nodze i łapie zaćmił wszystko oprócz pragnienia zemsty.

Wykorzystał zdobytą przewagę i zaszedł go od strony wylupionego oka...

Rwał, gryzł i szarpał, czując jak ciało tamtego ustępuje pod jego szponami. Ogarnęła go zwierzęca radość i uniesienie. Rozkosz mordowania. Jej szczyt nastąpił wtedy, gdy jego tylne pazury rozpruły wilkołakowi brzuch i zaplątały się w jelitach. Na krótko, bo te porwały się jak marne sznureczki.

Nareszcie odstąpił i spojrzał na swoje dzieło. Potwór leżał bez ruchu, nie wydając żadnego dźwięku, ale żył. Światło jak gdyby skupiło się nad nim, tworząc wyraźny, oddzielny snop łączący go ze świecącą wysoko na niebie tarczą...

Ksin podlegał tym samym prawom i wiedział, że oznacza to, iż żadna z ran, które zadał, nie jest tak naprawdę śmiertelna i chociaż starczyłoby ich do zabicia dziesięciu zwykłych ludzi, to jednak wilkołak ozdrowieje jeszcze tej samej nocy.

I rzeczywiście: wyprute wnętrzności zaczęły się poruszać, początkowo bezładnie, lecz już po chwili, niczym wielkie białe glisty, z powrotem wpełzały do otwartego brzucha. W trawie coś zaszeleściło: nie musiał patrzeć, aby upewnić się, że tam toczy się teraz owo skrwawione oko, wlokąc za sobą odłupany kawałek czaszki.

Nie miał ochoty na nową walkę i wiedział, co powinien zrobić. Podszedł bez pośpiechu i lewą łapę oparł na gardle leżącego. Prawą uderzył mocno. Zwarł pazury, ściskając zebra i mostek jak chrust, w jeden pęczek. Pociągnął. Rozległ się ostry,

wielokrotny trzask i chrzęszczące młaśnięcie. Cisnął na bok wyrwany ochłap, po czym sięgnął po odsłonięte, trzepoczące źródło życia i mocy...

Posoka bluznęła na boki. Podniósł się z sercem w łapach i patrzył. Tylko dwie rzeczy mogły pokonać moc magii nekrokreatywnej; srebrny pocisk lub miedziane ostrze albo pazury istoty pokrewnej - właśnie takiej jak on...

Niczym kawał szmaty rozerwał zdobycz na strzępy i rozrzucił. Reakcja była natychmiastowa; struga opalizującego światła postrzępiła się i zgasła, a wszelki ruch ustał. Zerknął w dół. Przemiana już nastąpiła... U stóp kotołaka leżał teraz zmasakrowany trup człowieka. Przyjrzał się: twarzy właściwie nie było, ale dłonie zabitego świadczyły, że musiał to być młody mężczyzna; mniej więcej w wieku Ksina...

- Jeśli rodzina odnajdzie go i jakimś cudem rozpozna - pomyślał - na zawsze pozostanie dla nich tylko ofiarą i nikt nigdy nie dowie się prawdy o nim...

Zaniepokoił się; stracił przecież tak wiele czasu! Pośpiesznie odszukał Korzeń i pobiegł w noc.

\* \* \*

Zarys chaty pojawił się między drzewami. Przyśpieszył. Po chwili las był już za nim. Ogarnął go lęk; Cienie Śmierci, które kiedy odchodził, błąkały się jeszcze na skraju zarośli, teraz podeszły aż pod sam dom. Bezkształtne i nieokreślone snuły się, polatywały, aby zaraz rozplątać się w powietrzu i znowu ukazać. Dopóki trwała pełnia, widział je, później potrafił jedynie odczuć ich obecność; tak samo jak pies przewidujący nieuchronny zgon swego pana... Jednakże ani teraz, ani kiedykolwiek nie było w jego mocy rozproszyć ich lub przegonić - one istniały tylko jako pewien rodzaj emanacji umierającego...

Starając się nie patrzeć na zawieszony nad drzwiami Znak, chyłkiem przestąpił próg i przypadł do łoża.

Stara Kobieta z wysiłkiem otworzyła oczy.

- Jesteś... - wyszeptała.

Pochylił się do przodu i otworzył pysk - Korzeń spadł na posłanie. Jej dłoń drgnęła, przesunęła się i szukała, aż w końcu palce natrafiły i rozpoznały poskręcany kształt. Uśmiechnęła się słabo.

- Za późno synku... - powiedziała to bardzo cicho, ale wyczuł w tych słowach i żal, i ulgę zarazem.

Wcześniej obawiał się tego, ale teraz, gdy ujrzał Cienie, zyskał tę straszną pewność, która nappełniła mu duszę rozpaczą. Stara Kobieta osłabła tak bardzo, że nie mogła już sama przyrządzić sobie leku, a jego potężne, lecz niezgrabne łapy nie mogły wykonać tej delikatnej pracy.

Do chwili, w której odzyskać miał ludzki wygląd, brakowało mu jeszcze kilka godzin...

Był bezsilny. Położył łeb na skraju posłania i czekał. Nic innego nie mógł zrobić, a Cienie Śmierci przeniknęły już ściany i tańczyły w izbie.

Ręka Starej Kobiety uniosła się i opadła na jego głowę. Gładziła krótką sierść, muskała uszy. Gdy natrafiła na kosmyk sztywny od zakrzepłej wilkołaczej krwi,

zneruchomiała na moment. Potem znów poczuł słabnącą pieśczołę. Zrozumiał, że domyśliła się wszystkiego.

Upływał czas i nic nie zmieniło się, tylko Cienie ocierały się już o niego. Zamknął ślepią, by na nie nie patrzeć.

- Cieszę się, że jesteś przy mnie - usłyszał nagle zupełnie wyraźnie.

Były to jej ostatnie słowa. Dłoń, którą czuł na sobie, opadła bezwładnie. Cofnął się, spojrział: leżała z zamkniętymi oczami i już nie oddychała. Cienie zniknęły.

Gdyby był wilkołakiem, być może zawyłby teraz, lecz on nie umiał nawet ronić łez, ale potrafił kochać...

Pochylił się i zaczął lizać jej stygnącą rękę. Tę dobrą rękę, która, choć nigdy nie sprawiła mu bólu, pokryta była siecią głębokich bruzd - starych śladów jego kłów i pazurów.

Siedział tak odrętwiały ze smutku i żalu, że nawet nie zauważył godzin, które minęły. Dopiero lekki dreszcz, jaki wstrząsnął jego ciałem, przypomniał mu o tym, co miało stać się za chwilę...

Tępy ból ocknął się gdzieś w głębi mózgu i narastał pulsując szkarłatem. Rósł, potężniał, nadymał się, rozsadzając czaszkę, i nagle, jak lodowaty piorun, strzelił wzdłuż kręgosłupa. Ksin wydał zdławiony skowyt i padł, skręcając się w drgawkach. Pysk, łapy ogarnął żywy ogień. Kości gięły się i zwijały jak wiotkie gałązki, a mięśnie puchły i sztywniały na przemian. Zęby cofały się w głąb szczęk, które w spazmatycznych zrywach zmniejszały swą długość. Miał wrażenie, jakby wydzierano mu oczy, miażdżono palce i nogi. Sierść w rytm Przemiany kryła się pod obrzmiałą skórą.

Nareszcie cierpienie przesiliło się i szybko zaczęło słabnąć. Po chwili w miejscach objętych Przemianą pozostało już tylko delikatne mrowienie, które wkrótce znikło. Ksin podniósł się z podłogi i usiadł, teraz już mógł płakać...

Ukrył twarz w dłoniach i bezgłośny szloch wstrząsnął jego barkami. Trwało to jakiś czas. Dotkliwy chłód poranka kazał mu wreszcie pomyśleć o sobie - był przecież zupełnie nagi. Wstał i sięgnąwszy po swoje ubranie, które zdjął tuż przed pełnią, zaczął się pośpiesznie ubierać. Gdy skończył, znów spojrział na ciało Starej Kobiety. Teraz dopiero dotarło do niego, jak bardzo jest sam.

- Nie ma jej, już nie ma... - poraziła go nowa fala smutku. Pozbierał się jakoś.

Ostatni raz popatrzył na tę dobrą twarz, ucałował lodowate policzki i nakrył ciało.

Rozejrzał się po izbie, znalazł sznur i jeszcze kawał tkaniny. Zabrał się do roboty. Niebawem leżał przed nim podłużny, nieforemny tłumok.

Stał wyprostowany, jasnowłosy, a jego zielone oczy zapatrzyły się gdzieś... hen daleko...

- Tak długo była tu przy mnie..., była zawsze... - powiedział cicho do siebie.

Znalazła go dawno temu. Był paromiesięcznym niemowlęciem. Leżał porzucony na jakimś pustkowiu, przygwożdżony do ziemi trzema osikowymi kołkami. Oprawcy przesadzili - dlatego przeżył. Całkowicie wystarczyłby jeden, ale wbity w serce. Te trzy akurat je ominęły - znalazło się między nimi - i jego kocia żywotność wykorzystała szansę.

Kobieta uwolniła go, opatrzyła rany, po których nie został żaden ślad, i nakarmiła. Szybko wyzdrowiał.

Musiła domyślać się kim jest, a jednak któreś nocy, gdy mały gaworzący na swoim łóżeczku bobas zamienił się w szalejącego potworka, dała się zaskoczyć. Nawet zlekceważyła go, nie podejrzewając, jak potężna siła i nienawiść wstąpiła w jego małe ciało. Rzucił się na nią opętany morderczym szalem. Walczyli długo. Ona robiła wszystko, aby nie zrobić mu krzywdy, on chciał tylko zabić. Bardzo ją wtedy pokaleczył, a zwłaszcza ręce.

Na drugi dzień, gdy płakała z bólu, on jak zwykle krzykiem domagał się swojego mleka.

Nie zemściła się ani nie ukarała go. Wciąż pielęgnowała najlepiej, jak tylko umiała. Stała się jedynie ostrożniejsza i kiedy nadchodziła pełnia, zabezpieczała się przed nim. Jednakże nawet wtedy nie próbowała go wiązać, czy zamykać. Przeciwnie, raczej sama kryła się albo uciekała, dając mu całkowitą swobodę. Nie groziło to nikomu, gdyż najbliższe osady były oddalone o wiele godzin marszu.

Nigdy nie dowiedział się, dlaczego przybyła na to przeraźliwe pustkowie i zamieszkała tutaj. Nie była czarownicą, prostą wieśniaczką też nie. Prosiła go, aby nie pytał, więc uszanował jej wolę.

Pierwsze lata przebiegały tak samo; przeważnie był zdrowym, roześmianym chłopczykiem, uwielbiającym bawić się i biegać, a czasami, zwykle na kilka nocy w miesiącu, gdy niebo było pochmurne, stawał się krwiożerczym upiorem. Wtedy to z całą bezwzględnością polował na tę, do której za dnia zwracał się „mamusiu”...

Rósł, a z czasem zaczął dostrzegać i pojmować to, co się w nim działo. Któregoś dnia, po powrocie do ludzkiej postaci, przyniósł jej bukiet zebranych w lesie kwiatów. Przepraszał i płakał. Nie musiał tego robić, bo ona i tak nigdy nie gniewała się.

Potem pojawił się bunt i wstręt do samego siebie. Poczucie winy i wstydu rosło razem z nim. Nabierało mocy. Coraz bardziej kochał Starą Kobietę. Tym więcej, im bardziej mógł pojąć i ocenić jej dobroć. Ta miłość potężniała i łącząc się z przepelniającym go gniewem, z coraz większą siłą napierała na skoncentrowany w nim ładunek nienawiści.

Z każdą kolejną Przemianą coraz wyraźniej przypominał sobie, kim był za dnia, aż wreszcie nastąpił przełom. Zbliżył się wówczas do jej kryjówki i zapiszczał. Odgadła, że zaszło coś niezwykłego. Odważnie wyszła. Tkwiące w nim zło podjęło ostatnią próbę; był cały rozdygotany, gdy podchodziła do niego. Wyciągnęła rękę. Te bliźny! Uciekł, bojąc się, że nie wytrzyma. Po chwili jednak stanął i znów zaczął iść w jej stronę. Dotknęła go, pogłaskała po grzbiecie i nagle ponury czar prysł. Przypadł do niej, mrużąc i łaszcząc się jak zwyczajny kot, a ona tuląc go długo płakała ze szczęścia...

Jedną tylko rzecz pozostała zagadką - dlaczego nie odzyskał w tym momencie ludzkiej postaci. Dopiero później, kiedy zaczął dojrzywać, okazało się, co było powodem.

Nie był człowiekiem. Tkwiło w nim za wiele kocich cech - to właśnie one ujawniły się w owym okresie. Miał owalne, a nie okrągłe źrenice, inaczej niż wszyscy ukształtowane kości policzkowe, trochę nietypowy głos, odmienne paznokcie oraz mnóstwo innych, czasem nawet trudnych do dostrzeżenia szczegółów, nie mówiąc już o gibkości, zwinności, czy sposobie poruszania się.

Był mieszańcem i tkwiła w nim pewna część czysto zwierzęcej natury, która na trwałe wchłonęła w siebie działanie magii. I tak, zawsze gdy księżyc świecił mocnym i jasnym blaskiem, stawał się kotołakiem. Lecz niczym więcej. W formie człowieka czy półzwierzęcego demona był ciągle sobą: radosnym, pełnym życia Ksinem, który potrafił kochać...

Ksin - dziwne imię. Stara Kobieta opowiadała, że jego pierwsza Przemiana nastąpiła właśnie w chwili, gdy zastanawiała się, jak go nazwać. Nagle usłyszała z kołyski prychnięcie rozjuszonego kota. Później zdrobniła i skróciła ten dźwięk i tak zostało.

Był jeszcze czas, w którym męczyła go własna inność, szukał swojego miejsca. Nic chciał być taki jedyny i niepowtarzalny. Nie człowiek i nie upiór.

Wszystkie piekielne stwory, od których roiała się okolica, traktowały go zazwyczaj jak swego. Czasem tylko mylił je ludzki zapach, jakim przesiąknął, żyjąc obok swej opiekunki; tak jak tego wilkołaka dzisiejszej nocy. Jednak nigdy nie czuł się z nimi dobrze. Mówiąc prościej; nie znosił ich.

Mimo to znał doskonale.

Wampiry na przykład wylaziły, gdy pełny księżyc przysłaniały lekkie obłoki - nie lubiły bowiem nazbyt jasnego światła i nie były tak tępe jak wilkołaki; nigdy nie zmylił ich zapach. Ksin nie ulegał wtedy Przemianie, a zawsze lubił buszować w nocy po lesie. Spotykał je często, a jeśli nie, to i tak zawsze wiedział, w którym miejscu się czają. Odnosiły się obojętnie, czasem schodziły mu z drogi, dobrze wyczuwając, iż jego krew jest dla nich śmiertelną trucizną. W związku z tym wynalazł ciekawą zabawę; lekko kaleczył się w obecności wampira. Ten zaś, poczuwszy krew, od razu wpadał w trans i zaczynał się miotać. Jego instynkt samozachowawczy walczył z neodpartym pragnieniem ssania. To drugie zawsze ostatecznie zwyciężało. Przypadał i spijał ściekające krople, aby za chwilę z wyciem i w konwulsjach rozsypać się w proch.

Była to ulubiona szczeniacka zabawa Ksina.

Wilkołakami gardził, chyba nawet bardziej, niż na to zasługiwały. Bez wątpienia wiązało się to z jego kocią naturą, która nie mogła ścierpieć niczego pokrewnego psom. Nigdy nie spotykał się z nimi jako człowiek, gdyż Przemianie podlegał w takich samych jak one warunkach. Natomiast przygoda, jaką miał tej nocy, różniła się od pozostałych tylko tym, że zazwyczaj to on szukał wilkołaków, a nie odwrotnie...

Z innym kotołakiem zetknął się tylko raz. W pierwszej chwili ucieszył się nawet. Jednak gdy w oczach tamtego dostrzegł tępą, bezrozumną nienawiść, poczuł wstręt. Dał mu dobitnie do zrozumienia, że to jest jego teren. I zrobił to bardzo skutecznie, bo więcej go już nie zobaczył.

Strzygi były jedynym rodzajem, z którym utrzymywał prawie dobrosąsiedzkie stosunki. Przyczyną tej zażyłości był fakt, iż pazury miały niewiele mniejsze niż on, a zęby dużo większe, oraz to, że jego krew szkodziła im tak samo jak wampirom, a one wiedziały o tym...

Stara Kobieta nie przeżyłaby tutaj nawet jednej nocy, gdyby nie chronił jej Znak, wiszący zawsze nad drzwiami chaty.

Przerwał rozmyślenia i spojrział w jego stronę. Kute srebro zdawało się falować i drgać, kiedy na nie patrzył. Było to złudzenie - on nie mógł dostrzec prawdziwych

kształtów Znak, gdyż taka była właśnie jedna z cech mocy związanej z tym talizmanem.

Ksin nie lubił owego kawałka złowrogiego metalu i zawsze starał się trzymać od niego z daleka. Chociaż z czasem przyzwyczał się do jego obecności, to jednak za każdym razem, gdy przechodził przez próg, miał wrażenie, że oblewa go ukrop.

A niebawem zaś miało stać się coś znacznie bardziej przykrego...

Jednak na razie wołał o tym nie myśleć. Wziął ciało na ręce i wyszedł przed dom.

Na skraju polany rósł piękny, rozłożysty dąb. Stara Kobieta ogromnie lubiła wypoczywać w jego cieniu. Położył ją więc tam, gdzie zazwyczaj siadała i wrócił po łopatę.

Darń trzasnęła cicho, kiedy wbił w nią szerniały metal. Potem zazgrzytała ziemia.

Jego świadomość rozplynęła się w miarowym rytmie pracy, w kolejno wykonywanych czynnościach, i dopiero gdy ostatnia grudka gliny spadła na podłużny kopczyk, oczy Ksina spojrzwały przytomniej.

Teraz nadeszła pora na najważniejsze - zabezpieczenie grobu, bo w przeciwnym razie zaraz po zmierzchu zlazłyby się do niego wszystkie okoliczne upiory, aby wydobyć i zeżreć zwłoki. Pozornie było to proste; wystarczyło przenieść i położyć na grobie Znak.

- Przenieść... - uśmiechnął się nieszczerze - ale najpierw trzeba go dotknąć!

Kiedyś zrobił to, patykiem - drewno zapaliło się, a on poczuł ból, jakby urwano mu rękę. Nigdy więcej już nie próbował.

Przełknął ślinę i poszedł do chaty. Chwycił stołek, ustawił przed wejściem. Śpieszył się, chciał ubiec strach i zwątpienie. Wlażł na niego. Gorący wicher, wiejący jakby z otwartej czeluści pieca, gwałtownie uderzył go w twarz. Zdawało mu się, że patrzy na wrzącą rtęć, a włosy zaczynają płonąć.

Czując, że dużej już tego żaru nie zniesie, desperackim ruchem wyciągnął rękę...

Strasliwy cios przenirował mózg, a wnętrzości zamienił w jeden oszalały kłęb. Potworna siła chwyciła go za gardło i szarpnęła w dół. Usłyszał stłumiony huk - to jego ciało uderzyło o ziemię.

Przytomności nie stracił, tylko przed oczami załopotowała mu jakaś czerwona płachta i rozpadła się nagle na mrowie drobnych kawałków, które miały się niczym obłądne, nieprzeliczone stado pijanych ptaków.

Nie zdawał sobie sprawy, jak długo leżał ogarnięty albo przejmującym bólem, albo zupełnym odrętwieniem. Kiedy już wstał, było w nim tylko jedno uczucie - twardy, nieludzki upór. Ponowił próbę. Tym razem postawił stół zamiast chybotliwego stołka.

- Przeszanę dopiero wtedy, gdy mnie zabijesz - wycharczał godzinę później, podnosząc się z blatu stołu i rozmazując grzbietem dłoni płynącą z nosa krew.

- Muszę to dla niej zrobić! - dłonie chwyciły Znak... I nic. Zupełnie nic. Osłupiał.

Kontury gwiazdzistego symbolu nie falowały już, mógł normalnie odczytać pokrywające go runy, których istnienia wcześniej nawet się nie domyślał. Ot, zwykły kawałek nieco zaśniedziałego metalu.

- Czyżbym go zniszczył? Stracił Moc? - zaniepokoił się. Wybiegł na zewnątrz i stanął przy mogile. Wygrzebał w niej płytki dołek, umieścił w nim Znak i zasypał. Stał niezdecydowany, nerwowo pocierając brodę. Po chwili znowu przyklęknął i wyciągniętą ręką przesunął po powierzchni kopczyka.

Miękka, wilgotna ziemia, żadnego ciepła ani wibracji.

- A może to ja zmieniłem się? - pomyślał - trzeba to sprawdzić! - ruszył w stronę lasu.

Niebawem zaszedł tam, gdzie kiedyś biegła dawno już zapomniana droga. Wiele lat temu był to ruchliwy gościniec, lecz teraz pozostała po nim jedynie linia młodych drzew, wyraźnie wyróżniająca się w posępnej masie starych, omszałych pni. Szedł wzdłuż niej uważnie, obserwując miejsca, które stanowiły niegdyś pobocza traktu.

Nagle przyczał się. Trwał chwilę w bezruchu, po czym zaczął iść, ale tak, aby najmniejszy szelest nie zdradził jego obecności. Skradał się w stronę kamienia. Niezbyt dużego, płaskiego głazu, na którym zapewne chętnie przysiadali zdrożeni wędrowcy, aby rozprostować obolałe nogi.

Jeszcze dwa kroki. Sprężył się i przemyślawszy starannie wszystkie ruchy, skoczył. Palce lewej dłoni zwarły się na szorstkiej obłości i poderwały ją w górę, a prawa ręka po łokieć zniknęła w powstałej szczelinie.

Kwik, pisk, szamotanina. Pod głazem zakotłowało się. Odwalił go na bok i oburącz chwycił wyrrywającego się porońca. Ten, skrzecząc wściekle i bijąc skrzydłami, ciosami dzioba usiłował zmusić Ksina do rozluźnienia uścisku. Lecz on zręcznie przesunął dłonie i złapał potworka za kark i nasadę nietoperzowatych skrzydeł.

- Mam cię! - wysyczał, potrząsając nim mocno. Poroniec zamilkł. Ksin podniósł go w górę jedną ręką i oblizując skaleczenia na drugiej, z ciekawością obejrzał. Półptasi, półludzki upiórek musiał powstać z zagrzebanego niedbale cztero-, może pięćmiesięcznego płodu. Jego jedynym przeznaczeniem było prześladowanie ciężarnych kobiet. Teraz para czarnych, pozbawionych wyrazu oczu bezmyślnie spoglądała na Ksina.

Zajęty polowaniem na porońca zapomniał o dręczącej go niepewności, ale gdy skończył, znów poczuł niemiły, mdlący skurcz w okolicy żołądka. Przy okazji uświadomił sobie, że nie jadł nic od wczorajszego wieczora.

- Zaraz się wszystko wyjaśni - myślał, biegnąc przez mroczną gęstwinę.

Na polanę wpadł spocony jak mysz - bardziej z emocji niż zmęczenia. Od razu skierował się w stronę grobu. Trzy kroki przed nim poroniec zachrypiał przeraźliwie i szarpnął tak mocno, że omal mu nie wyrwał się.

- Aha, znaczy nie jest źle - poprawił uchwyt. Przez moment potrzywał straszdyło nad samym Znakiem - wrzask był taki, jakby ktoś wrone dusił, ale Ksin nie odczuł nic szczególnego.

- Więc to jednak ja! - stwierdził zaskoczony - no to dla pewności... - z rozmachem cisnął porońca wprost na Znak przykryty cienką warstwą ziemi.

Aż zagwizdał z wrażenia, bo w chwili gdy jego ofiara zaledwie dotknęła mogiły, buchnął potężny kłęb błękitnego ognia, a w powietrzu zawirowały wielkie płaty sadzy. Prócz tego jeszcze nieco białego dymu. Koniec.

- O jednego parszywca mniej - mruknął i wrócił do chaty. Wziął wiadro z wodą i z ulgą wylał je sobie na głowę. Otrząsnął się i wszedł do spiżarni. Zjadał wszystko, co wpadło mu w ręce. Szybko zaspokoił pierwszy głód i w pewnym momencie przyłapał się na tym, że zupełnie bezmyślnie przebiera palcami w garncu z marynowanymi grzybami.



Powoli odłożył ogryzany polec dziczyzny.

- I co teraz...? - zadumał się.

O to nie musiał pytać. Stara Kobieta już dawno powiedziała mu, co powinien uczynić. Teraz miał pójść między ludzi. Wzdrygnął się. Znał ich z jej opowieści i tych kilkunastu ksiązek, które najpierw czytała mu ona, a później on sam, dopóty, dopóki nie nauczył się ich na pamięć.

Nie oszczędzała mu żadnych szczegółów, mówiła o wszystkim, co w życiu widziała, przemilczając jedynie te sprawy, które bezpośrednio dotyczyły jej samej. Wiedział, gdzie i jak się zachować, czego spodziewać, co mówić, robić. Nauczyła go nawet kłąć.

Wiedział, umiał, rozumiał... - lecz on naprawdę wolał już raczej wampiry i strzygi...

- Nigdzie nie pójde, tu zostanę - postanowił. Nagle gdzieś z oddali usłyszał, albo może przypomniał sobie, jej cichy głos:

- Musisz odnaleźć kogoś, kto pokocha cię takim, jakim jesteś. Jak ja. Nikt nie może być sam, nie może być sam, nie sam, nie sam, nie...

Bezgłosne echo rozpląnęło się jak delikatna mgła. Popatrzył w przestrzeń przed sobą.

- Dobrze matko - wyszeptał. Znow zaczął jeść.

## **Dziewczyna**

Noc spędził nad grobem Starej Kobiety, snując wspomnienia i chwilami drzemiąc, a rankiem rozpoczął przygotowania. Przeszukawszy chatę, znalazł w niej sporo złotych monet, trochę kosztowności i stary miecz, który służył tu do ścinania chwastów i rąbania trzasek na opał. Kilka godzin spędził szlifując i ostrząc jego poszczerbioną, a miejscami też zardzewiałą głownię.

Na koniec przebrał się w podróżne ubranie, przypasał broń, schował pieniądze i upchnąwszy do dużej skórzanej sakwy resztę zapasów ze spiżarni, zarzucił ją sobie na plecy. Ruszył do wyjścia. W pół drogi zawahał się, cofnął i za cholewę buta wsunął długi kuchenny nóż. Wyszedł, raz jeszcze zatrzymując się na skraju polany.

Jakiś czas patrzył na dom, który zostawiał na łasce losu, i na mogiłę w cieniu wielkiego dębu.

Odgarnął kosmyk włosów z czoła, odwrócił się i zniknął pomiędzy drzewami.

Szedł szybkim krokiem, zastanawiając się dokąd pójść. Ten kraj nazywał się Suminor, a jego największym miastem i stolicą zarazem była Katima.

- Miejsce równie dobre jak każde inne i na obcego mniejszą będą zwracać uwagę - pomyślał, skręcając na królewski trakt. Dotarł do niego wczesnym popołudniem i pomaszerował na północny zachód.

Było pusto, cicho i tylko piach zazgrzytał czasem pod podeszwą. Stał się senny i zamyślony.

Stłumiony krzyk jakoś do niego nie dotarł, dopiero stek wyzwisk przywołał go do rzeczywistości.

- Wiąż mocniej durniu, bo ci spod tyłka ucieknie - rozległo się gdzieś w pobliżu.

Rozejrzał się zaskoczony - trakt był pusty. Dopiero kilkadziesiąt kroków dalej zobaczył to, co działo się na skraju drogi.

Przywiązana do pobliskich drzewek za obie ręce i jedną nogę, i rozciągnięta na ziemi dziewczyna wierzgała w desperackiej furii drugą, wolną na razie nogą, a obok niej kręciły się dwa zbiry o wyglądzie najemnych żołdaków.

Kusa, jaskrawoczerwona i podwinięta w tej chwili spódniczka nie pozostawiała cienia wątpliwości co do zawodu uprawianego przez jej właścicielkę. Jednakże ta nie zachowywała się bynajmniej tak, jak należałoby się spodziewać po przedstawicielce jednego z najstarszych cechów świata. Wręcz przeciwnie! bronila swej cnoty z zajadłością godną dziewiczej kapłanki boga Reha. Tyle tylko, że bez porównania bardziej skutecznie - jeden z napastników masował obolałe krocze i właśnie jego grzmiące po całym lesie bluzgi sprowadziły Ksina na ziemię.

- Chyba nie mieli czym zapłacić - stwierdził. Tamci dostrzegli go.

- O! Idzie nowy do pomocy! - zawołał ten kopnięty, przestając na chwilę kłąć.

Drugi odwrócił głowę, a dziewczyna skorzystała z okazji, uwolniwszy powtórnie nogę trafiła go obcasem sandała w piszczel.

- A! - odskoczył i zwrócił się w stronę Ksina.

- No, druhu, przyłączysz się? Starczy jej i dla trzech.

Ksin milczał, mało go obchodziło to wszystko. Już chciał ominąć tych troje i pozostawić ich razem z wspólnym, jak sądził, zmartwieniem w postaci braku gotówki, gdy jego wzrok zatrzymał się na twarzy dziewczyny.

Była ładna, no w każdym razie dużo ładniejsza od strzygi, i młoda. A on znał tylko Starą Kobietę. Wiedział, że takimi jak ona nie warto się przejmować - tak mówiła Stara Kobieta - ale w oczach tej tutaj spostrzegł coś niezwykłego.

Ech, tak mi się tylko wydaje - pomyślał, wzruszając ramionami, ale stał dalej.

Żołdacy uznali jego milczenie za aprobatę, a ten który siedział w kucki, wstał teraz i wyciągnąwszy sztylet, ruszył w stronę dziewczyny, mówiąc:

- Hej, sprawię ją ociupinę to nie będzie nam wierzgać. Ksin wiedział już, czego chce.

- Nie! - powiedział twardo. Tamci popatrzyli po sobie.

- Znaczy nie sprawiać?

- Uwolnijcie ją. Ryknęli śmiechem.

- Głupiś!? Ślepiów nie masz? Przecie widać, co za jedna!

- Ty durny! Patrzcie, ślachetny obrońca się znalazł i to kogo...? - rechotał drugi.

- Powiedziałem! - oparł dłoń na rękojeści miecza. Spoważnieli.

- No, Wlamir, znaczy robota czeka, później poswawolim... - ten który stał bliżej Ksina, pochylił się i podniósł leżący w trawie topór. Ruszyli, zachodząc go z dwu stron. Nie czekał, aż podejda, zaatakował pierwszy.

Oni byli zawodowcami, a on w ten sposób nie walczył nigdy dotąd. Był jednak znacznie szybszy i gdy jego pierwszy cios ześlizgnął się po zręcznie nadstawionym ostrzu topora, drugi spadł niemal natychmiast. Przeciwnik uchylił się, lecz Ksin, nie zatrzymując cięcia, doskoczył i czubkiem klingi zdołał zawadzić o głowę. Zaciął płyciutko, niemalże musnął, ale czaszka na pewno pękła, bo tamten wypuścił broń i jak pijany złapał się za pień pobliskiego drzewa.

Kotołak zwrócił się w stronę Wlamira. Ten jednak też miał miecz i władał nim

znacznie lepiej niż Ksin.

Klingi zderzyły się raz i drugi. Błysnęły skry. Dłuższą chwilę walczyli, nie mogąc zdobyć przewagi, aż wreszcie wyćwiczony najemnik zmusił Ksina do chaotycznej obrony.

Odrzucając mordercze razy cofnął się kilka kroków i nagle zaatakował w sposób, jaki całkowicie ogłupił Wlamira.

Równocześnie rzucił dwoma nożami lewą ręką i zadał potężne, koliste cięcie mieczem trzymanym w prawej dłoni, dając tym piękny popis isticie kociej zręczności.

Tamten, uskakując przed nadlatującymi ostrzami, wpadł wprost na idącą z dołu głównię, która liznęła go jak srebrzysty płomień. Poderwany w górę poleciał w tył i bezwładnie, jak kukła, runął, rozrzucając szeroko ramiona.

Ksin odwrócił się i podszedł do poprzedniego przeciwnika. Ten dalej stał obejmując drzewo. Jego oczy patrzyły bezmyślnie, a po spękanej korze spływała krew i białawy płyn...

Bez namysłu dźgnął mieczem w plecy. Trzask łamanych żeber i charkot. Wyszarpnął żelazo i poprawił cios - rzeźenie ustało. Trup osunął się w dół i padł na wznak.

Kotołak wytarł miecz, po czym spokojnie odszukał i schował noże.

Dziewczyna cały czas wodziła za nim oczami.

- Co! Nie lubisz się dzielić!? - wysyczała z nienawiścią.

Pierwszy raz usłyszał jej głos.

Szarpnęła więzami, gdy zbliżył się do niej. Widać nie usłyszała, o co im poszło, bo znów zamierzała się nogą. Na wszelki wypadek, aby nie oberwać, przeciął sznur czubkiem klingi z bezpiecznej odległości. Obszedł ją dookoła i uwolnił ręce. Schował miecz i usiadł.

Patrzyła, nic nie rozumiejąc.

- Chcieli za darmo? - zapytał wskazując na zwłoki.

- Z początku nie - odpowiedziała powoli - to ja nie chciałam.

- Ty!?

- A co! - spojrzała wyzywająco - nie wolno mi?

- No... - zamilkł zaskoczony, o czymś takim Stara Kobieta nigdy nie wspominała.

- Dlaczego to zrobiłeś? - odezwała się znowu - przecież...

- Martwisz się? - wpadł jej w słowo.

- Nie, ale dlaczego?

- Jak masz na imię? - nie potrafił dobrać słów, aby odpowiedzieć na poprzednie pytanie.

- Hanti... Ach tak... Ty naprawdę nie chciałeś się dzielić.

Poczuł się nieswojo. Spuścił wzrok, bo policzki zrobiły się podejrzanie gorące.

- Jestem Ksin...

Milczeli przez długą chwilę, nagle jej dłoń dotknęła jego ramienia.

- Chodźmy stąd - powiedziała miękko. Szli środkiem drogi, spoglądając na siebie z ciekawością.

- Powiedz mi... - zaczął - czemu ty im..., no wiesz...

- Nie dałam?

- Aha.

- Nie jestem taka, jak myślisz. Nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

- Wspaniale! - zawołał. Rozumiem, że twoja suknia jest bardzo ładna, tylko wyjaśnij mi teraz; jaka to cnotliwa wychowanka szkółki dla prawowicie splodzonych panien postanowiła na co dzień nosić jednoznaczny strój - zachichotał.

- Nie błażnij - ucięła krótko - nie przyszło ci do głowy, że musiałam robić to nie z własnej woli. Jako branke wojenną sprzedali mnie do domu rozpusty w Amizar. Byłam tam przez cztery lata i uciekłam przy pierwszej sposobności, czyli miesiąc temu.

- Wybacz. Tamci dwaj ścigali cię?

- Tak, ale z powrotem mieli dostarczyć tylko moją głowę - jako postrach dla innych. Póki co, do zabawy potrzebna im byłam w całości, wtedy nadszedłeś.

A skąd ty jesteś?

- Stąd - wskazał na las i uświadomił sobie, że już powiedział zbyt wiele.

Popatrzyła uważnie.

- I co tam robiłeś?

- Za dużo pytasz - warknął zmieszany.

- Nie udawaj, i tak widzę, że nie jesteś pełnym człowiekiem.

- Aż tak bardzo to widać? - zaniepokoił się.

- Nie bardzo, ale ja umiem patrzeć. Lampart...? Puma...?

- Nie, kot. Zwykły kot.

- Miłe zwierzątko. Mam nadzieję, że tylko to... Nie odpowiedział. Zapytał ją o coś błahego. Zaczęła mówić, a on słuchał jej, znowu pytał i tak wędrowali wśród tych pełnych tajemnic puszczy...

\* \* \*

Słońce przebyło już trzy czwarte swojej dziennej drogi, kiedy wydostali się na otwartą równinę. Ksin nie przyzwyczajony do tak rozległych przestrzeni, czuł się z początku niepewnie, ale w miarę upływającego czasu górę w nim wzięła ciekawość i szedł, bystro rozglądając się na wszystkie strony.

Dokładnie odwrotnie było z Hanti; gdy ów posepny las, o którym słyszała tyle przerażających rzeczy, pozostał już daleko za nimi, wyraźnie rozluźniła się i uspokoiła. Jej krok i gesty stały się tak naturalne i pełne swobody, że chwilami zdawała się być tańczącą na piaszczystej drodze rusałką. Takie przynajmniej odnosił wrażenie patrzący na nią Ksin, któremu nigdy dotąd nie udało się podejść tak blisko do jakiegokolwiek prawdziwej rusałki czy elfa, aby móc napatrzeć się do syta.

- Odpocznijmy trochę - zaproponowała Hanti - pić mi się chce, a tam, za tymi drzewami powinna być rzeka.

- Zgoda.

Zboczyli z traktu i skierowali się we wskazanym przez nią kierunku. Pobieгла przodem i pierwsza stanęła na porośniętym krzakami brzegu.

Rzeczka nie była szeroka, za to jej ciemnozielonkawy, leniwy nurt kryć musiał wiele niezwykłych i mrocznych głębin. Świadczyły o tym liczne nabrzeżne skarpy, których strome ściany niemal pionowo wchodziły w głąb milczącej topieli. W pewnym miejscu brzeg obniżał się nieco, a przerwa w gęstym pasie zarośli pozwalała

dotrzeć na sam skraj płynącej wody, gdzie starczyło już tylko pochylić się nieco, aby dłonie zaczerpnąć mogły orzeźwiającego chłodu.

Hanti przystanąła tutaj, a beztroski uśmiech na twarzy Ksina natychmiast stężał. Coś, jak wibrujący zew, dotarło do niego i mrowiem przebiegło po skórze.

Poczuł Obecność.

Wyraźnie, ale nie jasno, jakby jakaś miękka i gruba osłona tłumiała sygnał odbierany przez jego nadprzyrodzony zmysł, ale To było silne... i takie bliskie...

Hanti pochyliła się, wyciągając ramiona...

- Woda!

Błysk woli i zła niczym sztylet przeszył mu mózg. Trzy rzeczy stały się w jednym ułamku chwili; szybki jak piorun skok Ksina, przeraźliwy krzyk Hanti i plusk rozwierającej się rzeki.

Ręce kotołaka zacisnęły się na talii dziewczyny i desperacko szarpnęły w tył.

Atak utopca zaledwie o włos minął cel. Rozmiękle, białe łapy klasnęły, chwytając powietrze. Ksin odciągnął oszalałą z grozy Hanti, a wystające z wody dłonie wczepiły się w darń; utopiec dźwignął się ku górze, wypełził na brzeg i wstał.

Opuchnięty i siny szedł prosto na nich, a z ust i nosa wyciekał mu zielonkawy śluz.

Ksin zatrzymał się nagle i stanął unosząc głowę. Patrzył prosto we wlepione w niego martwe, matowożółte kule, które tkwiły w oczodołach tamtego. Słyszał gwałtowny, spazmatyczny oddech kurczowo wczepionej w jego ramię i kulającej się za nim dziewczyny.

Utopiec znieruchomiał. Odrażająca, wyblakła poczwara - rozmiękle, białawe ciało wisiało na kościach jak pomięty łachman na kołku, a chwila, która teraz nastąpiła, przeciągała się.

Ksin czekał. Hanti uspokoiła się niespodziewanie i wychyliwszy się zza pleców kotołaka w skupieniu obserwowała całą scenę.

Utopiec zrobił krok w tył. Po nim następne. Powoli wlaźł z powrotem do rzeki i zniknął pod jej powierzchnią. Powstałe przy tym kręgi uniósł nurt.

- Zmykajmy - mruknął Ksin. Hanti nie sprzeciwiła się. W pośpiechu wrócili na drogę, lecz zanim zdążyli zrobić na niej sto kroków, dziewczyna zatrzymała się nagle.

- Chodź - zawołał.

- Nie!

- Czemu?

- Za głupią mnie masz?! Myślisz, że nie wiem, dlaczego zrezygnowałem? Żadnej zwykłej istoty na pewno by się nie przeląkł! - wyrzuciła z siebie - on cię poznał; jesteś jednym z nich! - drżała ze strachu i nienawiści.

Nie miał już nic do ukrycia.

- To prawda.

- Czułam, że masz na mnie ochotę, ale nie sądziłam, że mam być do zezarcia!

- Nie...

- Czym się stajesz?!

- Kotołakiem - odparł z rezygnacją.

- To giń! - rzuciła się na niego, unosząc nóż. Uchylił się i złapał ją za nadgarstek, ale ona podcięła mu nogi i wpadli do przydrożnego rowu. Szamotała się z furją, próbując gryźć i kopać.

- Przestań!

- Albo ty, albo ja - wyszczała - uciec nie dam rady. Uderzyła go głową w nos.

Zabolało mocno.

- Nic ci nie zrobię, proszę...

- Teraz nie, tylko jak księżyc wszędzie.

- Jest już po pełni.

- To przy następnej! - wrzasnęła.

- Ty oślico! - zdenerwował się wreszcie - a co ja z tobą przez ten miesiąc zrobię?!

Dość, mówię! Znieruchomiła, jednak ręki z nożem nie puścił.

- Do Kadmy idziesz? - zapytała spokojniej.

- Do Katimy - potwierdził.

- To jeszcze ze dwa tygodnie wędrówki.

- A tam w tłumie zgubić się łatwo - dodał.

- Niech będzie - zgodziła się - ale co ty chcesz tam robić? Przecież zatłuką cię zaraz po pierwszej Przemianie. Nie ukryjesz się.

- Nie jestem taki, jak myślisz - przedrzeźniał ją - mogę cię już uwolnić, czy mam najpierw wyrzucić ci tę zabawkę?

- Już dobrze. Puść.

Zwolnił uchwyt i odsunął się na wszelki wypadek.

- No to jaki jesteś? - spytała, chowając nóż.

- Zaraz ci powiem, tylko wyleźmy stąd najpierw.

- Podaj mi rękę.

Szła obok niego, a on mówił o sobie, Starej Kobiecie, o wszystkim, co tylko pamiętał. Trwało to długo i gdy skończył, była już głęboka noc, a oni leżeli w trawie na posłaniach z płaszczy.

- I ja mam ci wierzyć? - powiedziała cicho.

- A masz lepszy pomysł? - zachnął się Ksin.

- Mam - wyszeptala - możesz mi rozpiąć bluzkę... Przygarnął ją i przytulił mocno.

Podala mu usta i powoli podciagnęła spódniczkę. Rozchyliła kolana. Przez chwilę nie bardzo wiedział, od czego zacząć, ale potem było już dobrze. I miło. Tylko trochę inaczej, niż to czytał w książce...

\* \* \*

Następne dni i noce upłynęły podobnie. Droga nie dłużyła się im; szli, rozmawiali, a w chwilach gdy w oczach obojga zapalały się te same rozmigotane skierki, znikali z gościńca, aby na kilka godzin zaszyć się w jakimś przytulnym zakątku i do upojenia nasycić sobą.

Zostały im jeszcze dwa dni wędrówki do miasta. Słońce stało w zenicie, przypiekając solidnie, kiedy Hanti skończyła właśnie opowiadać jakąś historię.

Roześmiał się i zapytał:

- Słuchaj, czy wy wszystkie jesteście takie same?

- Zależy gdzie... - odparła szybko. Ksin zamrugał gwałtownie oczami.

- ...Ja myślałem o strachu, t-to znaczy odwadze - zaplątał się całkiem - no, czy tak szybko jak ty przestają się bać? - wykrztusił wreszcie.

- Chodzi ci o tego mokrego przyjemniaczka, wtedy?

- Uhm. Zamyśliła się.

- Raczej nie. Niejedna z tych, które uszłyby z życiem, ze strachu przed wodą na długo przestałyby się myć...

- Więc jesteś inna?

- To z przyzwyczajenia, w Amizar kazali mi niekiedy oddawać się takim, przy których tamten wymoczek wyglądał jeszcze całkiem świeżo. A ty, skoro już zaczęliśmy; co zrobiłbyś ze mną, gdybyś po Przemianie nie potrafił się opanować?

- Zapewne spróbowałbym tego i owego...

- A co byłoby pierwsze...? - popatrzyła zalotnie.

- Mózg - palnął bez wahania - koty zawsze zaczynają od łba...

Speszyla się i jemu też zrobiło się głupio - to nie był temat do żartów, przynajmniej nie teraz.

Pogawędka urwała się, a upał, od którego aż falowało powietrze, rozproszył ich myśli i nie zachęcał do dalszego suszenia gardeł i języków. Wlekli się więc noga za nogą, wypatrując cienia, najlepiej gdzieś w pobliżu jakiegoś źródła.

Zbliżali się do miejsca, gdzie droga wchodziła pomiędzy dwa ciągnące się po horyzont łąny złotego zboża. Wiatru nie było, lecz pylisty kurz i tak kłębił się przy każdym kolejnym kroku.

Ksin stanął nagle.

- Zaczekaj - położył dłoń na ramieniu dziewczyny.

- He? - spojrzała pytająco, ocierając pot z czoła.

- Jest!

- Co takiego?

- Południca.

- Gdzie?!

- Tam, na skraju pola, z prawej. Zaczaiła się w zbożu.

- Skąd ty... ach prawda, zapomniałam. To co robimy?

- Nic trudnego... - podniósł z gościńca solidny kamień.

- Nie patrz w tamtą stronę, najlepiej pod nogi - ostrzegł.

Zamierzył się i rzucił z rozmachem.

Wrzask, jaki Hanti usłyszała za moment, do szpiku kości poraził ją swoją upiorną wibracją. Pociemniało jej w oczach i przewróciłaby się, gdyby nie ramię Ksina.

- Uciekła, droga wolna - powiedział.

Weszli w pszeniczny wawóz i przebyli tędy kawałek drogi. Morze złocistych kłosów trwało tu dookoła sztywne i nieporuszone, a w martwej ciszy rozległ się tylko szelest ich kroków i szmer przyspieszonych oddechów. Wszędzie białe-żółte, oślepiające światło. Smak pyłu w wyschniętych ustach i piekący pot. Było gorąco, coraz bardziej gorąco...

Ksin zaklął półgłosem.

- Co?!

- Niedobrze. Wraca - chwycił drugi kamień.

- Och...

- Spokojnie, jest daleko, ale lezie za nami. Szybko urwij pas płótna!

- Już... już - ręce jej drżały, więc zrobił to sam i zawiązał swej towarzyszce oczy.

- P... po co to?

- Rozjuszylem ją i jeśli teraz na nią spojrzysz, to stracisz nie tylko rozum, ale możliwe, że umrzesz z przerażenia.

Prowadził Hanti jak małe, bezradne dziecko.

- Ksin!! - zatkała rozpaczliwie - COŚ mnie dotyka! N... na pieca...ach!!! Odwrócił głowę.

- A niech to! Stoi na drodze. Czujesz na sobie jej wzrok, ale wściekła się! Zasłonił dziewczynę własnym ciałem.

- Lepiej?

- Tak. Czy daleko jeszcze?

- Nie widać końca tego przeklętego zboża. To pewnie królewska ziemia.

- A ona?

- Bliżej, ale trzyma się z tyłu. Nie dorzucę tam, za daleko. Znow się schowała!

- Znaczy, boi się nas...?

Nie odpowiedział. Milczenie przeciągało się.

- Weź się w garść!

- Cz...czemu? - szcęknęła zębami.

- Jest druga...

- Iij...!

- Hanti! Dziewczyno!!! Słyszysz, co do ciebie mówię?!

- potrząsnął ją z całej siły, mocno ściskając za ramię. Nie pomogło.

- Maleńko!!!! - skamlała przeciągle. Uderzył.

- Hanti, Hanti! - sam zaczął już tracić głowę.

- Ksin! Gdzie ty! - omal nie zerwała przepaski.

- Tu jestem!

Rzuciła mu się na szyję, dusząc go prawie. Wziął ją na ręce i biegł. Kamień wypadł mu z dłoni.

Miał zamiar powiedzieć, że jeśli zostawi ją na moment samą, to za nic nie wolno jej ruszyć się z miejsca i otwierać oczu. Czuł bowiem oprócz dwóch Obecności jeszcze trzecią

- słabą, lecz narastającą. Jednak gdy paznokcie Hanti przebiły koszulę i z całą mocą wpiły się w jego ciało, zrozumiał, że żadna siła nie oderwie jej od niego, więc teraz już pędził jak szalony, widząc w tym ich jedyną szansę ocalenia.

Był bezbronny wobec połączonej woli trzech potwornych nadistot...

Napór mocy południc potężniał z każdą chwilą, pot zalewał mu oczy, omdlewały ręce. Obłąd nadciągał z otchłani podświadomości. Uczucia i myśli znikły jak gaszone świece...

Biec, biec, biec.

- Widać koniec, wytrzymać, dojść, dopaść. Świadomość zamierała zgniatana żelaznym młotem.

- Już! Słabnie. Jakaż ulga!

Poczucie Obecności ustało. Padł na kolana.

- Hanti! - myślał tylko o niej. Była nieprzytomna.

- Jeśli... - lodowata igła strachu ukłuła go prosto w serce.

- Hanti, najdroższa... - głaskał ją, szarpał, całował. Nareszcie otworzyła oczy.



- Ksin... czy żyjemy?

Fala ogromnej ulgi zabrała mu resztkę sił; padł na nią szlochając jak dziecko. Południce uderzyły jedynie w niego, gdyby choć na moment skupiły się na Hanti, nie pomogłaby opaska na oczach - jej jestestwo nieodwracalnie rozpadłoby się jak domek z kart.

Mieli tak wiele szczęścia...

Minęło sporo czasu, zanim się pozbierali, ale dalej szli niczym skazańcy odwiązani spod pręgierza.

- Nie myślałam, że mogą być groźne nawet dla ciebie - odezwała się cicho.

- Jedna jeszcze nie, ale kilka... One czerpią swą siłę ze Słońca, ja z Księżyca.

Widzisz różnicę?

- Tak...

Dalszy marsz męczył ich coraz bardziej. Krótkie postoje w niczym nie pomagały. Nie dotrwali do wieczora i na nocleg zatrzymali się wcześniej niż zwykle. Pierwszy raz tak szybko ogarnęła ich senność. Nie próbowali z nią walczyć i dopiero rankiem, błądząc w półśnie dłonią pod spódniczką dziewczyny, Ksin przypomniał sobie, iż mają niejaki zaległości. Hanti myślała podobnie...

\* \* \*

Tego dnia ujrzeli odległe zabudowania Katimy. Siedzieli w cieniu niewysokiej skałki, dojadając ostatnie zapasy.

- Ksin... - przełknęła kęs chleba.

- Słucham - sięgnął po bukłak z wodą.

- Tam..., rozstaniemy się?

- Miałaś taki zamiar.

- Tak, wiem, jestem tylko dziewczką na sprzedaż. Nie warto się mną przejmować - zwiesiła głowę.

- Co ty, Hanti?

- I nic innego nie umiem robić. Zostawisz mnie...

- A ja... ja... - głos jej załamał się.

- No, powiedz - zachęcił łagodnie.

- Ja, chcę być... z tobą! - wybuchnęła płaczem. Porwał ją w ramiona i przytulił mocno.

- I ja też.

- Naprawdę?

- Nie namawiałem cię, bo wiedziałem, że się mnie boisz.

- To bez znaczenia! Trzy razy, gdyby nie ty... Moje życie należy do ciebie - popatrzyła mu w oczy.

- Przecież ja nawet nie jestem człowiekiem...

- Nie przesadzaj, jesteś na pewno bardziej ludzki niż całe to pełnej krwi bydło, jakie przez cztery lata włożyło we mnie w dzień i w nocy!

- No właśnie, a co będzie, jeżeli zostanę rozpoznany?

Pomyślałaś, co stanie się z tobą? Prawo o czystości rodzaju chyba jeszcze jest przestrzegane.

- Nie zawsze. To w końcu chcesz, abym była?

- Tak.

- Więc słuchaj. Musisz po prostu uważać. Paznokcie zaraz ci przytnę i nie będzie widać, że są zakrzywione. Pozostaje tylko ich kształt, ale taki zdarza się czasem i u zwykłych ludzi. Na wszelki wypadek, przy obcych, lekko zaciskaj pięści - to gdyby gapili się na twoje dłonie. Unikaj patrzenia im w oczy, ale bez przesady i pamiętaj, że kiedy się wściekasz, to twoje źrenice stają się prawie pionowe. I wreszcie, gdy będziesz chodzić, staraj się robić jak najwięcej hałasu. Nawet mnie doprowadza czasem do szału twoje bezszelestne stąpanie.

- To wszystko?

- Nie.

- Cóż jeszcze?

- Mam być twoją kobietą, nie dziewczyną?

- No, tak.

- To będzie cię trochę kosztowało. Popatrzył zaskoczony.

- A co myślałeś, kupisz mi wreszcie przyzwoitą suknię. Zawsze marzyłam o takiej długiej, błękitnej w szmaragdowe wzorki...

Parsknął śmiechem i od razu zakrztusił się kawałkiem wędzonki. Grzmotnęła go w plecy. Odetchnął.

- Będzie, jak pragniesz - otarł załzawione oczy.

- Dziękuję, a teraz dawaj łapy! - wyciągnęła nożyczki.

Dwie godziny później weszli do pierwszej napotkanej na przedmieściach Katimy gospody i wynajęli tam pokój. Nie pozostali w nim jednak zbyt długo, bo zaledwie Ksin zdołał zdjąć z siebie podróżną sakwę, Hanti zaraz wyciągnęła go na zakupy.

Włączyli się między straganami w skłębionym ludzkim mrowisku, a kotołak coraz wdawał się w spory z przekupkami. Doskonale bawił się przy tym, próbując teraz umiejętności, których nabył ćwicząc niegdyś ze Starą Kobieta. Szło mu całkiem nieźle, toteż kiedy nadeszła pora, aby zapłacić za trzy nowe sukienki dla Hanti, która zupełnie nie mogła się zdecydować na jedną, wytargował nawet całkiem rozsądną cenę.

Hanti przebrała się natychmiast po żywiołowo wyrażonym zachwycie. W trakcie czego jedynie kocie wyczucie równowagi Ksina ocaliło ich przed kąpielą w wielkiej kałuży, w momencie gdy dziewczyna z dzikim okrzykiem uwiesiła się na nim.

Teraz Hanti puściła luźno szczelnie okrywający ją do tej pory płaszcz i zacisnąwszy drobne palce na ramieniu Ksina, szła dumnie u jego boku, z powagą spoglądając na inne kobiety.

W drodze powrotnej przyczepił się do nich jakiś wędrowny handlarz talizmanami, proponując kupno pewnego, ponoć bardzo skutecznego, amuletu przeciwko kotołakom. Ksin nie zawahał się ani chwili, kupił, podziękował uprzejmie, po czym pomaszerował dalej, ciągnąc za sobą półprzytomną ze śmiechu dziewczynę.

Przekupień długo jeszcze gapił się za nimi, niczego nie rozumiejąc, a Hanti chichocząc bez przerwy zaraziła swą wesołością również i Ksina. Oboje stanęli w drzwiach gospody zataczając się jak pijani i podrygując od zniewalającego ich śmiechu, który ściągnął ku nim powszechnie zaciekawienie obecnych.

\* \* \*

Nazajutrz rano, zostawiwszy dziewczynie kilka srebrnych monet na kupno żywności, Ksin wybrał się szukać pracy. Wprawdzie tego, co miał, mogło wystarczyć im jeszcze na długo, lecz on chciał jak najszybciej upodobnić się do zwykłego, spokojnego mieszkańca Katimy.

Spotkali się dopiero późnym popołudniem. Hanti czekała już z obiadem, a Ksin z tajemniczą miną położył na stole pękaty mieszek z pieniędzmi.

- Jak na początek powiodło mi się niezgorzej - powiedział, wskazując sakiewkę.

Sięgnęła po nią i odwiązała rzemyk.

- Złoto...? - popatrzyła zdumiona.

- Tak. Trzydzieści sztuk.

- Aż tyle! Ale za co, jak...?

- Zaraz się dowiesz, tylko daj coś zjeść - poprosił. Nalała polewkę do misy i postawiła przed nim, a sama usiadła naprzeciw, opierając brodę na dłoniach.

Przyglądała się mu. Skosztował.

- Dobrze! - zawołał - sama gotowałaś?

- Uhm.

- Całkiem niezłe jak na... - zawiesił głos - ...początkującą mężatkę - zakończył uprzejmie.

Zatrzepotała powiekami i zarumieniła się jak podlotek.

- Co ja widzę!? - roześmiał się - ty i zamieszanie?!

- No bo, bo... och Ksin! - zerwała się i przypadła do niego.

- Myślałam, że żaden mężczyzna już nigdy tak do mnie nie... nie powie! - rozplakała się. Odłożył łyżkę.

- Ech, ty moja zwariowana... - potargał jej włosy - no przestań, bo co stanie się z moją koszulą?!

- Upiore - chlipnęła.

Wstał, podniósł ją i pocałował. Przywarła do niego i trwali tak przez długą chwilę.

Wreszcie znowu mógł zabrać się do jedzenia. Jej oczy lśniły.

- Miałem ci opowiedzieć... - odezwał się - to było tak: chodziłem po mieście i dokładnie, jak kazałaś, potykałem się co trochę o jakiś brukowiec na ulicy. Pytałem, szukałem - nigdzie nic ciekawego, a to, na co niektórzy mnie namawiali, mogłoby w przyszłości skończyć się źle albo i jeszcze gorzej.

Nagle poczułem Obecność, mówiłem ci już, jakie to jest uczucie. Zgłupiałem całkiem, bo byłem przecież w środku miasta, i dopiero po jakimś czasie połapałem się, skąd dobiega do mnie ten zew. To z jednego z najzwyklejszych domów, a raczej z jego podziemia. Wlałem do środka i od razu wiedziałem - w piwnicy wykłuł się bazyliśzek. Gospodarz zapierał się i łgał w żywe oczy.

- Nie dziwię się - wtrąciła Hanti. - Słyszałam, że bazyliśzki nie powstają z niczego. On naprawdę musiał zrobić coś bardzo podłego.

- Właśnie, a teraz wołał raczej z nim mieszkać niż to, aby rzecz się wydała. Jednak dogadaliśmy się w końcu. On przyniósł pieniądze, a ja zszedłem na dół i...

- I co? - jej głos zadrżał z emocji.

- Nic. Ukreśliłem mu łeb. Nie był to duży kłopot. Zarobiłem tyle, co cechowy

tępicieł, a tamten przed nikim nie musiał się z niczego tłumaczyć. Pożegnał mnie bardzo rad.

- Łotr!

- To prawda, lecz jeśli nie zmieni teraz swojego życia, to znowu wskrzesi potworka. Powiedziałem mu o tym.

- Może stanie się inny - zamyśliła się Hanti. Ksin odsunął pustą miskę i popatrzył na nią.

- I tak znalazłem zawód dla siebie - stwierdził - ale teraz mam chęć na coś słodkiego...

- Och! prawda, zapomniałam, zaraz kupię, wybacz - ruszyła w stronę drzwi, ale zatrzymał ją.

- Ależ nie... - otoczył dziewczynę ramionami - to ty będziesz moim deserem i na tym oto talerzu... - dodał, wskazując łoże.

## **Marzenia i szpony**

Minęło kilka beztroskich tygodni. Pewnego dnia jak zwykle wieczorem siedzieli przy kominku. Hanti cerowała, a Ksin zadumany wpatrywał się w ogień. Od czasu do czasu wyciągał dłonie przed siebie, grzał je przez chwilę, po czym znowu opierał na kolanach.

- Hanti... - przerwał panującą ciszę. Uniosła głowę.

- Dziś jest początek pełni i nie ma chmur, więc to stanie się już niedługo.

- Wiem o tym - odłożyła robótkę i pochyliła się ku niemu. Milczała.

- Boisz się, prawda?

- Tak trochę...

- Mam jeszcze czas, mogę iść do gospodarza i wynająć dla ciebie osobny pokój.

Chcesz?

- Zostaję z tobą.

- Cieszę się - czubkami palców musnął ją po policzku.

Więcej nie rozmawiali. Czas upływał powoli. Hanti spróbowała wrócić do przerwane zajęcia, ale ukuła się w palec, więc zostawiła pracę i też zapatrzyła się na trzaskające szczapy. Czekali.

Ciemność za oknem coraz bardziej rozjaśniał wschodzący księżyc. Ksin wstał i bez słowa zaczął się rozbierać. Skończył, odłożył ubranie i odsunął ławę, na której siedział. Przyklęknął, opierając dłonie o podłogę.

- Zamknij drzwi - powiedział cicho.

Podniosła się i posłusznie wypełniła polecenie. Nie wróciła na swoje poprzednie miejsce, lecz pozostała na środku izby.

Węgłe w kominku rozsypały się szeleszcząc, płomienie przygasły, a pokój zalała fala księżycowej poświaty.

W mózgu Ksina obudził się ból... Było jak zawsze, odkąd pamiętał. To samo cierpienie towarzyszące każdemu przeistoczeniu. Pysk jakby wyciągano mu z twarzy, podobnie zęby. Moc magii tłamsiła jego ciało niczym kawał wilgotnej gliny. Gniotła, kształtowała, stwarzała przeciw prawom natury i rozumowi... Aż dokonało się.

Upiorna postać drgnęła i spojrzenie dwóch rozjarzonych zielonym światłem ślepi spoczęło na dziewczynie.

Kotołak ruszył w jej stronę. Rękami zasłoniła usta, aby nie krzyczeć. Drżała na całym ciele, ale nie cofała się przed nim. Wspiał się na tylne łapy i polizał jej szyję i czoło. Strach odszedł. Uklękła i zanurzyła dłonie w jego sierści. Po chwili przytuliła się w prostym geście oddania.

Trwało to jakiś czas, aż wreszcie puściła go i powstała. Wrócił pod kominek, po czym wyciągnawszy się przy nim, zamknął oczy.

- Ksin... - usłyszał i spojrzał.

Rozbierała się dla niego tak jak każdej poprzedniej nocy. Powoli zsunęła suknię, przepaskę biodrową i rozwiązała zwój podtrzymujący piersi. Zupełnie naga zbliżyła się do niego.

- Ta noc jest tak samo nasza, jak wszystkie inne - wyszeptała spuszczać oczy.

Położyła się obok. Fala pożądania rozlała się w nim jakimś oszalamiającym dreszczem. Nigdy nawet nie podejrzewał, że w tym stanie zdolny jest podlegać temu pragnieniu. Z chrapliwym miauknięciem przetoczył się na nią i ogarnął potężnymi łapami.

- Czy potrafisz być delikatny? - zapytała cichutko. Skinął łbem na znak, że tak.

Przyjęła go posłuszna i chętna.

Rozkołysane pchnięcia, jej spazmatyczny oddech, chwilami krzyk, paznokcie raniące mu skórę, rwące sierść, szum krwi, łomot serca, błyski ognia, skrzywienie podłogi, chrypienie urwane, gardłowe, szczęki zwarte do bólu. Wrażenia, dotknięcia, odczucia zlały się w nim w jeden skłębiony, wirujący chaos, a czas rozpląnął się teraz i znikł...

Pograżony w niej, niesiony ciągle wzbierającymi falami jej upojenia, powoli napinał się, sprężył, naciągał, by nagle oszaleć w potężnym, przesywającym lędźwie gejzerze żaru, który rozerwał świadomość na strzępy.

Ciemność.

Otworzył oczy; był dzień. Leżał z głową przytuloną do piersi dziewczyny, a na policzku czuł szczyt jednej z nich. Widział swoją dłoń na podłodze i deski dookoła niej rozryte pazurami - drzazgi sterczały we wszystkie strony. I ta dłoń miała zwyczajne palce. - Przemiana nastąpiła we śnie. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się coś takiego - pierwszy raz bez bólu!

Uniósł się nieco: Hanti spała głębokim i mocnym snem. Wstał, wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Nie obudziła się, jedynie szepnęła coś niezrozumiale.

Okrył ją i usiadł na skraju pościela. Patrzył.

Oto osiągnął już wszystko, czego pragnął. Spełnił ostatnią wolę Starej Kobiety. Marzenia stały się rzeczywistością. Naprawdę...

- Czyż trzeba mi czegoś więcej? - szepnął do siebie.

Odpowiedź na to pytanie znał, jeszcze zanim je zadał.

- A więc, niech tak będzie zawsze. Prosto, zwyczajnie, aż po kres istnienia. Położył się obok dziewczyny, a ona instynktownie przywarła do niego całym ciałem.

Wsunął ręce pod głowę i zamknął oczy. Wszechogarniająca, spokojna radość wzięła go w posiadanie.

Zostaną tutaj albo znajdą jakieś bezpieczne i piękne miejsce, w którym nocami

będzie słycać tylko słowiki lub najwyżej sowy.

Nadeszła nowa myśl, a on uśmiechnął się do niej - dzieci... Na pewno nie będą już podlegać Przemianie i nikt nigdy nie zwątpi w ich człowieczeństwo. A potem... w przyszłości zasłyną być może jako nadzwyczaj zręczni artyści lub akrobaci...

Rozmyślania Ksina skupiły się teraz wokół wielu jasnych i najzwyczajniejszych spraw. Był po prostu szczęśliwy.

Później zasnął, ale miał co do tego wątpliwości. Jawa i sen złączyły się i przemieszały. Śnił o Hanti, że wstaje, ubiera się, zaczyna krzątać się po izbie. Możliwe iż ona naprawdę już wstała, tylko Ksin nie wiedział tego na pewno... I wcale nie pragnął wiedzieć.

Ten cudowny nastrój prysnął około południa. Zajęty czymś nie spostrzegł tego w pierwszej chwili i dopiero odruch gniewu, wywołany przez jakiś zupełnie błahy powód, sprawił, że uświadomił to sobie. Zdziwił się, ale na razie wzruszył tylko ramionami i nie przejął się zbytnio. Jednakże robak, który zagnieździł się w jego duszy, ugryzł niebawem o wiele mocniej. A potem znowu...

Irytacja i rozdrażnienie narastały w nim z godziny na godzinę. Nigdzie nie mógł znaleźć sobie miejsca. Hanti, która początkowo patrzyła na niego ze zdumieniem, teraz wyraźnie przestraszona zaczęła schodzić mu z oczu.

Gdybyż choć znał przyczynę niepokoju!

Napięcie rosło i stawało się coraz trudniejsze do zniesienia. Wreszcie, straciwszy cierpliwość, siadł w pozie do medytacji i skoncentrował się na stanach swej świadomości. Obserwował rodzące się myśli, drgania uczuć i drogi skojarzeń. Chwytał w sieć woli wszelkie wynurzające się z podświadomości okruchy gniewu, lęku i zbierał je, aby potem, kawałek po kawałku, układać mozaikową wizję. W końcu zrozumiał - czuł Obecność.

I to taką, jakiej nie zaznał nigdy dotąd! Nie umiał rozpoznać w niej żadnej ze znanych mu istot. To coś musiało być teraz gdzieś daleko, ale on zdawał się dostrzegać Moc, przy której bladły całkiem strumienie nienawiści wysyłane w przestrzeń przez nawet najbardziej krwiożercze wampiry i strzygi.

Wibracje zła były wciąż jeszcze bardzo słabe, niosły jednak w sobie znamiona jakiejś przerażającej siły, a ich natężenie powoli, ale bardzo wyraźnie rosło...

Wstał, wyrzwał przez okno. Skąpane w słońcu dachy domów, ludzie tłoczący się na wąskich uliczkach i zwykle codzienne scenki. Nic nie zdradzało grozy, która zawisła nad miastem i gęstniała nieubłaganie niczym niewidzialna burzowa chmura.

Tuż przed karczmą jakiś chłopak całował dziewczynę;

jej smukłe, białe ramiona o delikatnej skórze oplatały jego szyję, a dłonie gładziły włosy. Ksinowi zdało się nagle, że ręce te do kości odarte są z mięsa, a młodzieniec tuli do siebie rozszarpanego trupa... Cofnął się pełen wstrętu.

- Hanti...

Na przekór sobie, z pośpiechem skoczył ku niej i wargami rozgniół jej usta, próbując zgasić upiorną wizję. Nie zdołał. Odepchnął ją od siebie.

- Ksin, co się stało!?! - spytała oszołomiona. Opowiedział jej.

Nic nie odrzekła, tylko skuliła się tak, jak gdyby chciała ukryć przed obcym swe piersi.

- Po wschodzie księżyca będę mógł więcej zrozumieć - dodał. Teraz pójde

rozejrzeć się nieco po mieście.

- Nie zostawiaj mnie samej! - kurczowo złapała go za ramię.
- Dobrze, chodź ze mną.

\* \* \*

Pierwszym odruchem po Przemianie było zjeżenie sierści. Zmysł Obecności wyostrzył się teraz tak bardzo, że poprzedni umiarkowany sygnał odebrał niczym cios.

Znał już odległość - około mili. Malala. Potwór nie był jeden, mogło ich być przynajmniej pięć. Do Katimy podchodziły z trzech stron.

Krażył po izbie niby tygrys w klatce. Co chwila mimowolnie wysuwał szpony. Czuł się jak osaczone zwierzę. Instykt podpowiadał ucieczkę, a skulona na łóżku Hanti zaczęła szlochać. Opamiętał się trochę. Podszedł, zaczął zlizywać łzy.

- Tak bardzo boję się - szepnęła, chowając twarz w jego sierści. Zapach jej ciała zmieszany z unoszącym się wszędzie oparem grozy przyprawił go aż o zawrót głowy...

Rozdrażnienie stało się pożądaniem. Pchnął łbem, upadła płasko. Pojęła błysk w jego oczach i pośpiesznie rozchyliła kolana. Natychmiast wszedł między rozwarte uda. Uderzał szybko, gwałtownie, raz za razem. Zaplotła nogi na jego biodrach i za każdym ruchem sama napierała na niego szaleńczym zrywem. Dyszała ciężko i głośno, ale inaczej niż zwykle - teraz z wyraźnym wysiłkiem, jak w walce.

W chwili szczytu, przeraźliwy skowyt mordowanego człowieka poraził ich falą obłądnej, demonicznej rozkoszy.

W dole, pod oknem przebiegł ktoś, wyjąc nieludzko jak osioł poszczuty psem.

Ksin wyczuł Obecność o niespełna dwadzieścia kroków od siebie, a z głównej izby w karczmie, w której przesiadywała zawsze gromada spragnionych, buchnął z wielu gardeł krzyk tak straszny, jakby ktoś bramy piekła otworzył, potępieńczym wrzaskom ujęcie do świata żywych dając. Od razu w ogólnym jazgocie rozległy się krótkie, rozedrgane jęki konających, trzask gruchotanych kości i tupot ogarniętych bezrozumnym szaleńcami.

Ksin nie zamierzał czekać, aż „tamto” wtargnie do ich komnaty. Wskazał dziewczynie drzwi. Nie śmiała protestować, podbiegła, otworzyła i wyjrzała, aby za moment cofnąć się z twarzą ukrytą w dłoniach. Gwałtowny dreszcz wstrząsnął jej ramionami...

Jak pocisk wypadł na zewnątrz. Przez ułamek chwili tkwił na szczycie poręczy okalającej galerię prowadzącą do gościnnych pomieszczeń. Skoczył.

Pazury uderzyły z nadnaturalną siłą, którą powiększył ciężar kotołaka spadającego z piętrowej wysokości. Zagłębiły się w karku strzygi, rwąc całe pączki mocnych jak stal wiązań i ścięgien.

Dotknął podłogi i przetoczył się w bok. Potwór wykonał zwrot, a Ksin zobaczył swój błąd. To nie była strzyga! Ale coś, na co nikt jeszcze nie wymyślił nazwy. Podobne do jakiejś bluźnierczej karykatury człowieka.

Cios łapy, wyglądającej jak połączenie topora z ramieniem, o włos ominął łeb kotołaka, druzgocząc blat stojącego za nim stołu.

Znowu świst, unik i huk pękających desek. Szczęki potwora zwisały bezsilnie, ale jego ramiona zakończone podobnymi do łopat szponami, wciąż cięły powietrze z szybkością i mocą pioruna.

Ksin atakował, uderzał i krył się pod stoły lub ławy, a te rozpryskiwały się w drzazgi, kiedy tamten próbował go dostać. Upiorny stwór ciskał się, miotał na wszystkie strony, aż nagle stąpnął na śliski od krwi fragment podłogi, stracił równowagę i zachwiał się niczym pijany.

Kotołak zerwał się jak w natchnieniu i poderwawszy ze sobą stół, pchnął i przywalił nim przeciwnika. Już był na górze. Przydusił i sięgnął pazurami. Raz, drugi i znowu.

Rwał ścięgna, mięśnie, wyrywał wnętrzności, kaleczył. Nie zapamiętał chwili, w której wyszarpał serce...

Cofnął się. Pod leżącym do góry nogami stołem nic się nie poruszyło. Tylko kałuża posoki wypływała wciąż większa i szersza.

Ogarnął wzrokiem salę: wokoło porozbijane sprzęty, kilka wielkich, skrwawionych, najeżonych odłamka mi kości, ochłapów, a trochę dalej jakiś człowiek czołgał się w stronę wyjścia, wlokąc za sobą bezwładne nogi, jelita i pas szkarłatu.

W oknach, otwartych drzwiach wiele twarzy. Dziesiątki tępo wybałuszonych oczu - to im ocalił życie.

Gospodarz wyłażący zza kontuaru. Kroki na schodach - nadchodziła Hanti. Stanęła przy nim.

- On jest dobry. Jest mój... - powiedziała z jakąś dziecięcą naiwnością.

Poczuł lęk. Zrozumiał, że skończył się jego wpływ na następne zdarzenia. I jej też. Teraz mogli już tylko beczynn timer czekać na to, co przyniesie im przyszłość. Wrócili do pokoju. Ksin przysiadł przed kominkiem, a Hanti skuliła się, chowając głowę w ramionach...

## **Rodmin**

Stał w drzwiach w otoczeniu kilku żołnierzy. Ubrany w proste, niezbyt bogate, ale wykwintne szaty. Rówieśnik Ksina, a może tylko trochę starszy od niego. Hanti, która mu otworzyła, trwała pod ścianą ze wzrokiem wbitym w podłogę, a Ksin czekał na środku izby z rękami założonymi na piersiach.

Lśniący, nagi miecz leżał na stole.

- Tyś jest kotołak-Ksin? - zapytał przybyły.

- Tak, ja.

- Bierzmy TO panie! - zawołał jeden z żołnierzy, występując do przodu.

- Zawrzyj pysk durniu i wyjdź stąd! - warknął młodzieniec, wypychając zdumionego gwardzistę za próg.

- I wy też! - rozkazał pozostałym. Chciał zatrzaskać drzwi, lecz zawahał się jeszcze i dodał:

- Wina tu dać, ale dobrego!

Podszedł do Ksina i spokojnie spojrział mu w oczy.



- Jestem Rodmin, nadworny mag Jego Wysokości Redrena, pana Katimy i króla Suminoru.

- Nie wyglądasz na maga, panie - odrzekł Ksin zimno.

Cierpki uśmiech wykrzywił wargi Rodmina.

- Nie od ciebie pierwszego to słyszę - odparł - każdemu wydaje się, że jeśli mag, to zaraz koniecznie mumio-waty staruch w szpiczastej czapie. A ja po prostu wcześniej zacząłem; jeszcze w brzuchu matki, to wszystko.

Ksin milczał.

- Nie ciekawi cię to, masz rację. Co innego chodzi ci teraz po głowie: z czym i po co przylazł ten tutaj, czyli ja. Czy rozwalić mu łeb mieczem, tym który leży na stole, już teraz, czy jeszcze trochę poczekać. Prawda?

- Zgadza się, w myślach czytać potrafisz, to i wiesz pewnie, że oboje niewiele do stracenia mamy.

- Póki żyję, będę mógł tłumaczyć komu trzeba, że właśnie tego kotołaka należy potraktować inaczej, niż robiono to przez ostatnich kilkanaście wieków. Bo zapewniam cię, że nikt się nie wzruszył do łez tym, że uratowałeś tu czyjeś życie. Dla tego motłochu ważne jest tylko to, że należysz do tego samego rodzaju istot, po których wczorajszym najściu zostało paruset zabitych i obłąkanych.

- A ty...?

- Dla mnie też nie ma znaczenia ocalenie tych paru prostaków. Ważne jest co innego: potrzebuję kogoś takiego jak ty. Dlatego przyszedłem - wyjaśnił bez ogródek.

- Niby do czego?

- Pytasz głupio, a żyć chcecie?

- Tak samo jak ty... Rozległo się pukanie do drzwi.

- No właśnie - Rodmin cofnął się, otworzył i odebrawszy od żołnierza dzban oraz trzy kubki, wrócił i postawił je na stole.

- Więc wypijmy za to - dodał, rozlewając trunek. Po drugim dzbanie nastroje całej trójki znacznie się poprawiły. Zaróżowiona Hanti przypomniała sobie, że potrafi się śmiać i szybko przejęła obowiązki gospodyni. Natomiast gość, rozsiadłszy się wygodnie, z zainteresowaniem słuchał Ksina, który kolejny raz opowiadał swoją historię. Opowieść skończyła się równocześnie z zawartością trzeciego dzbana, a Rodmin odstawił kubek i powiedział:

- No cóż, ciekawe to, ale do rzeczy: dłużej mieszkać tu nie możecie, zapraszam was do pałacu. Uradziłem to z królem dziś rano...

Ksin zamyślił się.

- Niech i tak będzie - odrzekł po chwili - Hanti zbierz nasze rzeczy...

Trochę później schodzili po schodach prowadzących do głównej izby. Panował tam względny porządek. Wcześniej wyniesiono już zwłoki oraz pogruchotane sprzęty, a teraz kobieta gospodarza szorowała na klęczkach podłogę, zmywając właśnie jedną z wielu krwawych plam. Na ich widok przerwała pracę, zamierając z wyrazem przestachu na twarzy.

Kotołak popatrzył na jedno miejsce, a Rodmin odgadł sens tego spojrzenia.

- „Tamto” kazałem odnieść do mojej pracowni. Trzeba TO zbadać i chciałbym, abyś był przy tym - powiedział półgłosem, po czym zwrócił się do zebranych żołnierzy:

- Oto goście Jego Królewskiej Mości - rzekł, wskazując na Ksina i Hanti - czy zrozumieliście dobrze? Przyjęli to bez mrugnięcia.

- Tak jest, panie.

- Czy motłoch dalej stoi przed karczmą?

- Tak, panie.

- Więc będziecie potrzebni - gestem pokazał drzwi. Wydostali się na ulicę i dopiero tutaj zobaczyli, dlaczego nikt nie niepokoił ich przez ostatnie godziny – gospodę otaczał zwarty szereg gwardzistów, powstrzymujących napór burego, posepnego tłumu.

Gdy wyszli, powitało ich wycie i gwizdy.

- W imię króla! Z drogi! - żołnierze napaarli mocno.

Tamci ustępowali niechętnie, z ociąganiem, a chwilami próbowali nawet oporu, bo co kawałek, tu i ówdzie, rozlegały się krótkie, gniewne okrzyki, a potem głuche łupnięcia wymierzanych skwapliwie razów.

Nagle, korzystając z zamieszania, jakiś człowiek przepchnął się przez szpaler halabardników i skoczywszy w kierunku Ksina, uniósł kamień do rzutu.

Ochrona nie dała mu szans; jeden z gwardzistów błyskawicznie zamachnął się włócznią i z półobrotu zdzielił go drzewcem w twarz.

Skowyt i mlaszczący bełkot. Zalany krwią nieszczęśnik padł na ziemię, lecz tu dosięgnęły go nowe ciosy i czuby podkutych butów. Zawodząc i jęcząc odpełził w bok na czworakach i skrył się w szemrzającej masie.

Rodmin splunął przez zęby.

Do pałacu dotarli godzinę później. Przeznaczone dla nich mieszkanie było większe i wygodniejsze niż pokój w karczmie. Zanim jednak zdążyli je lepiej obejrzeć, znowu pojawił się Rodmin i zabrał ze sobą Ksina.

Jakiś czas szli pałacowymi korytarzami.

- Dokąd idziemy?

- Do pracowni, czekają tam na nas. Zaledwie stanęli w progu, rozległ się zniecierpliwiony głos, na dźwięk którego mag drgnął zaskoczony.

- Długo kazałeś nam czekać na siebie, mości Rodminie. Obaj skłonili się nisko.

- Wybacz królu, oto jest człowiek, o którym mówiono - wskazał na Ksina.

- Człowiek?

Rodmin nie zawahał się ani przez chwilę.

- Nie inaczej, panie, choć pozory mogą wskazywać na coś innego. Czar, jaki na niego nałożono, jest silny tak bardzo, że i za dnia cech kocich mu nadaje.

Ksin spojrział na niego z wdzięcznością, a król pytał dalej:

- Skoro tak, to jak możliwe było pokonanie tak wielkiego zła, aby móc czynić dobro nawet podczas pełni?

- To świadczy jeno o sile i przymiotach ducha, które mężowi temu przynależą - odparł Rodmin.

- Tedy niechaj usłyszę jego imię.

- Zwą mnie Ksin, panie.

- I to jest twoje dzieło? - zapytał Redren, pokazując na podłużny toból leżący na stole, obok którego stało jeszcze dwóch ludzi w długich i czarnych szatach.

Ksin domyślił się, co on zawiera.

- Tak, królu.

- Mości Rodminie, czy możecie już zacząć? Ach, prawda, byłbym zapomniiał, ale znasz, jak sędzę, tych oto mędrców z Akademii, mistrzów Gonto i Irdena?

„Czarni” kolejno skinęli głowami, kiedy król wymieniał ich imiona. Rodmin ściągnął brwi.

- Znam panie, lecz nie sędzę, aby mogli być tu w czymkolwiek pomocni...

- Ja inaczej myślę - przerwał mu Redren - i radzę wam na dziś zapomnieć o sporach. Dość już błazeństw i zacznijcie wreszcie robić to, za co was karmię!

- Wedle woli Waszej Wysokości - Rodmin skinął na Ksina i obaj podeszli do stołu. Mag sięgnął po jeden z lancetów i podał go Irdenowi.

- Wiele słyshałem o zręcznych dłoniach Waszej Dostojności - powiedział. - Czy zechcesz panie poprowadzić sekcję - nawet nie próbował ukryć zawartej w tych słowach drwiny.

Tamten skrzywił się z niechęcią, ale narzędzie przyjął i po krótkim wahaniu zaczął odwijać tkaninę. Rodmin z pomocą Ksina przysunął do stołu dwa pełne świec lichtarze. Król nie ruszył się ze swojego miejsca, a krzesło, na którym siedział, znalazło się teraz w głębokim cieniu.

Mistrz Irden odchylił ostatni płat płótna. Panującą ciszę przerwał ostry brzęk lancetu, który wyślizgnął się z jego zmartwiałej dłoni i upadł na kamienną posadzkę.

- Na Reha! - Gonto zwinął się w kłęb, jakby dostał w brzuch, i uciekł pod ścianę. Irden zsiniał i po krótkiej wewnętrznej walce nie wytrzymał i odwrócił głowę. Nawet Ksin wzdrygnął się mimo woli.

- Co tam! - wrzasnął władca i zerwawszy się z miejsca, ruszył w ich stronę.

Zdążył zrobić tylko dwa kroki, bo akurat tyle starczyło, aby zobaczyć to, co leżało na sekcyjnym stole. Nagle zdrętwiał, zasłonił oczy, po czym skrećiwszy się w szybkim półobrocie zawrócił. Jak pijany dotarł do krzesła i siadł na nim, dysząc ciężko. Oczy bez przerwy zakrywał dłonią. Widać było, że z trudem panuje nad sobą.

- Wina! - wychrypiał w końcu.

Gonto i Irden na wyścigi pośpieszyli z usługą - byle dalej znaleźć się od tamtego upiornego widoku.

Rodmin odetchnął głęboko.

- Oto pierwsza z cech tej istoty; każdy, kto patrzy na nią, widzi to, czym w głębi duszy najbardziej się brzydzi, co wywołuje najgłębszą odrazę.

- Jak to możliwe! - król przyszedł już trochę do siebie.

- Jest taki rodzaj magii, który z zakamarków umysłu potrafi wydobyć najskrytsze i najokropniejsze myśli, bo w każdym z nas jest taki czarny zakątek, w którym czai się bestia i strach. Starczy dotknąć go i obudzić.

- Więc TO żyje dalej?!

- W materialnym znaczeniu tego słowa, nie, zostało zabite już wczoraj, ale natura tego jest dwoista. Rzekłbym: jest żywe w połowie. Ksin powiedz, co widzisz.

- Dwie rzeczy niczym dwa obrazy nakładają się tutaj na siebie: jedna zewnętrzna i przejrzysta, lecz nikomu nie zdradzę, co przedstawia; jest ponad moje siły mówić o tym. Druga to rodzaj maszyny z kości, mięśni, pazurów i kłów, mogącej służyć tylko do zabijania.

- Zepsutej maszyny - dodał mag - i to właśnie jest rzecz, którą obaj widzimy tak

samo, resztę tworzy nam wyobraźnia.

- Ja nie dostrzegłem nic podwójnego - zaprotestował Gonto.

- Bo zbyt przeraził cię widok pierwszej powłoki, panie - odpowiedział Rodmin - a ta dla każdego jest inna. Sprawdźmy to zresztą. Niech każdy powie, co widział, mistrzu Gonto...?

- Nie!

- Mistrzu Irdenie?

- Nie!

- Ksin?

- Nie!

- Wasza Wysokość?

- Jak śmiesz! - Redren spurpurowiał na twarzy.

- I ja również nie - Rodmin mimo uszu puścił królewski okrzyk.

Zapadło milczenie.

- Mniejsza o to, co i jak - Redren przemówił wreszcie. - Chcę wiedzieć, skąd się to wzięło i dlaczego właśnie tu i teraz!

- Z piekła ani chybi! - wyrwał się Gonto.

- A od kiedy to istoty piekielne mają materialne ciała? - zaszydził Rodmin.

Gonto spojrzał na niego z wściekłością, lecz milczał zawstydzony. Mag ciągnął dalej.

- Nie panie, to dzieło człowieka, lecz nie takiego, co to jedną lub może kilka tajemnych ksiąg przeczytał. Ani tym bardziej jakowejś zgrzybiałej wiedzy, która tylko naturze przyglądać się umie i od biedy trupa w wąpierzka czy strzygę, albo żywego w wilkołaka przekształcić potrafi. Znać tutaj rękę i umysł geniusza, co kęs życia studiom nad upiorami poświęcił. Sam nie wiem, co bardziej wypada: bać się, czy może podziwiać....

- Ja go na pal wbić każę, jeno mi rzeknij kogo?

Rodmin zamyślił się.

- Nie mnie na to pytanie odpowiedzieć, ale tobie, królu. Sam najlepiej wiesz, kto chciałby ci z głowy koronę zedrzeć.

- Koronę...?!

- A tak, bo pomyśl tylko. Wasza Wysokość. Do stolicy włożą upiory, ludzi tuzinami zagryzają, innym na sam ów widok rozumy się mieszają, a król nic zrobić nie może. Historia powtarza się, raz, drugi, trzeci, i wreszcie zjawia się ktoś, kto od upiorów wyzwolić obiecuje, chce tylko, żeby go posadzić na miejsce władcy, który przecież poddanych swych obronić nie umie...

- Dość! Starczy! Każę wojska na ulicach ustawić!

- To rozkaż też, panie, ziemię pod nowy cmentarz szykować i jeszcze szpital dla obłąkanych postawić.

- Co więc radzisz?

- Ty królu znajdź tego, co następcą twym pragnie zostać. On już nam powie, kto tymi kukłami kręci...

- A jeśli nie zechce?

- Czyżby mistrz Jakub stracił pewność ręki? Redren zaśmiał się krótko.

- To mi się podoba! Zrobię, jak mówisz, ale co ty uczynisz?

- Nie ja, ale my - wskazał na Ksina. - Nam, panie, resztę pozostaw...

Niebawem zostali sami. Rodmin bez pośpiechu podszedł do stołu i narzucił zwisające zeń płótno. Ksin patrzył na niego zamyślony.

- Powiedziałaś my... - rzeki w pewnej chwili. Mag odwrócił się.

- Bo sam nic nie wskóram - odparł - to wiem na pewno.

Ksin nie odpowiedział, a Rodmin zrobił krok w jego stronę i spojrzał mu prosto w oczy. Moment później na twarzy maga pojawił się jakiś nieokreślony grymas, a kotołak uśmiechnął się chłodno.

- Ta myśl nie była przeznaczona dla ciebie - powiedział spokojnie.

Rodmin zachnął się jak złodziej schwytyany z ręką w cudzej sakiewce.

- Pierwszy raz widzę coś takiego... - burknął zmieszany.

Odpowiedzią było wzruszenie ramion.

- Więc gadaj, o co ci chodzi! - prawie krzyknął.

- Co mam mówić?! - warknął Ksin - i tak masz nas w garści i nie ma znaczenia to, że diablo mało obchodzi mnie, czy ktoś chce wysadzić z tronu jakiegoś tam króla, czy nie!

- I pewnie myślisz jeszcze, że ja bawię się w to jedynie ze strachu, że jak Redren skończy się, to i ja razem z nim, tak?!

- Właśnie.

- Dureń jesteś! Zmuszać nie zamierzam, chcesz to idź, żyj sobie, płódź mieszańce, a bodaj cię!

Żrenice Ksina stały się czarnymi, pionowymi kreskami. Jednym skokiem przypadł do Rodmina i niemal ocierając się o niego prychnął:

- Słuchaj no ty, mości oświecony, ja chowałem się w lesie, w lesie żyłem, na tych waszych wielkich dziełach i wojnach za grosz się nie wyznaję, ale tchórzem nie jestem i jeśli rzecz uczciwa, to pazurów ni miecza żałować nie zamierzam!

Mag odsapnął z ulgą.

- Dobrze, siadaj...

Długą chwilę w milczeniu przemierzał komnatę w tę i z powrotem.

- Wąpierz, strzygi, wilkołaki, bazyliuszki i wszystkie inne potwory. Myślisz pewnie, że zawsze tak było..., zresztą prawie każdy tak myśli... - zamilkł na moment.

Siedemnaście wieków..., tak..., to rzeczywiście tak jakby zawsze. Ale wcześniej..., wcześniej było inaczej. Byli tylko ludzie, były rośliny, zwierzęta. Nic więcej. TO zaczęło się dokładnie tysiąc siedemset dwadzieścia jeden lat temu; wtedy z nieba spadł wielki ognisty głaz... Być może błąkał się najpierw gdzieś, hen między gwiazdami i przypadkiem napotkał nasz świat. Może rzuciła go ręka jakiegoś mściwego boga. Nie wiemy.

Ziemia trzęsła się wiele dni, a rzeki i morza wystąpiły ze swoich brzegów, nastąpiła długa i mroźna noc, w czasie której pomarło prawie wszystko, co żywe. A kiedy znów pojawiło się Słońce, okazało się, że i ono skrzywiło drogę swojej dziennej wędrówki.

I świat był już pełen Onego... Później pokolenia mędrców przez wieki próbowały przeniknąć jego istotę. Na próżno. To nie zło - ono było i wcześniej, nie wola ani duch, raczej Moc, albo też Prawo, które do głębi przeniknęło i skazyło Naturę, każąc jej dawać początek milionom ohydnych nadistot...

Świat, który zrodził Ono, pozostał poza naszym pojmowaniem. Tak jak sens i porządek jego. Rozumem ledwie musnąć się daje. O Onym zaś jeno to wiemy, że dziwne do zła upodobanie trzyma. Napływa, gromadzi się, skupia, gdy tylko coś nie tak się dzieje - rychło w materii ślady swe odciska i nowy potwór się rodzi. Tu przerwał i spojrzał na Ksina.

- To co ci rzekłem, jest wielką tajemnicą, która do magów zawsze należała. Innym zdaje się, że podczas katastrofy bramy do piekieł strzaskane zostały i wyziewy znalazły ujście. Tym jednak nie powinienes wierzyć, bo jakakolwiek rzecz, niechby i z czeluści piekielnych wzięta, gdy ją choć z cieniem Onego przyrównać, tak swojska jak własna koszula zdaje się i także samo Onego mocy podlega, bo Ono obcością jest tak wielką, że aż niepojętą i straszną.

Ta walka trwa tyle już wieków, że koniec jej chyba nigdy, nigdy nie nastanie. Wciąż jedno tylko czynić umiemy - potwory zabijać... - urwał nagle, przygarbił się, skurczył i cichym, zdławionym od nagromadzonej furii głosem dodał:

- ... i tworzyć.

Zamilkł, ale za moment wrzasnął, zionąc niepohamowaną wściekłością:

- Tworzyć! Pojmujesz! Naturę gwałcić! Mało gwałcić - zdradzać! Naszą Matkę! Dla korzyści... - ucichł. Bardziej ohydnej zdrady wymyślić sobie nie mogę - chwycił dzban z winem i pił długo wielkimi haustami. Później znowu przemówił:

- Tutaj o czysty, spokojny świat wojna idzie. W niej już tysiące pokoleń przeminęły. Może i nie ma nadziei, ale przecież trzeba..., ciągle i dalej. Każdy niech okrucuch dołoży...

Zatłuc te upiory i łajdaka, co je powołał do życia – to właśnie taki okrucuch!

Podszedł do kotołaka i zatrzymał się przed nim.

- Jesteś pierwszym potworem, który mógłby nam pomóc...

## **Cmentarne zjawy**

Skąpani gasnącą purpurą zachodzącego słońca, dwaj jeźdźcy gnali Południowym Traktem. Pędzący przodem Rodmin co chwila oglądał się na Ksina, ten zaś, nie bacząc na szaleńcze tempo, siedział przygarbiony, skupiony, z zamkniętymi oczami, instynktownie tylko trzymając się konia.

- Czujesz je?

- Tak, coraz wyraźniej.

- Ale czasu mało, zdążymy?

- Powinniśmy.

- Przydałoby się...

Zamilkli.

Noc nadeszła szybko, a niebawem jej mrok rozjaśniać zaczęła srebrzysta poświata szykującego się do wschodu księżyca. Ksin ściągnął wodze. Zeskoczyli na ziemię.

- Czy podjechaliśmy dość blisko? - zaniepokoił się Rodmin.

- Wystarczająco, masz! - rzucił mu ściągnięty w pośpiechu kaftan - schowaj moje ubranie i odprowadź konie.

Mag wrócił po chwili, zastając Ksina klęczącego już na murawie.

- Mam odejść?

- Zostań, jeśli chcesz.

Niebawem było po wszystkim. Kotołak wstał i popatrzył na Rodmina, do którego w tym samym momencie dotarła myśl:

- Gotowy?

Skinął twierdząco głową, a Ksin poprowadził go w ciemność.

Szli długo, przeszło godzinę. Przez ten czas mag nie odezwał się ani słowem, a również Ksin nie przekazał mu żadnej myśli, te bowiem, które teraz snuły się w jego głowie, pragnął zachować wyłącznie dla siebie...

Przed nim był wróg, z każdą chwilą wciąż bliższy - tak mówił zmysł Obecności. Ale on wiedział, że to jest złudzenie. Tam w dali czały się tylko kły oraz szpony oprawione w kłęby mocarnych mięśni. Tego nie obawiał się nigdy. On też miał zęby, pazury i szybkość błyskawicy rozcinającej niebo. Gotów był podjąć to wyzwanie siły...

Siły - tak, lecz czy starczy woli? Woli niezbędnej do poskromienia prawdziwego wroga, tego który tkwił gdzieś w głębinach podświadomości Ksina. Nieznanego, niepojętego...

Wczorajszej nocy wszystko stało się nagle, zbyt szybko, aby mogła obudzić się pamięć i wyobraźnia. Skoncentrowany na walce mimowolnie zdusił odrażające myśli-robaki i zamknął im drogę do świadomości. Teraz tak nie mogło być. Widział tamtego upiornego trupa i TO, w co zaczął się on przekształcać pod wpływem jego spojrzenia. Wtedy hamował się jeszcze, nie był przecież sam, ale inaczej nie powstrzymałby krzyku...

Szedł zatem na spotkanie samego siebie, na spotkanie z lustrem, w którym zobaczy coś, co ugodzi jak zestalony płomień w najbardziej wrażliwą część duszy. Musi przyjąć ten cios, a potem uderzyć. Jeśli zawaha się choćby przez moment - zginie rozdarty na strzępy.

Rodmin myślał podobnie. Miał broń groźną i niezawodną. Był magiem, a więc w potrzebie układ znaków i zaklęć mógł chronić go niczym pancierz - jeden gest, a powietrze przed nim stanie się przejrzystą skałą. Jedno słowo, a miękkie szaty nabiorą twardości stali. Rozewrze się ziemia albo rozbłyśnie płomień...

Rodmin mógł wszystko zmienić. Był tylko jeden wyjątek: ... on sam. Mag, ale tylko człowiek...

Kotołak dał znak, że już blisko. Rozgarnęli ostatnią kępę zarośli.

- Tak myślałem - wyszeptał Rodmin.

Stary, zapuszczony cmentarz w świetle księżyca. Chwasty, krzaki, tu i ówdzie młode, lecz wyrosnięte drzewa i szeregi mogił ukryte pod wysoką trawą. Trudno było je dostrzec.

Wiatr przemykał się tędy od czasu do czasu i wtedy świat długich księżycowych cieni ożywał. Drgały, przesuwwały się i szemrząc ocierały o siebie. Zniecierpliwiony, stłumiony odgłos skargi nadciągał i odpływał jak fala...

Cisza i trzask łamanej gałęzi. Szybko wymienili spojrzenia.

- Tam! - dreszcz przebiegł po sierści Ksina. Bez słów doszli do porozumienia. Rozdzielili się. Odczekał aż ścichnie szelest kroków Rodmina i ruszył przed siebie. Żaden dźwięk nie wydostał się spod jego łap. Dłuższą chwilę sunął wśród cieni i

plam srebrzystego światła, nie ważąc się podnieść oczu.

- No dalej! - ponaglił sam siebie.

Spojrzał. Lodowata bryła momentalnie skryształizowała się gdzieś w żołądku, skoczyła i utknęła mu w gardle. Zmartwiał i patrzył jak urzeczony...

Hanti... - to ona stała pomiędzy rzędami grobów. Błada, przygarbiona, bardzo powoli obróciła się w jego stronę i zaczęła iść bez pośpiechu, stawiając stopy ostrożnie i z namysłem. Jej nabrzmiałe pokarmem piersi ostro rysowały się pod naciągniętą białą koszulą, a obie ręce podtrzymywały wielkie, wezbrane łono, pełne nowego życia...

Zmizerniała twarzyczka i krągła ociężałość gestów świadczyły, iż jej czas mógł nadejść już za kilka dni lub może godzin.

Przemyślany plan ataku: szybko pazurami przednich łap po oczach i równocześnie tylnymi rozdrzeć tamtemu brzuch. Natychmiast odskoczyć....

Nigdy żadna myśl nie wydała się mu bardziej bezsensowna i obca. Tłukła się w głowie niczym ogłupiała ćma dookoła świecy.

- Wykonać, wykonać, wy-ko-nać - powtarzał bezmyślnie i monotonicznie.

Hanti zbliżała się taka szczęśliwa, radosna... Zgiełk, chaos, a po nim bezdenna pustka. Już nic nie chciał, niczego nie pragnął. Wola rozpadła się w proch, a siła zginęła wraz z nią.

- To koniec... - zabłysło gdzieś na dnie świadomości.

Czekał na cios.

Lekki dreszcz. Coś zbliżało się z jakiejś dali, mając migotliwą poświatę. Całkowicie otępiały nie spostrzegł nawet, który ze zmysłów odebrał owo niezwykle wrażenie.

Kształt niejasny..., lecz taki dziwnie znajomy... Nadchodził, wyostrzał się. Obudził ciekawość. Zgasła apatia i rozpacz.

Ależ tak! Znał go! To Znak! Tamten Znak! Ten, z którym walczył i wygrał. Zawisł tuż nad nim - tak mu się zdawało. Lub może w nim albo... - nie pojmował tego. I zabłysł tęczową pulsacją.

Dreszcz zimna, gorąca i mocy. Przeniknął, szarpnął, skrzesił w oczach ogień. Teraz!!!

Dłoń Hanti wyciągnięta w pieszczotliwym geście... Nie! Nie ma dłoni! Zniknęła, to szpony!

Jej czuły uśmiech uległej kobiety, wciąż szerszy i szerszy... - biel kłów w czarnej paszczy! I ryk jak z dna piekieł!

Kotołak zerwał się i pchnął łbem na oślep. Miał o pół kroku za mało, by skoczyć, ale dość, aby wyrwać się śmierci. Zachwiało nimi, padli. On już był na nogach.

Przegniły, rozpadły trup Starej Kobiety drgnął i podniósł się z ziemi. Ksin tylko zacisnął zęby. Bez wahania zaplótł pazury przednich łap w jeden potężny kłęb i z rozmachem uderzył w kark dziecka. Kręgosłup chrupnął jak zgniatany kamień. I jeszcze tylko serce z piersi wyrwać - to znowu jest ciało Hanti. Rozszarpał, skończył. Już nie trzeba patrzeć!

Z ulgą odwrócił głowę. Dłuższą chwilę zbierał myśli, zanim ponownie dotarło do niego to, po co tu przyszedł. Wtedy oddalił się. Szedł wolno, czekając aż powróci spokój.



Z przeciwnej strony wysunęła się z cienia jakaś postać. Poznał Rodmina - miał rozdarty, nasiąknięty krwią rękaw koszuli i zasychające łzy na policzkach. Podeszli do siebie. Mag popatrzył przez chwilę nad grzbietem Ksina.

- Zostały jeszcze dwa - powiedział cicho.

A zatem wykonali połowę zadania...

Rodmin z wysiłkiem rozejrzał się dookoła. Był ogromnie zmęczony, a we włosach pobłyskiwały mu liczne szare pasemka. Zdumiony Ksin uniósł się na tylne łapy. To nie było złudzenie spowodowane blaskiem księżycowego światła; Rodmin rzeczywiście osiwiiał. Twarz naznaczoną miał śladem okropnego grymasu, który wciąż jeszcze rysował się na niej pod maską wymuszonego spokoju. Zgaszone oczy, luźno opuszczone ramiona, cała jego postawa miała w sobie coś, co przypominało ruinę wypalonego domu. Pogorzeliśko duszy.

- Dokończmy to - odezwał się znowu - gdzie one?

- Pod ziemią - nadpłynęła odpowiedź.

- Pokaż miejsce.

Nie było takiej potrzeby. Darń okrywająca odległą o trzy kroki od nich mogiłę rozdarła się z przeciągłym trzaskiem. Szereg zgrzytów i odgłos pękających korzeni wypełnił cmentarną ciszę. Grób poruszył się, szarpnął i otworzył gwałtownie, bluzgając fontanną żwiru, brył ziemi i piasku. Wyrwa zapadła się z głuchym łoskotem i znów zakipiała jak piekielne źródło. Moment i jama rozwarła się po raz drugi, chwila i znowu jej ściany osunęły się w ciemność. Powstał lej - mroczna, wilgotna czatownia upiornego mrówkolwa...

Czerń na dnie mlasnęła odrażająco i plunęła strzępami częściowo zeszkieletowanych zwłok, kawałkami trumny, a resztki zbutwiałych szmat rozleciały się na wszystkie strony i opadły powoli, osiadając na kościach, przegniłym mięsie i popróchniałych deskach.

Fetor uderzył w nich młotem. Bardziej odporny Ksin parsknął, ale nie ruszył się z miejsca. Natomiast Rodmin zbladł, zatoczył się i padł na kolana. Nie miał czym wymiotować, jedynie mdląca gorycz soku żołądkowego obficie wypełniła mu usta.

Pazury kotołaka zaplotły się na jego ramieniu i potrząsnęły nim mocno.

- Uwważaj, wyłazi - zabłysło w otępiałym mózgu.

Drżące palce Rodmina skryły się pod płaszczem i zacisnęły na rękojeści sztyletu. Białe-różowe ostrze załśniło w półmroku.

Oczy Ksina zwęziły się na ten widok: to był kindżał Yev o klindze skuwanej z kawałków miedzi i srebra - magicznego damastu. Można było go użyć tylko jeden raz, gdyż wbity w demona w okamgnieniu rozrasta się wewnątrz niego na kształt kolczastego krzewu, którego igły docierają do wszystkich zakątków ciała potwora i zabijają każdą jego cząstkę osobno.

Mag odpełził w bok na czworakach, a Ksin chwycił jakiś solidny kamień i niezgrabnie przytrzymał go w łapach.

W dziurze gramoliła się Hanti. Odcięta głowa trzymała się jej jeszcze na kilku pasmach skóry lub mięśni i kołysała się między ramionami uczeponymi ścian leja.

Głaz spadł i odbił się od pleców dziewczyny. Wisząca czołem do dołu twarz obróciła się i mrugnęła oczami.

Upiór ruszył na Ksina z zaskakującą szybkością. Kotołak cofnął się błyskawicznie.

Udał unik i skoczył wprost na tamtego. Złuda zniknęła. Pełna szablasy zębów paszcza rozwarła się z rykiem tam, gdzie ziała rana przerąbanego karku - dokładnie przed głową Ksina.

Celny cios spadających z góry szponów zamknął ją z trzaskiem. Wykorzystując zaś to, że zaryte w ziemi pazury potwora były bezużyteczne, uderzył barkiem i zębami wyrwał mu z szyi pęk ścięgien. Odskok.

Stara Kobieta wstała i ze smutkiem popatrzyła na swoje pokaleczone ręce.

- Ty ścierwo! - poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość.

Runął naprzód pijany furją i gniewem, ale tym razem przeliczył się. Grad razów spadł nań jak lawina. Nie zdołał uniknąć wszystkich - szpon przeszył grzbiet i dosięgnął kości. Dwa żebra złamały się z trzaskiem, który odbił się w jego głowie odgłosem dzwonu. Wyrwał się desperackim zrywem. Ból obezwładnił lewą, przednią łapę, a płynne ciepło rozlało się po karku, grzbiecie, ściekało na brzuch. Sapnął z wysiłkiem i poczuł w pysku smak krwi. Znów cofał się, lecz już w nerwowym pośpiechu.

Hanti zbliżała się, szła szybkim krokiem, unosząc wałek do ciasta...

Potknął się nagle o grób i zakrztusił gwałtownie.

- Na co czekasz bałwanie! Uderzaj!!! - ta myśl targnęła umysłem maga, wibrując rozpaczą i furją.

Rodmin, który cały ten czas szedł za potworem niczym bezwolna kukła, zareagował teraz tak jak lalka, kiedy się ciągnie za nitkę: wzniosł ramię, wbił szept.

Ryk zamarł, a upiór runął jak kłoda. Za chwilę gałązki krzewu metalowych cierni przebiły się tu i ówdzie, po czym wijąc się i podrygując skierowały się w stronę lśniącej tarczy księżycy...

- Jeszcze jeden... - głos Rodmina był straszny, bardziej przypominał skrzek niżli ludzką mowę.

- Zaczekaj - skupiona smuga mlecznego światła spoczęła na ciele Ksina. W miejsce bólu nadeszło rozkoszne mrowienie - zaraz będę gotów...

Pół godziny później stali nad jednym z grobów.

- Tak jak poprzednio - mruknął Rodmin - jak one tam wlażyły? Tu przecież nigdzie nie ma śladów...

- Zapewne wkopały się gdzieś dalej.

- I jak krety...?

- Chyba tak, mają szerokie i płaskie szpony. Czekamy, aż wylezie?

- Nie, już mi wystarczy.

- No to jak go dostać? Jestem kotołakiem, a nie kretołakiem.

Usta Rodmina wykrzywiły się w dziwny sposób, w grymasie, w którym Ksin dopiero po dłuższej chwili rozpoznał coś podobnego do śmiechu.

- Rad byłbym je wszystkie w takich kryjówkach zastać. Byłby mniejszy kłopot. Popatrz - wyciągnął gładką kulę wielkości jabłka, siną, o metalicznym połysku.

- Co to takiego? - nadeszło pytanie Ksina.

- Odsuńmy się lepiej - gestem pokazał mu nowe miejsce.

Stanęli o parę mogił dalej. Kotołak uniósł się do góry, natomiast mag położył kulę na lewej, otwartej dłoni, a prawą wykonał nad nią skomplikowane ruchy...

Wokół poruszających się palców pojawiła się pomarańczowa mgła. Nabrała

wyrazistości, ciężaru, po czym jak ciecz spłynęła na spód dłoni i skupiła się w wielką świecąca kropkę. Rodmin strząsnął ją prosto na kulę. Rozpłynęła się po niej, pokrywając całą warstwę barwnego światła. Trwało to krótko, poświata znikła nagle, zupełnie jak gdyby wsiąkła w metal. Kula nie zmieniła wyglądu, ale mag pośpiesznie przełożył ją z ręki do ręki.

- Teraz, szybko! - rozkołysał ramię i cisnął. Pocisk zalśnił w locie niczym smuga ręki i po łagodnym łuku osiągnął grób; rozległo się głucho łupnięcie. Kula osiadła na darni, ale nic się nie stało.

- No i co?

- Już zaraz, na pewno. O!

Dotarł do nich znajomy trzask rwanych korzeni.

Ksin zaniepokoił się.

- Nie, to nie to! - podłoże, na którym leżała kula, wklęło się głęboko.

- Niemożliwe, by była aż tak ciężka! - pomyślał zdumiony.

A jednak stawała się coraz cięższa. Murawa rozstępowała się teraz jak sparciałe płótno. Zachrząściła ziemia i tam, gdzie patrzył, była już tylko równo wycięta, niewielka dziura...

Pocisk zapadał się dalej, świadczyło o tym nieprzerwane, stłumione trzeszczenie i zgrzyty.

- Zaraz go dopadnie - wyszeptał Rodmin.

Dźwięk urwał się. Ksin aż zadrżał z emocji, a serce gwałtownie skoczyło mu w piersi...

To było jak błysk dalekiego pioruna w głębi nocy - łagodne, niebieskie światło w absolutnej ciszy...

Właśnie coś takiego wydostało się nagle spod ziemi!

- Nie! - uświadomił sobie - to ona zaczyna świecić, nabiera przejrzystości!

Zjawisko narastało powoli; dziwne, majestatyczne, potężne.

Tak jak zapalone światło przechodząc przez cienką tkaninę ujawnia na jej powierzchni cień stojącego za nią człowieka, tak ten blask rozjarzony gdzieś w głębi grobu podświetlił go i ukazał wnętrze. Gruba, ciężka pokrywa ziemi nie była tutaj przeszkodą...

Na oczach Ksina w rozpalającej się błękitnej mgłę zamajaczył najpierw podłużny cień. To była trumna. Po chwili wewnątrz niej zaznaczył się czarnym obrysem kształt zwłok lub raczej szkieletu, a poniżej... Ciemna, skurczona postać. Poruszała się sztywno, niemrawo, w rytmie nadnaturalnej agonii.

Potężny, czerwony błysk. Musieli zmrużyć oczy. Kiedy je znowu rozwarli, już nic nie dostrzegli. Moc przestała działać i tylko pożółkła, martwa trawa oraz parująca dookoła mogiły ziemia były jedynym świadectwem tego niesamowitego zdarzenia.

- Pora na nas - powiedział Rodmin przecierając oczy.

- Wróćmy w pobliże koni, tam doczekamy zachodu księżyca, a potem na dwór - przekazał Ksin.

- Tylko nie licz na to, że tam odpoczniemy, to nie koniec jeszcze. W drogę!

Dwaj zmęczeni zwycięzcy bez pośpiechu ustępowali z pola. Dopełniło się przeznaczenie, a niemy, daleki świadek ich zmagania tkwił wciąż wysoko na swoim miejscu, zalewając wszystko bladą poświatą. Później nadciągnął nowy

powiew wiatru i przyniósł ze sobą odległe i samotne wycie wilkołaka...

## Pocałunek

Był świt, kiedy podkowy ich koni zaklekotały na bruku zamkowego dziedzińca. Za chwilę ze stajni wyszło dwóch zaspanych parobków. Nie sprawiali wrażenia nazbyt zadowolonych - szli bez pośpiechu, ziewając jak głodne rekiny.

Rodmin nie czekał, aż podejda bliżej, zeskoczył na ziemię i puszczając wierzchowca samopas, zawołał do Ksina:

- Złaź, nie będziemy tu tracić czasu. Jak im się nie spieszy, to niechaj sami je łapią!

Ten skinął w odpowiedzi głową i poszedł w jego ślady. Mag bez słowa pokazał kierunek. Pobiegli.

Kiedy mijali się z koniuchami, jeden z nich krzyknął coś do drugiego i palcem pokazał mu Ksina. Rodmin spostrzegł ten gest i przystanął na moment.

- Obetrzyj krew z twarzy, bo pomyślą, że kogoś zagryzłeś - syknął Ksinowi do ucha.

Kotołak, nie zwalniając kroku, przetarł grzbietem dłoni wargi i brodę i spojrzał na zebrane skrzepy.

- To moja własna - mruknął do siebie. Przesunął ręką po włosach: pod palcami wyczuł twarde, zlepione kosmyki.

- Ale ta, nie... - pomyślał ze zjadliwą uciechą.

Rodmin biegł już po schodach, przeskakując po dwa lub trzy stopnie naraz,

- Ciekawe, jakim cudem zdołał tak szybko odzyskać siły - przeszło przez głowę Ksinowi - widać i on ma jakieś swoje sposoby, inaczej na pewno nie byłby tak żwawy z tą pogryzioną do kości ręką.

- Gdzie idziemy? - zapytał głośno.

- Do króla, tam dowiemy się, co dalej. Daleko nie zaszli. Dwie skrzyżowane halabardy zamknęły im dalszą drogę już za trzecim zakrętem korytarza.

Rodmin przywołał starszego straży.

- Puszczaj, sprawa pilna.

- Powiedzcie, przekażę gdzie trzeba.

- Durniu, nie widzisz, z kim mówisz? Podoficer wytrzeszczył oczy.

- Nie panie, nie poznaję.

- Rodmin jestem, nadworny mag króla - warknął zbity z tropu Rodmin.

- No tak, jakby... - zająknął się - aleście trochę za starzy, panie, tamtem przecie...

Ksin z trudem powstrzymał śmiech. Za to maga ogarnęła szewska pasja.

- Bęcwały jedne, arkana mojej sztuki nie są na wasze rozumy! Jeśli postarzałem się, znaczy, że tak trzeba było, a teraz z drogi osły, bo i wam po pół wieku dołożę!

Gwardzista zbladł i wykrztusił z wyraźnym przestraczem:

- Króla tam nie ma.

- A gdzie jest!

- W izbie tortur, badań pilnuje.

- To trzeba było od razu tak gadać! - odwrócił się do Ksina.

- Idziemy!

W podziemiach przywitała ich głucha cisza.

- Zapewne skończyli już - domyślał się Rodmin - zaraz się przekonamy.

Weszli do jasno oświetlonego pomieszczenia. Stojący tyłem Redren odwrócił się na odgłos kroków. Przez chwilę stał nieruchomo, jakby nie wierząc własnym oczom, po czym zagwizdał przeciągle.

- No, no - stwierdził, wyglądacie jak klienci pijanego golibrody.

Obszedł ich dookoła i obejrzał z nie ukrywanym zainteresowaniem.

- Mam nadzieję, że żadne damy was jeszcze nie oglądały, bo ani chybi wszystkie by mi z pałacu uciekły... Rodmin łyknął nerwowo ślinę.

- Panie my...

- Trupami śmierdzącie łajdaki! A bodaj was z taką perfumą!

Patrzył na nich z miną, jakby zastanawiał się, czy kazać ich ściąć, czy też może lepiej będzie powiesić. Nagle roześmiał się szeroko.

- Już dobrze, w łaskawym dziś jestem nastroju to i na żarty mi się zebrało.

Podszedł do małego stolika i sięgnął po stojący na nim dzban z winem. Nalał do pełna dwa kubki.

- Macie - podał im osobiście. Zaczęli łapczywie pić.

- Zrobiliście swoje?

- Tak, panie - Rodmin przełknął pośpiesznie.

- I nic nie zostało?

- Wszystkie, panie.

- To i dobrze. Bo i ja swoją część już skończyłem.

Nalał sobie i uniósł pucharek.

- Wasze zdrowie! - zawołał.

- I twoje panie - odpowiedzieli razem.

Wypili i odstawili naczynia. Ksin rozejrzał się dookoła; stojący opodal kat wycierał szmatą powalane krwią ręce, a więc rzeczywiście niedawno musiał skończyć robotę. Natomiast jego pomocnik siedział pod ścianą i z apetytem zajadał wielką pajdę chleba ze smalcem.

Podszedł do ławy i spojrział na rozciągnięte na niej nagie ciało, a raczej na to, co z niego zostało...

Różne rzeczy widywał w życiu, ale tutaj zobaczył coś, co wydało mu się dalszym ciągiem koszmarnej snu dzisiejszej nocy. Myślał, że już obudził się, lecz było to tylko złudzenie.

Ten człowiek żył jeszcze i to przerażało najbardziej, gdyż nie miał na sobie ani jednego nie okaleczonego miejsca...

Mistrz Jakub sprawił go ze zręcznością godną genialnego chirurga. Nie tknął żadnego z niezbędnych do życia narządów, nie uszkodził równie ważnych tętnic i żył, ominął najgrubsze nerwy, ale nie opuścił ani jednego miejsca, w którym mógł wywołać ból...

To co istotne, zostało po prostu wypreparowane z ciała i starannie poukładane na deskach stołu. Nerwy obok tętniących żył, wciąż żywa wątroba, rdzeń wyłuskany w połowie z kręgosłupa. Za to reszty nie było już wcale; zniknęły jelita, nerki, mięśnie. Podobnie jak ręce i nogi. Krwi było mało - widocznie kat natychmiast przypalał rozpalonym żelazem każde zaczynające broczyć miejsce. Zamiast niej błyszcząły

wszędzie żółtawe, pokryte skrzepami kałuże limfy.

Można było domyślić się, że męki zostały zadane powoli i według starannie przemyślanego planu, popartego świetną znajomością anatomii.

- Zaczynał od zdzierania skóry, a kończył na łupaniu gnatów... - Redren, który niepostrzeżenie stanął za Ksinem, pokazał mu gestem narzędzia. Ten jednak patrzył gdzie indziej - na twarz leżącego. Usunięto mu dolną szczękę i język, odcięto nos i policzki. Patrzył na żywą czaszkę. Były w niej oczy, a raczej oko - wybałuszone, straszne, obłąkane. Drugie zwiślało na wywleczonym nerwie.

Ktoś zrobił na nim supelek...

- Dlaczego tak? - wykrztusił wstrząśnięty Rodmin - on przecież nie może mówić.

- Kazałem właśnie tak, kiedy powiedział już wszystko - twardo oznajmił Redren.

- To było zbędne...

- To była kara, wcześniej była konieczność - rzekł krótko król.

- Ależ...

- Dureń jesteś! Może nie zasłużył na to?! Ilu ludzi zginęło wczoraj w mieście?!

- Przeszło cztery setki.

- Starcy, kobiety, dzieci były?

- Stanowili większość, ginęły całe rodziny.

- O tych co oszaleli ze strachu, już nie wspomnę. Ponad czterysta śmierci! I gdyby nie my, byłoby ich o wiele więcej. Ja mogę go zabić tylko raz, a więc przynajmniej zrobię to powoli!

Ksin myślał o rodzinnym lesie, o naukach Starej Kobiety, o wampirach, strzygach, wilkołakach. Nimi kierowało ślepe fatum, nagromadzona złość, przeważnie nie ich własna. Przypomniał sobie o rozpaczach i cierpieniu, które dławiło go każdego słonecznego dnia, nim zdołał pokonać tkwiącą w nim nienawiść. Przypomniał sobie upiory sprzed kilku godzin - przez chwilę popatrzył na króla. Bez jednego słowa podszedł do ofiary, wy dobył nóż i wbił prosto w serce. Straszne oko zgasło natychmiast.

Redren sapnął gwałtownie i skoczył w jego stronę. Ich oczy spotkały się.

Królewskie paławy furia, Ksina

spoglądały chłodno i ze spokojem. Nic nie zmąciło ich głębokiej i jasnej zieleni.

Zapadła złowroga cisza. Obecni w izbie nie śmieli odetchnąć głośniej.

Pomocnikowi kata z rozdziawionych ust wypadł kawałek przezżutego chleba.

Redren uspokoił się nagle. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby budził się ze snu. Rozwarł zmrużone powieki. Bezdźwięcznie poruszył wargami.

- Chciałeś udowodnić mi, że jesteś bardziej człowiekiem niż ja. Ty kocie nasienie, mnie szlachetnemu od szesnastu pokoleń - rzekł bardzo cicho, ale głos zadrżał mu przy tych słowach. Zamilkł, jego twarz wykrzywiła się w dziwnym grymasie.

- To ci się nie uda! - wyrzucił z siebie z ulgą. Obrócił się szybko i ruszył w stronę drzwi.

- Dość błazeństw! Rodmin! Ksin! Za mną! Wy dwaj, porządek tu zrobić! - Redren znów był władcą pośród swych poddanych.

Wyprowadził ich z lochów, jakiś czas szedł przez pałacowe krużganki i zatrzymał się dopiero w ogrodach.

- Siadajcie - pokazał im ławkę. Sam nie poszedł w ich ślady, lecz zadumany

chodził obok nich, w tę i z powrotem, po wysypanej żwirem alejce.

- Ten człowiek był sam - odezwał się, nie przerywając wędrówki - nie miał współników, ale rzeczywiście chciał zająć moje miejsce - zamilkł, popatrzył na Rodmina - miał talent, zapewne większy niż ty. Gdyby otwarcie zaproponował mi swoje usługi, na pewno pozbyłbym się ciebie. Miałby wtedy znacznie łatwiejsze zadanie, jednak zanadto się spieszył. Był zdolny nadzwyczaj, to prawda, ale sam zbyt wysoko się cenił. Zaszarżował i zupełnie przypadkiem potknął się właśnie o ciebie Ksin.

A może to nie był przypadek...? Wyznał mi, że kiedyś w młodości zmieszał i spreparował nasienie mężczyzny i kota, a potem zapłodnił tym świństwem jakąś kobietę. Jej krewni uwolnili ją od niego, a dziecko porzucili podobno gdzieś w jakiejś głuszy...

Ksin zerwał się na równe nogi.

- Siadaj, nie szalej. Ja też pomyślałem wówczas o tym, o czym i ty teraz. Gdyby nie to, chyba jednak uwierzyłbym w Rodminowe bajdy o tobie.

- Wybacz, panie - powiedział Rodmin pochylając głowę.

- Wybaczam i rozumiem, bo niby skąd miałeś wiedzieć, że twój król nie jest takim durniem, na jakiego wygląda.

- Panie, ja...

- Przestań, nie udawaj dworaka, wystarczy mi, że cały pałac pełny jest tej hołoty, a zresztą ja sam dowiedziałem się o tym dopiero wczorajszego wieczora, ale do rzeczy.

Po wyjściu z twojej pracowni kazałem wezwać do siebie dowódcę straży. Miał pomóc mi w wykryciu spisku, o którym wspominałeś, a zamiast tego doszedł do wniosku, że trafiła się doskonała okazja do pogrążenia wszystkich osobistych wrogów. W przeciągu godziny lochy miałem już pełne. Z początku ucieszyłem się nawet, ale zastanowiło mnie, że coś jakby tych buntowników było za dużo - ty przecież mówiłeś o dwóch. Postanowiłem sprawdzić, co mają do powiedzenia i zrobiłem to szybko, bo gdyby Jakub do nich się dobrał, to poprzyznawaliby się do wszystkiego, z gwałceniem własnych prababek włącznie.

Po następnej godzinie kazałem pojmanyh uwolnić, a dowódcę straży zrzucić na zbity pysk ze schodów. Ksin, myślę, że to odpowiednie dla ciebie stanowisko.

- Dziękuję, panie.

- Nie dziękuj, bo może się zdarzyć, że będziesz kiedyś przeklinał. W każdym razie głupi nie jesteś, a jeśli zlecisz kiedyś ze schodów, to nie wątpię, że spadniesz na cztery łapy.

Później wezwałem innych. Banda bęcwałów!! Moje życie i panowanie było w niebezpieczeństwie, a ci umieli tylko prawić pochlebstwa i knuć swoje małe intrygi. Przegoniłem ich, ale zostałem sam. Wreszcie dotarło do mnie, że otoczyłem się stadem nieudaczników. Musiałem myśleć sam. Wyobrażacie sobie? Pierwszy raz od czasów, kiedy pobierałem nauki. Ciekawe, co rzekłby na to mój błazen...

Rozkazałem natychmiast stawić się wszystkim donosicielom i szpiegom. Na szczęście przynajmniej oni okazali się warci swoich żołdów. Sprawdzili każdego, kto kiedykolwiek miał coś wspólnego z magią. Taki był początek. Dalej poszło już łatwo. Znalazłem to ścierwo i wysłałem ludzi. Dał się zaskoczyć, lecz mimo to i tak dwóch gwardzistów szlag trafił. Kiedy podchodzili do niego, coś poderwało ich w górę z

taką siłą, że mózgi rozchlapały się na suficie.

- Znam to - odezwał się Rodmin.

- Ale dostali go w końcu - ciągnął dalej Redren - i zawlekli do lochów. Tam kat wlał mu w gardziel jakiś swój wywar ziołowy. Reszty domyślcie się sami.

- Nic trudnego - stwierdził Ksin obojętnie.

- A jednak nie były to zwykle tortury. Przeszło dwie godziny między nim a mistrzem trwała całkiem równa walka talentów i woli. Z początku nie było sposobu, aby zadać mu ból. Zwykły oprawca na pewno nie zdołałby złamać tego zatwardzielca. Bałem się już, że i Jakub tu nic nie poradzi, ale okazało się, że mam jeszcze zdolnych ludzi w pałacu...

- To wszystko, teraz chcę dowiedzieć się, co wy robiliście. Nie, nie w tej chwili. Oczekuję was po wieczery, bywajcie.

- Zatem do zobaczenia. Wasza Wysokość - odpowiedział Rodmin.

Wstali, oddając ukłony. Redren oddalił się szybko.

- Wiele zmieniło się tutaj dzisiejszej nocy - zamyślił się mag.

- Chciałbym mieć nadzieję, że na lepsze - odparł Ksin.

- A to już w wielkiej mierze zależy od ciebie, dowódco straży - Rodmin wyciągnął rękę - gratuluje.

- Dzięki.

- Czy znajdziesz drogę do swej komnaty?

- Myślę, że tak.

- Więc do wieczora. Czas na mnie - zniknął gdzieś w labiryncie żywopłotów.

Ksin uniósł głowę i rozejrzał się dookoła.

- Niebawem wschód słońca - pomyślał - którądy iść?

Rozsądnej odpowiedzi nie znalazł. Przez chwilę kręcił się po pustej alejce, aż na koniec zdał się na instynkt i wycucie. Szedł bez pośpiechu, przystając co kilkadziesiąt kroków. Odgadywał kształty ogrodów i plan pałacu. Przeważnie trafnie. Wciągnęła go ta zabawa. Zapomniał o koszmarach dzisiejszej nocy i wędrował, wymachując zerwana z jakiegoś krzaka gałązką, z której coraz obskubywał listki. Znowu przyszedł mu na myśl zbliżający się wschód słońca. To było przyjemne, tak jak wizyta mile widzianego gościa.

Pod nogami pojawił się spory kamyk, kopnął go - żwir zagrzechotał gwałtownie, a radość obudziła się nagle. Ze śmiechem wpakował głowę do najbliższej fontanny i nie uspokoił się nawet pod wodą. Bańki powietrza łaskotały go w policzki i uszy. Przestały, gdy skończył się oddech. Teraz wsłuchał się w szmer i szelesty jak z innego świata.

- To zabawne słuchać fontanny od spodu. Umył twarz i rozkleił strąki pozlepianych włosów. Wyplukał usta.

- Pięknie - rozłożył ramiona i obrócił się szybko kilka razy. Chciał wzlecieć.

- Tam mogłaby być furtka - ominął kolejny klomb. Rzeczywiście była. Pochłonął go mrok korytarzy. Woda ściekała za kołnierz. Coś zaskrzypiało.

- Korniki.

Szedł coraz pewniej i szybciej. Niebawem rozpoznał ozdoby. Już niedaleko.

- Czy czeka...?

Szok był jak cios w żołądek. Skręcił się i padł na kolana - wizje rozbłysły jak



płomień. Ona...

Upiory znów były przy nim. Wyszły na dźwięk imienia; uśmiech, paszcza, piersi rozdarte po wyrwanym sercu, rozszarpany, drgający brzuch, przerąbany kark...

Wstrząsnął nim zimny dreszcz.

- Dość, precz, wynocha! - przepędził je gwałtownym wysiłkiem woli - schowały się w podświadomości. Wstał, uspokoił oszalały oddech.

- Przecież nie dam się temu. Obłąd! To tamte drzwi...

Z wahaniem sięgnął do klamki. Musiał przemóc rosnący Siekała. Od razu rzuciła mu się na szyję. Omal nie cofnął się. Spokojnie! - skarcił sam siebie i oplótł ją ramionami. Czuł pustkę. Dziewczyna znieruchomiała nagle.

- Ksin - popatrzyła mu w oczy - czemu nie chcesz mnie pocałować?

## KAPITAN KSIN FERGO

### Kłótnia i zgoda

Skończył czytać i niedbałym ruchem cisnął rulon papieru na stół. Uniósł głowę i uśmiechnął się zakłopotany. Hanti patrzyła na niego z uwagą. Spokojna, bez najmniejszego grymasu czy drgnienia wysłuchiwała go do końca. Ich spojrzenia spotkały się teraz, lecz żadne nie zamierzało wyrzec tego pierwszego słowa.

Ksin w lekkim, zdobionym srebrem pancerzu z oznakami kapitana królewskiej gwardii przybocznej, i jego żona - dama, jedna z najpierwszych na dworze, swobodnie wyciągnięta na sofie i otulona mgłą wielobarwnych jedwabi karyjskich. Oboje trwali w ciszy, która zaległa, kiedy zamilkły ostatnie zdania czytanego przed chwilą listu.

Na koniec Hanti przesunęła się trochę i pytająco poruszyła brwiami. To podziało na Ksina niczym ostroga na konia.

- Czego do licha się po mnie spodziewasz! - wybuchnął zirytowany - mam udawać, że nie wiem o niczym!

- Najlepiej kolejny raz udowodnij, jaki jesteś szlachetny i ludzki, dokładnie tak jak przyzwyczyłeś się postępować przez ostatnie lata - odparła.

- Masz mi to za złe?!

- Do tej pory nie, ale teraz byłoby to przesadą.

- To jednak kuzyn...

- Który nie tak dawno obiecywał, że osobiście przebiję cię osikowym kołkiem, jeśli tylko dostaniesz się w jego ręce - wpadła mu w słowo. - Przecież on jest gotów sam z siebie całą krew wypuścić tylko dlatego, aby nikt później nie miał powodu wspominać o waszym pokrewieństwie.

- Ale nie zmieni tym faktu, że jestem naturalnym synem jego ciotecznej siostry.

- Trudno mówić tu o naturze...

- Nieważne. Prosił o pomoc. Mam odmówić?

- wzruszył ramionami.

- Ja mu nie wierzę, to podstęp!

- Skąd ta pewność? Czy zapomniałaś już, w jaki sposób zdobyłem tutaj szacunek i poważanie, jak doszedłem do tego, że kiedy odpowiadają na moje pozdrowienie, robią to z przyjaźni, a nie ze strachu przed królewskim faworytem. Mam teraz postąpić odwrotnie?

- A ty im wierzysz, ciągle, bez przerwy wszystkim wierzysz! - krzyknęła, zrywając się z sofy.

- Pięć lat temu zostałem dowódcą straży i jestem nim nadal, podobnie jak ty damą dworu. Ilu w tym czasie zmieniło się marszałków, ministrów, doradców, he? - wycedził z lodowatym spokojem - czy twoim zdaniem jest to dowodem braku sprytu? Zawsze pomagałem im, jeżeli taka była potrzeba, a później, najlepiej jak mogłem, starałem się wykorzystać ich wdzięczność.

- Zyskałeś tym niechęć zawodowych tępicielei.

- Nie moja wina, że jestem od nich lepszy. Ja nie musiałem tracić przeszło dziesięciu lat na ćwiczenia tylko po to, żeby bazyliškowi prosto w ślepią bezpiecznie popatrzeć. Urodziłem się z tym. Tak samo jak wszystkie inne strzygi czy wilkołaki... Znam je i równy im jestem!

Hanti zamknęła oczy i pochyliła głowę. Przez moment stała tak w zupełnym bezruchu, po czym wyprostowała się i przemówiła już zupełnie spokojnym głosem:

- Wszystko prawda, ale zawsze do tej pory spotykałeś się z niechęcią, uprzedzeniami, czasem strachem. Lecz nigdy nie miałeś do czynienia z aż tak zapięklą nienawiścią. Popelnisz błąd, jeśli postąpisz jak zwykle.

- Sądzę, że to już przeszłość, a poza tym nie chcę stracić tak dobrej okazji do pojednania się z ostatnim z wrogów.

- Zbyt mocno ufasz sobie - westchnęła ciężko - ja jestem pewna, że jadąc tam, kładziesz głowę pod topór, lecz widzę, że nic nie zmieni twego postanowienia. Mam jeszcze nadzieję, że przynajmniej Redren nie pozwoli ci na tak długo opuścić pałacu.

- Miesiąc to niezbyt wiele. Nie sądzą, aby król zamierzał mnie zatrzymać, przecież nic się nie dzieje - Ksin zająknął się z lekka przy ostatnich słowach; o ile nie miał powodu wątpić w przychylność Jego Wysokości, o tyle sprawa spokoju na zamku nie była aż tak bardzo oczywista, jakby on sam sobie tego życzył...

Dalszą rozmowę przerwało im wejście lokaja.

- Przybył dostojny Rodmin, proszę państwa.

- Natychmiast proś! - Ksin zrobił dwa kroki w kierunku drzwi.

Mag stanął w przejściu i skłonił się ceremonialnie z zachowaniem absolutnie wszystkich zasad etykiety.

- Witajcie.

- Daj spokój Rod, to nie posłuchanie - podali sobie dłonie, po czym gość ruszył w kierunku Hanti.

- Hantińjo, jesteś piękniejsza niż wczoraj - skłonił się po raz drugi.

- Och! Rodminie - uśmiechnęła się czarująco - zawsze mówisz, że jestem coraz piękniejsza, dzięki tobie w przyszłości dowiem się, kiedy zacznę brzydnąć, bo wówczas zaczniesz mówić mi, że wcale się nie zmieniłam.

- Nic z tego pani, będę łął jak z nut.

Roześmiali się wszyscy troje.

- No dobrze, przejdźmy do rzeczy - Ksin zgasił wesołość - mam zamiar wyjechać na kilka tygodni...

- Właśnie! - przerwała mu Hanti. - Rodminie, może ty wybijesz mu to z głowy?

- Ale co? - popatrzył zaskoczony - zdaje się, że przyszedłem nie w porę.

- Wcale nie, siadaj! - Ksin wskazał mu krzesło

- dostałem list, w którym Daron Fergo prosi mnie o pomoc.

- Daron...? Niemożliwe!

- A jednak.

- Ten łajdak chce zwabić go pod pozorem ratowania syna, którego ponoć nawiedza wampir - wyjaśniła Hanti.

Rodmin milczał zaskoczony.

- Nie sądziłem, że po tym, co było, odważy się kiedykolwiek ciebie o coś prosić - odrzekł po chwili i dodał.

- Nie masz racji Hantińjo, Daron napisał prawdę. O tym nieszczęściu słyszałem już wcześniej i to od różnych ludzi. Wiem, że od miesiąca na zamku Darona aż roi się od tępicielei, z których, jak dotąd, nie ma zupełnie żadnego pożytku.

- Nie mogę uwierzyć! Taka robota to dla nich tyle, co splunąć. To na pewno podstęp, przecież nawet niedouczonego czeladnika... - Hanti nie zamierzała ustąpić.

- Może być też garbaty, kulawy i pijany - przytaknął jej Rodmin - ale nie wtedy, kiedy w grę wchodzi animacja.

- Co takiego?! - poderwał się Ksin.

- Nie znam szczegółów, lecz to jest rzecz pewna.

- Dziś jeszcze wyruszam w drogę!

- Ksin, błagam!

- Milcz kobieto! Chodźmy stąd Rod, pomówimy o tym gdzie indziej.

Wyszli na korytarz i ruszyli w kierunku pracowni Rod-mina.

- A zatem Ksinie Fergo - odezwał się mag - masz zamiar zostawić mnie samego z kłopotami? Ksin jakby nie usłyszał pytania.

- Nie chciałem tego nazwiska - mruknął na wpół do siebie. To przez nie poróżniłem się z Daronem.

- Jakież musiałeś mieć. To było najlepsze, bo znanego rodu. Redren wybrał najprostszy sposób.

- Nie przewidział jednak, że nie zechcą przyznać się do kotołaka w rodzinie.

- Ale i przeciw królewskiej woli wystąpić nie śmieli.

- Tak, za to cichcem nasłali tępicielea. Nie mówmy już o tym.

- Dobrze, lecz co z naszą sprawą.

- Rozmawiałeś z Redrenem?

- Jeszcze nie, bo niby co miałbym mu powiedzieć? Że coś dzieje się w zamkowej krypcie, a właściwie w sarkofagu starej królowej, jego matki?! Za takie gadanie można zapłacić głową! Na dodatek mógłbyś chcieć czegoś więcej i co wtedy? Nawet ty nie wiesz dokładnie w czym rzecz. Chyba że odkryłeś coś nowego.

- Niewiele - odparł Ksin - dziś rano poszedłem tam znowu. Jest tak, jak ci wcześniej mówiłem - niejasne odczucie w obrębie krypty, wyraźnie nasilające się przy sarkofagu Królowej Matki. Teraz jakby silniejsze, ale może mylą się.

- Sam widzisz, że nie ma z czym iść do Redrena. Czy to znak Obecności?

- Nie wiem, tego nigdy wcześniej nie czułem.

Rodmin bezradnie rozłożył ręce.

- I jak go prosić o pozwolenie na odsunięcie pokrywy?

Bez całkiem pewnych dowodów ryzykujemy bardzo wiele. Redren szanował matkę, przynajmniej na pokaz, a obaj wiemy, jaki jest i że niezdrowo, zwłaszcza dla gardła, zbyt często przypominać mu o swoim istnieniu. Zaraz, zaraz, powiedziałaś: „Silniejsze”?

- No, nie wiem...

- I ty chcesz teraz wyjechać? Oszalałaś?!

- Mam nadzieję, że dasz sobie radę.

- Starczy, że szepnę królowi choć słowo.

- Nie rób tego! - głos Ksina zabrzmiał jak syk.

Rodmin popatrzył mu w oczy.

- Dobrze, ale musimy wszystko dokładnie omówić.

Weszli do pracowni. Było w niej dwóch pomocników i uczeń. W skupieniu pochylali się nad moździerzami i retortami. Kilka z nich stało na ogniu, a wypełniająca je breja, wrząc, szamotała się wewnątrz swych szklanych więzień, bez skutku próbując odszukać ujście. W powietrzu unosił się ostry i przenikliwy zapach: mieszanina ziół, piżma i kilku innych rzeczy, których nazw Ksin wołał się przed jedzeniem nie domyślać.

Mag podszedł do otwartej szafy, wypełnionej rzędami szkatulek i słoików i grzebał w niej, aż znalazł dzban okazałych rozmiarów. Zerknął do środka i za moment jego pełne wyrzutu spojrzenie spoczęło na trójce dotychczasowych gospodarzy pracowni.

- Zużyliśmy na doświadczenia - pośpieszył z gorliwym wyjaśnieniem jeden z pomocników, a mętny wzrok drugiego nie pozostawiał cienia wątpliwości co do rodzaju tych eksperymentów...

Rodmin z ciężkim westchnieniem odstawił puste naczynie na stół.

- Won stąd! - warknął - ale już! W drzwiach przez ułamek chwili zrobił się wściekły tłok. Zostali sami.

- Siadajmy - pokazał na ławę - trudno, będziemy rozmawiać na sucho.

- Mów wszystko, co wiesz o starej królowej. Znałeś ją?

- Tak - odpowiedział Rodmin - ale tylko przez kilka ostatnich miesięcy panowania.

Była już bardzo stara, niemal zupełnie ślepa i tak naprawdę niczym nie zajmowała się.

- A magią?

- Podobno, jednakże już nie wtedy, a tak na dobrą sprawę, to nic pewnego o tym nie wiadomo.

- Miała wrogów? - Jednego. Była nim ówczesna żona Redrena, ta z którą Jego Wysokość rozwiódł się przy pomocy kata.

- Mistrza Jakuba?

- Uhm.

- Współczuję, kimkolwiek by była.

- Nie musisz. Wtedy robił to szybko.

- A kiedy umarła Królowa Matka?

Rodmin zamyślił się i nagle podskoczył jak oparzony.

- A niech to piekło... - wysapał.
- Co takiego?
- Za niecałe cztery tygodnie upływa dokładnie siódma rocznica jej śmierci.

Popatrzyli na siebie. Jedna myśl równocześnie przemknęła przez ich głowy.

- Koniec okresu pozornej martwoty - Ksin wypowiedział ją na głos.
- Bardzo chciałbym się mylić - jęknął głucho mag.
- Czy wiesz, co to oznacza?
- Że Królowa Matka to strzyga.
- Idź, powiedz to Redrenowi.
- To może lepiej ty...

Zapadła chwila nerwowego milczenia.

- Ksin, przecież znasz strzygi, mówiłeś, że ten zew jest inny, więc...
- Nigdy dotąd nie zetknąłem się ze zwłokami w czasie przepoczwarczenia. Zamiast szukać dziury w całym, powiedz lepiej, czy królowa była po śmierci balsamowana?
- Niestety tak.
- Więc niemożliwe, aby mogła się żywić wątrobą
- Ksin myślał głośno - albo wyjadać serca. To byłoby jeszcze pół biedy. Ona będzie posilać się strachem i energią agonalnych emanacji. O istnieniu tych upiorów jedynie słyszałem.

- O czym ty mówisz, na bogów!

- O tym co zacznie się dziać w pałacu, kiedy czcigodna mamuśka naszego pana i dobroczyńcy, króla Redrena, raczy opuścić swoje pudełeczko.

- Nie! To nie może być prawdą.
- Też chciałbym, żeby tak było.
- Ale dlaczego?!
- Na to pytanie chyba już tylko król umiałby odpowiedzieć.
- Zaczynasz tracić zimną krew.
- Mniejsza o zimną krew. Jeżeli mylimy się albo zrobimy coś nie tak, Redren od razu zrobi z nami porządek. Przeszanę być nadwornym magiem!

- W najlepszym razie tylko to - potwierdził Ksin - ale pociesz się, że to nie my będziemy tu decydować. Nie ma rady, trzeba dać znać królowi.

- Na wszelki wypadek powinniśmy to jeszcze raz sprawdzić. Proponuję dziś o północy.

- Dobrze, odłożę wyjazd do jutra.

- Więc jednak...

- Muszę tam jechać.

- Twoja wola - niechętnie zgodził się mag - przyjdź tu po pierwszej zmianie straży.

Będę czekać.

Ksin skinął twierdząco głową, wstał i zaczął się żegnać. Po chwili był już za drzwiami i bez pośpiechu wracał do swoich komnat. Gwardziści, których mijał, zastygali w bezruchu i dopiero niedbały gest jego dłoni, przypominający coś pośredniego między pozdrowieniem żołnierskim a opędzaniem muchy z okolic twarzy, przywracał ich znowu do życia.

Przez te pięć lat zdążył poznać ich wszystkich. Imiona żołnierzy prawie

dwutysięcznej pałacowej gwardii znał na pamięć, a teraz mimowolnie wymieniał je w myślach, wydobywając wyprężone jak struny sylwetki z szarości anonimowego tłumu.

Wspomnienia nadeszły nagle i nie wiadomo skąd. Znów był tym, o którym z mieszaniną pogardy i lęku mówiono kiedyś: kotołak Ksin, widząc w nim którąś z niezliczonych królewskich fanaberii. Prości halabardnicy, wychowywani w panicznym lęku przed wszystkim co nadnaturalne, bali się go niczym zarazy. Natomiast szlachetnie urodzonych oficerów, dumnych z czystości swej krwi i starożytności rodu do furii doprowadzało jego częściowo zwierzęce pochodzenie...

To wszystko razem sprawiło, że dopiero po długim czasie odważył się wyjść na cowieczorny obchód straży w czasie pełni. Oczywiście, wiedzieli o tym wcześniej, a dwóch setników miało mu bez przerwy towarzyszyć, lecz mimo to nie udało się uniknąć kilku przypadków samowolnego i natychmiastowego porzucenia stanowisk...

Uśmiechnął się w duchu: jeden z wartowników niewiele myśląc, wyskoczył wtedy przez okno do fosy, wrzeszcząc jakby go na pal wbijali. Na szczęście skończyło się to jedynie wielkim strachem paru zbłąkanych żab.

Później wydarzyły się rzeczy, które okryły go sławą największego tępiciele potworów. Wampiry, południce, bazyliszki, a nawet trzy kotołaki... Nie potrafiłby już policzyć, ile potworów unicestwił ciosami szponów, klingami z magicznego damastu, czy choćby gołymi rękami lub najzwyczajniejszymi kołkami.

Załatwiał te sprawy szybko, przeważnie od ręki, tak jak tego pierwszego bazyliszka w Katimie. Raczej nie przygotowywał się specjalnie do rozprawy, a jeśli już, to tylko w przypadkach, gdy wcześniej zginęło wielu doświadczonych tępicielei. Tak było między innymi przed spotkaniami z każdym z trzech kotołaków... Przystanął na moment.

- Kotołaków..., tak... - mimo iż duchowo dzieliła go od nich bezdenna przepaść, czuł jakąś nieokreśloną dumę, do której nawet sam przed sobą początkowo wstydził się przyznać. One były inne, odważniejsze, groźniejsze od pozostałych nadistot, a on był jednym z nich. Zabijał je, prawda, ale i cieszył się, że nie jest to takie łatwe. Ten podziw i dumę ukrywał jednak gdzieś w głębi duszy, aż do chwili, w której zrozumiał, że on, Ksin Fergo, po prostu nie jest człowiekiem. Podczas gdy inni stopniowo zapominali o jego pochodzeniu, dla niego to właśnie ono stawało się źródłem wewnętrznej siły i poczucia niezależności.

Istniał tylko jeden rodzaj ludzi, którzy nie zamierzali zapomnieć - tępiciele. Mieli po temu powody i to nie byle jakie: Ksin odebrał im najbogatszych klientów. Hrabiowie, kupcy, książęta woleli jego sprawność, a niekiedy dyskrecję, od nie zawsze skutecznych i często kończących się śledztwem działań cechowych łowców.

Ksin był niedościgniony - żaden tępiciele nie śmiał przeciwstawić swej wiedzy i wprawy jego wrodzonym zdolnościom. Nic więc dziwnego, że pomysł Darona Fergo zyskał swego czasu ich natychmiastowe uznanie.

- Gdyby nie ostrzeżenie Rodmina i pomoc kilku wiernych gwardzistów...

Zamach był pomyślany naprawdę bardzo dokładnie. Dla Darona skończyło się to wygnaniem, a dla tępicielei i Ksina umową o pierwszeństwie i miejscach polowań. Jednak z oczywistych względów nie zawsze udawało się jej przestrzegać.

Na szczęście, sprawa, jaką miał zamiar się zająć, była z nią całkowicie zgodna:

tępiciele próbowali i nie dali rady - a więc mógł działać Ksin.

Doszedł do drzwi mieszkania i otworzył je. Hanti nie było tam, gdzie ją zostawił. Przejrzał inne komnaty; również nikogo. Wszedł do buduaru - siedziała przed lustrem z twarzą ukrytą w dłoniach. Drgnęła, gdy oparł rękę na jej ramieniu.

- To ty - rzekła bezbarwnym, matowym głosem - przyszedłeś mnie wziąć?

Ubodła go do żywego.

- Proszę bardzo - odwróciła się i odpięła ramiączko sukni.

- Przestań, ja... - zdołał odzyskać mowę.

- Dlaczego, przecież jestem twoją własnością, godzinę temu udowodniłeś to Rodminowi.

- Wybacz, nie powinienem był tak mówić do ciebie, przepraszam - powtórzył.

- Ale zrobiłeś to jednak,

- Rozgniewałaś mnie.

- I to cię usprawiedliwia, czy tak?

- Zaraz zrobisz to po raz drugi! - zniecierpliwiony wrócił się w stronę wyjścia. - Zbyt skromne przeprosiny? Mogę jeszcze raz, przy Rodminie - daleki był teraz od pokory - jak sobie życzysz.

- Ksin, nie.

Zatrzymał się.

- To wszystko nie tak - stanęła przy nim - nie chcę, abyś był taki.

Z wysiłkiem stłumił rozdrażnienie i gniew.

- Dobrze, nie będę. Nie zrobię tego po raz drugi.

- Dziękuję.

Milczeli, nie patrząc sobie w oczy.

- Coś psuje się między nami - stwierdził ze smutkiem.

- Wiem... - cofnęła się - wiem czemu - szepnęła.

- Nie myśl o tym Hanti - powiedział miękko.

- To dzieci - zdawała się go nie słyszeć - nie dałam ci ich.

- Może to i lepiej - próbował pocieszyć ją.

- Zawsze pragnąłeś mieć syna lub córkę podobną do mnie, mówiłeś...

- Prawda - nie umiał zaprzeczyć.

- Masz prawo wziąć sobie inną.

- Tylko że ta córka, którą może bym miał, wcale nie byłaby podobna do ciebie, rozumiesz?

- Och, Ksin! - przywarła do niego.

- Przeżyjemy to jakoś, prawda? - uśmiechnął się smętnie.

Nie odpowiedziała - chlipała jak mała dziewczynka. Bez słowa objął ją i poprowadził do łoża. Usiedli. Powolnym ruchem zsunęła jedwab z drugiego ramienia. Wyciągnął spinki z jej włosów i potargał je. W oczach Hanti zamigotały błękitne skierki. Wymownym gestem puknęła w blachę pancerza.

- Pomóż mi - zaczął szarpać się z jedną ze sprzączek.

Rzemienne paski puściły po chwili i wypukła, szarobłękitna skorupa z brzękiem potoczyła się po posadzce.

Nagie ramiona owinęły się wokół szyi Ksina, a jego dłonie odnalazły i ogarnęły jej

piersi. Ich czubki same wcisnęły się między palce, które zaczęły je pocierać i delikatnie ścisnąć. Z westchnieniem podała mu usta. Płynnie, jak bryły topniejącego wosku, osunęli się w głąbię pościeli. Po jakimś czasie jedna z rąk puściła szczyt pulsującej piersi i wężowym ruchem przemknęła w dół, poprzez brzuch i biodro ku pełnej krągłości kolan. Oba gorące uda czekały już na nią pod warstwami tkaniny. Posłusznie rozchyliła je, by zrobić mu miejsce.

Przestrzeń ponad jej łonem ugięła się i zaczęła zapadać. Suknia jak fala odpływu cofała się z cichym szelestem, odsłaniając nogi, które powoli uniosły się w górę i pośpiesznie rozwarły na całą szerokość. Palce i wnętrze dłoni przylgnęły do wyprężonego ciała, próbując jędrności kształtu. Kciuk trafił na źródło wilgoci i mimowolnie prześlizgnął się po nim...

W tej samej chwili usta kobiety odpadły od warg mężczyzny i uciekły niesione gwałtownym skurczem skręcającej się szybko szyi. Zdławiony jęk ucichł pod stropem sypialni.

Przestrzeń zapadła się całkiem, wciągając zawieszoną ponad nią Ksina. Ręka, na której był wsparty, osłabła, a on przechyliwszy się wolno, runął w otchłań, na dno, gdzie czekała kobiecość...

Dłonie Hanti wyzwoliły go z krepującego odzienia. Zwinne i szybkie przyjęły jego dumę jak skarb i obsypały pieczęcią, a za moment zamknęły ją niby w muszli i śmiało przeniosły ku brzegom uchylonego łona. Jeszcze tylko palce wskazały najkrótszą z możliwych dróg, po czym tańcząc wbiegły na plecy i barki Ksina.

Ciepły uśmiech pojawił się na wargach Hanti, gdy wchodził w nią aż do końca. Nieznacznie poruszyła biodrami.

Przesunął się w niej po raz pierwszy.

Odpowiedziała mu skurczem - gorąca miękkość jej falującego wnętrza sparzyła nagłą rozkoszą. Teraz to jego oddech stał się urwanym sapnięciem.

Szybko powtórzył ruch.

Zakołysała się, sprężyła jak do ucieczki.

Mocniej zaplótł ramiona i znowu...

- Daj, jeszcze...

- Bierz... masz... wszystko jest twoje...

Grymas stał z jej twarzy niedawny uśmiech. Głowę odchyliła do tyłu. W otwartych ustach narastał zdławiony jęk.

Nie przerywając, nie gubiąc miarowego rytmu pochylił się niżej i poziomymi ruchami torsu ścigał, przygniatał i ocierał się o różowiejące wierzchołki, szaleńczo roztańczonych piersi.

- Och tak! jeszcze, jeszcze, jesz-szcze! O! O! ta-ak, a...a, A! AAA...!!!

Spazmatyczny pisk zabrzmiał w uszach Ksina jak zwycięska fanfara. Wyniesiony w górę potężnym zrywem jej wybuchającej ekstazy, zapanował nad nią, ujarzmił niczym jeździec rozbrykaną klacz i na powrót wtłoczył w głąb jedwabnej pościeli.

Ręce, co najpierw błądziły po jego plecach, a później targały mu włosy, by w ostatnich momentach konwulsyjnie szarpać za prześcieradło, teraz leżały już bezsilne i nieruchome, podobnie jak cała Hanti.

Odeszła daleko, a ziarenka rozkoszy, które pojedynczo, za każdym pchnięciem wydobywał z jej ciała, jak krople wypełniły kielich jego pragnienia. Kolejne,



wpadając tam, przemieniały się w fale wzbierające w nim coraz gwałtowniej i szybciej.

Naparł na nią mocniej, zmienił rytm, wyczuła to - już wracała do niego uległa i chętna. Bezczynne ramiona ożyły. Długie nogi znowu zaplotły się na nim. Uda, brzuch, biodra; oddała wszystko do końca. Przycisnęła mu usta do ucha.

- Jestem twoim polem, oraj mnie, oraj głęboko - szepnęła namiętnie.

Szarpnął się jak smagnięty batem. Już nie częścią ciała, teraz był tam w niej całym sobą i trzepotał się niczym ptak tonący w głębinach oszalałego żywiołu. Myśli, pojęcia zniknęły. Zapłonęło oślepiające słońce.

Pierwszy skurcz poraził go wskroś lędźwi do krzyża...

- Och, tak! Wypełnij mnie, proszę - wzdychała w zachwycie - o, jeszcze..., o, tak, siej, siej we mnie, tak proszę..., och, najdroższy, kochany..., kochany...

Przytuliła do piersi jego bezwładną głowę, pogładziła włosy. Naciągnęła kołdrę na niego i siebie. On spał już twardym, kamiennym snem. Ona zasnęła niedługo po nim.

I leżeli tak spoceni i nadzy, obojętni, obcy całemu światu, zamknięci we własnym, ograniczonym ich dwoma wypoczywającymi ciałami i przestrzenią wypełnioną szmerem zmieszanych oddechów.

Nic więcej i nic ponad to. Para kochanków.

## **Drzemiąca groza**

Obudzili się równocześnie, jakąś godzinę, dwie później i powitali lekkimi pocałunkami. Ksin zsunął się z niej przeciągnąwszy szeroko, a Hanti uniosła się na łokciu, obrzucając krytycznym spojrzeniem skłębioną tkaninę sukni.

- Twój pancerz wyszedł na tym o wiele lepiej - powiedziała i przymilnie otarła się policzkiem o jego bark.

- Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz byliśmy ze sobą tak bardzo, bardzo... - zamyśliła się nagle. Przez chwilę szukała odpowiedniego słowa, po czym pokręciła przecząco głową.

- No powiedz coś - szturchnęła męża nosem.

- Właśnie myślę, odparł, obejmując ją - ale jakoś nie mogę znaleźć nic, czego byś wcześniej nie słyszała.

- Ja ostatnio bałam się, że w końcu weźmiesz sobie którąś z tych zarozumiałych suk, co ciągle patrzą na ciebie tak, jakby zaraz miały zemdleć.

- Tylko nie wiem, o czym miałbym z nimi rozmawiać.

- Nie sądzisz chyba, że chciałyby mówić o tajemnicach magii i filozofii Onego.

One wszystkie od razu wilgotnieją na myśl o tym, że mogłyby przespać się z tobą w czasie pełni. Znam kilka takich, które gotowe są zrobić każdą rzecz, aby wepchnąć się wtedy pod ciebie. Nawet królowa pytała mnie kiedyś, jak ty robisz to po Przemianie.

- I co jej odpowiedziałas?

Zarumieniła się i zatrzepotała powiekami.

- Prawdę mówiąc, trochę za bardzo cię pochwaliłam, ale tylko troszeczkę - popatrzyła zalotnie.

- No widzisz - roześmiał się - i dziwisz się im teraz?
- Wtedy chciałam, żeby były zazdrosne, byłam spokojna o mojego demona - posmutniała niespodziewanie.
- A teraz?
- Jesteś dla mnie dobry, ale...
- Sza! - położył jej palec na ustach - pora wstawać. Jednym susem wyskoczył z łóżka. Na podłogę opadł miękko jak liść. Ubrał się szybko i sięgnął po puklerz.
- Pomogę ci - zaofiarowała się.
- Nie, na dzisiejszą noc założę najcięższą kolczugę, na wszelki wypadek - dodał.
- Wyjeżdżasz...
- Tak, ale dopiero rano.
- Więc po co to?
- Wybacz, nie mogę powiedzieć.

Pocałował ją i wyszedł z sypialni. Nie chciał tracić czasu na wzywanie służby, dlatego sam otworzył kufer z odzieżą i wyciągnął zeń ciężki, zawinięty w jelenią skórę pakunek. Rozwiązał kilka rzemieni, rozwinął, po czym obejrzawszy dokładnie rzędy stalowych ogniw, zręcznie naciągnął przez głowę. Niebawem był gotów. Zastanowił się jeszcze i podszedł do drugiej skrzyni. Odnalazł w niej mały sztylecik, którego ostrze mieniło się falującymi wstęgami skutyk razem miedzi i srebra.

- Lepiej się nim nie skaleczyć - pomyślał i ukrył pod płaszczem.

Z buduaru Hanti doleciał odgłos dzwonka - wzywała służącą. Dziewczyna wybiegła ze swojej komnaty i w progu minęła się z Ksinem. Zobaczywszy pana, skłoniła się pokornie, lecz kiedy już nie mógł jej widzieć, pośpiesznie nakreśliła na czole i piersiach zawity Znak dla ochrony przed złem...

Teraz należało zobaczyć się z królem. Wyszedł i po kwadransie stał już w monarszych pokojach. Z racji urzędu miał do Redrena dostęp o każdej porze dnia i nocy, a stary lokaj, jak zwykle, poprowadził go tam, gdzie przebywał władca.

Jego Wysokość tkwił śmiertelnie znudzony przy małym, hebanowym stoliku i bez przerwy wygrywał w kości z jakimś wyblakłym dworakiem. Obok nich siedziała nowa nałożnica, najwyraźniej jeszcze nie znająca monarchy, gdyż cały czas dosłownie wychodziła z siebie starając się zainteresować Redrena a to głębokością dekoltu, to znów długością nóg, czy wreszcie którymś z ponętnych uśmiechów.

- Kiedy on gra, to tak jakby wdzięczyła się do eunucha - pomyślał Ksin. Wygłosił powitalną formułę. Władca podniósł z widocznym wysiłkiem wzrok i raczył go zauważyć.

- O, Ksin - stwierdził z przekonaniem - myśleliśmy dzisiaj o tobie.
- Tak, panie.
- I doszliśmy do wniosku, że należałoby przepędzić cię tam, skąd przyszedłeś.
- Czemu Wasza Wysokość? - zapytał spokojnie. Redren musiałby być chory lub przejeżdżony, żeby przynajmniej raz na trzy dni nie obiecać komuś wygnania.
- Za nudno zrobiło się tutaj, od kiedy to ty pilnujesz spokoju w pałacu - wyjaśnił władca. - Żadnych intryg, awantur, że już o spiskach nie wspomnę. Nawet plotki nie takie jak dawniej. To wszystko przez twoją piekielną legendę. Boją się zipnąć głośniejszy, by nie mieć ciebie na karku...

Ksin przypomniał sobie do czego pił król; trzy lata temu kilkunastu zwolenników

karyjskiej dynastii wpadło na pomysł zmiany panującego. Była to pierwsza i jak dotąd jedyna próba rebelii w czasie jego kariery dowódcy straży. Od podległych mu szpiegów dowiedział się o niej odpowiednio wcześniej i którejs nocy, gdy księżyc był okrągły i jasny, odwiedził kolejno wszystkich przywódców spisku. Nie zrobił im krzywdy, lecz tylko dał do zrozumienia, że nie ujdzie im to płazem. Następnego dnia aż miło było patrzeć, jak na wyścigi pędzili do króla i obrzucając błotem jeden drugiego, błagali o przebaczenie. Udział donosicieli w tej sprawie został przemilczany, za to Rodmin bąknął coś tu i ówdzie o jego rzekomej zdolności czytania w myślach bez konieczności patrzenia badanemu w oczy. Skutek okazał się natychmiastowy i długotrwały...

Niezadowolenie Redrena, nawet udawane, niewątpliwie sprzyjało zamiarom Ksina. Korzystając z okazji natychmiast poprosił o pozwolenie wyjazdu i uzyskał je łatwo, choć jednak bez szczególnego zachwytu władcy.

- To co, sami mamy siebie pilnować - burczał niechętnie Redren, a jego nowy „nabytek” zaczął tym razem końcem wachlarza o skraj spódnicy i niby przypadkiem podwinął ją za kolana. Równocześnie nabrała tyle powietrza, że aż piersi wyslizgnęły się jej spod koronek dekolту.

- Zaraz pęknie - przeszło Ksinowi przez głowę. Tymczasem monarcha nieznacznym gestem przepędził swojego partnera.

- Siadaj kapitanie, dość błazeństw, chcę zagrać uczciwie. Popatrzyl za odchodzącym w ukłonach dworzaninem i dodał:

- Ciekawe, jak oni to robią? - mruknął - grał przecież moimi kośćmi, a ani razu nawet nie zremisował...

Ksin ukrył dziki błysk w oczach. On wiedział, że rzemieślnicy zajmujący się wyrobem kostek wyróżniali pewien specjalny ich rodzaj - kości dla króla i do gry z królem. Na szczęście miał magnes przy sobie. W pierwszej partii dosłownie rozgromił Redrena, w drugiej wygrał po zaciętej walce, następne dwie zremisował, by w piątej wyjątkowo efektownie przegrać. Jego Wysokość był uszczęśliwiony, natomiast jednorazowa królowa musiała coś wreszcie zrozumieć, bo podczas ostatniej rozgrywki siedziała już spokojnie z miną głodnego sępa.

Wyraził chęć usunięcia się sprzed oblicza monarchy, ten jednak ani myślał go puścić. Dopiero po dłuższej chwili wykpił się opowieścią o obowiązkach.

Wychodząc, zerknął na swego króla; Redren lubił udawać durnia lub zupełnego przygłupa i dobrze się czuł w takiej roli. Umiał jednak robić użytek z głowy i mało kto mógł mu w tym sprostać. Lecz biada takiemu, co ośmielił się wyrwać władcę z jego ulubionego stanu i zmusić go do myślenia - to prawie zawsze kończyło się dla zuchwalca spotkaniem z mistrzem Jakubem...

Tego wieczora czekała Ksina jeszcze odprawa podległych mu oficerów. Spóźnił się na nią nielicho; zaczęli już niecierpliwie się. Gdy wszedł, gwar ucichł, powstali z miejsc.

- Darujcie, Jego Wysokość miał dzisiaj szczęśliwą rękę - wyjaśnił.

Cień tajonego uśmiechu przemknął po twarzach zebranych. Usiedli.

- Mówcie - polecił.

- Przed południem księżę Hasku, jak zwykle po pijanemu, zaczął naszych żołnierzy - odezwał się Zefio, najmłodszy z setników. Ksin ściągnął brwi.

- Zranił kogoś?
  - Nie, tylko kazał stanąć na baczność i obszczał ich jak pies drzewo.
  - Mam takie dziwne przeczucie, że ten łysy śmierzdel już niedługo poślizgnie się i znowu wykąpie w pałacowej latrynie. Zef, dopilnuj jednak, aby się zachłysnął, on nie umie pływać. Co jeszcze?
  - Król znalazł nowy materac.
  - Widziałem. Sprawdziliście, co to za jedna?
  - Tak, nie powinno być z nią zmartwienia.
  - Dobrze. Medyk zajrzał gdzie trzeba?
  - Jak zwykle. Tym razem nie było zastrzeżeń.
  - A dokładniej?
  - Już używana, ale zdrowa.
  - Takie to lubię - wyrwał się któryś.
  - Spokój. Dalej...
  - Wszystkie dostawy bez zwłoki, nawet piórek do gardeł wystarczy. Machnął ręką.
  - Tępiciele znowu wieszali psy na Waszej Dostojności.
  - A o królu, coś nie tak, było?
  - Nie ośmielili się.
  - Ich szczęście. Jeśli tylko o mnie chodzi, niech sobie gadają. Lżej będzie im po tym. Roześmiali się krótko.
  - Nic poważniejszego nie macie?
- W milczeniu pokręcili głowami. Przedstawił im swoje plany, wyznaczył zastępców i zadania. Na zakończenie omówili jeszcze rozmieszczenie straży i hasła na najbliższą noc.
- Miejcie oczy otwarte po moim wyjeździe. Ostatnio było tu za spokojnie. To może się zmienić - powiedział im na odchodne.

\* \* \*

W pracowni Rodmina stawiał się o umówionej porze, a na spotkanie przyniósł niewielki worek, który od czasu do czasu ruszał się albo wierzgał.

- Co tam masz? - zainteresował się mag.
  - Jakiś waran... - odpowiedział Ksin - kazałem przynieść go z pałacowej menażerii.
  - Ej, ty chyba nie zamierzasz... - Rodmin zaniepokoił się najwyraźniej.
  - Właśnie że tak - przerwał mu - znasz może lepszy sposób?
  - Oszalałeś! Wiesz czym się to może skończyć? i dlaczego właściwie gad?
- Pierwsze słyszę...
- Bo między nimi a strzygami powinno być jakieś pokrewieństwo, tak sędzę. I nie bądź babą, wiem, co robię. Idziemy!
  - Zaczekaj, w takim razie ja też wezmę, co trzeba - chwilę krzątał się po pracowni, upychając różne przedmioty w kieszeniach.
  - Jestem gotów - oznajmił wreszcie.
- Ruszyli drogą wiodącą do zamkowych katakumb.
- Wolałbym, aby nikt nas nie widział - odezwał się Rodmin.
  - Nie ma obawy, straży w pobliżu nie będzie, postarałem się o to - uspokoił go

Ksin.

Dotarli do wąskich i mrocznych schodków, opadających w głąb wilgotnej ciemności. Chłód wyraźnie nasilał się z każdym przebytym stopniem. Panująca w podziemiach cisza brzmiała jedynie w uszach Rodmina, bo w Ksinie narastał jakby głuchy i monotony krzyk. Jeszcze dzisiejszego ranka ten zew nie budził w nim żadnych skojarzeń, z wyjątkiem jakiegoś niejasnego zdenerwowania. Teraz odróżniał wyraźnie nadnaturalne, obce vibracje Onego i kryjące się pośród nich słabe i nieporadne drgania - gaworzenie poczwarki upiora.

Jaszczur w worku szarpnął się wściekle i przeraźliwie za-syczał. Rodmin wzdrygnął się zaskoczony.

- Zaczekaj - szepnął - ja już nic nie widzę! - potknął się o jakiś sarkofag i obiema dłońmi oparł się o leżącą na nim, oślizgłą od pleśni pokrywę.

Ksin odwrócił się. W tak gęstych ciemnościach, jakie tu panowały, widać było, że jego oczy jarzą się delikatnym, zielonkawym poblaskiem.

- Tfu, co za świństwo - mag z obrzydzeniem wycierał ręce o ubranie - zaraz zapalę pochodnię.

Rozedrgany płomyk powołał do życia dziesiątki i setki najdziwaczniejszych cieni, które, gdy szli, rozstępowały się przed nimi na boki, by za moment, za ich plecami, zlać się znów w zwartą masę falującego i nieustannie postępującego za nimi tłumu.

W worku skrzeczało bez przerwy.

- Może lepiej zrezygnujmy? - zaproponował Rodmin - ryzyko za duże.

- Chciałeś mieć pewność - odciął Ksin - sztylet zabrałeś?

- Tak.

- To czego się boisz?

- Chcesz jej dostarczyć mocy, możesz ją tym obudzić przed czasem.

- Muszę zmusić ją, aby wydała zew, inaczej nie dowiemy się, co tam właściwie leży. Równie dobrze może być strzygą, jak i wampirzycą czy animantem albo połączeniem któregoś z dwóch pierwszych z tym ostatnim.

- Zgoda - powiedział po krótkim wahaniu - co robimy, jeśli wylezie?

- Mnie nie ruszy, od razu pójdzie na ciebie, jesteś tu jedynym człowiekiem...

- Pocieszyłeś mnie. I co dalej?

- Nie daj się zagryźć, dopóki nie zajdę jej od tyłu.

- To powinno być w miarę proste.

- Tak, o ile nie będzie lewitować... Jesteśmy. Przeklęty gad. Gdyby płyta ruszyła, cofamy się w przeciwne strony, pamiętaj. Zaczynamy, masz zwykły nóż?

- Mam.

- Daj mi go.

Wyciągnął warana z worka. Pysk i łapy zwierzęcia były już wcześniej spętane. Rzucił ofiarę na wierzch sarkofagu i poprawił rozluźnione więzy. Rodmin podał mu sztylet.

- Właściwie to powinien być kot - mruknął mag - one mają więcej siły żywotnej.

- Pytałem cię o to!?! - parsknął zirytowany Ksin - kota nigdy bym nie tknął!

Przytrzymał i dźgnął pewnym ruchem. Skrzek zamienił się w przeraźliwy kwik, który podchwyciło cmentarne echo. Obrócił ostrze w ranie, wyciągnął i wytarł o rękaw.

- Dzięki - zwrócił nóż Rodminowi. Ten odebrawszy swą własność, zbliżył się z pochodnią do wierzgającego jaszczura.

- Nie widać krwi - stwierdził zdziwiony - co ty mu zrobiłeś?

- Wywołałem krwawienie w środku, zaraz się zacznie agonia - wyjaśnił Ksin - przygotujmy się!

Stanął o kilka kroków od sarkofagu i pochyliwszy głowę, zastygł w bezruchu z pięściami przyciśniętymi do skroni. Rodmin przybrał postawę obronną.

Ruchy warana stawały się coraz słabsze, a z pyska obficie pociekła mu biaława piana. W pewnej chwili przybrał barwę jaskrawej purpury i teraz wstrząsnęły nim pierwsze drgawki. To jednak nie trwało zbyt długo. Potem zbladł, jego oczy zmętniały i wtedy...

Mag spostrzegł, jak gwałtowny dreszcz targnął barkami Ksina. Naraz rozległ się cichy, stłumiony grubymi ścianami grobowca, odgłos szurania: coś dużego i najwyraźniej ciężkiego otarło się o szorstkie kamienie...

Ręka Rodmina błyskawicznie zniknęła w kieszeni płaszcza.

Uderzenie w spód płyty było niezwykle silne. Trzask, łoskot i szelest kruszonej zaprawy. Długi, przeciągły zgrzyt - to mogły być tylko pazury. Raz, drugi... Pokrywa jednak nie drgnęła. Mag wyszarpnął dłoń i rzucił jakimś drobnym przedmiotem.

Plama złotego światła rozbryznięła się na ścianie granitowej skrzyni. Momentalnie zabłysła fioletowym ogniem, który trysnął tak, jakby zasiliło go coś z wnętrza sarkofagu. Przez chwilę pulsował rytmicznie, aż nagle, wysawszy wszystko, co mógł, zgasł równie szybko, jak się pojawił.

Zapadła martwa cisza. Już nic nie próbowało wydostać się z grobu. Ksin pytająco popatrzył na Rodmina.

- Odebrałem jej to, co ty dałeś - wyjaśnił tamten.

- Skoro mogłeś zrobić coś podobnego, to dlaczego trząseś się jak barani ogon?

- Dziecinna sztuczka - wzruszył ramionami - gdyby miała dość siły, aby unieść tę płytę, niczym bym jej nie poskromił.

- A chciałeś, aby tu był kot zamiast jaszczura... Chwycił sztywniejącą padlinę i wepchnął z powrotem do worka.

- Co robisz?

- Zabieram go, zasłużył na uczciwy pochówek.

- Myślałem, że w ten sposób traktujesz tylko martwe koty? - zdziwił się mag.

- Bo to prawda, ale dzięki niemu dużo zyskaliśmy.

- No właśnie...?

- Strzyga, niech ją piekło pochłonie, jeszcze z taką nie miałem do czynienia.

Zachowała część dawnej świadomości, pojmujesz!

- Znaczy, nikt na nią nie rzucił uroku, inaczej by... Teraz rozumiem! O stara suka!

- Co takiego? Mów!

- Chciała żyć, za wszelką cenę żyć. Ciągłe to powtarzała... Ale głupiec ze mnie!

Powinienem był się domyślić! Ona to sama na siebie... dobrowolnie... - zacisnął pięści w bezsilnej furii.

- Wyczuła moją obecność - odezwał się Ksin głuchym, nieswoim głosem - coś próbowała przekazać, chyba rozkaz, abym pomógł jej wyjść. Rod, tam leży najczystsza groza. Ja nie wiem, czy potrafię TO zabić. Za nic nie wolno pozwolić, by

ta istota wydostała się. Koniecznie!

Wyszli na oświetlony rzędami pochodni pałacowy korytarz. Żelazne drzwi do katakumb starannie zamknęli za sobą.

- Na szczęście, wiemy wszystko i mamy ponad dwadzieścia dni czasu - powiedział mag w zamyśleniu - Redren wyda rozkazy. Ty jedź, skoroś tak postanowił, tylko licząc się z tym, że może w pół drogi dostaniesz rozkaz powrotu. Rano poproszę o posłuchanie.

- Wtedy już będę daleko - odrzekł Ksin - wyruszę o pierwszym brzasku.
- Nie prześpisz się?
- Potrafię się obejść bez tego. Powodzenia.
- I tobie też.

### **Rodowa powinność**

Pięciu gwardzistów i konie czekały już w mglistej szarówce. Ksin wyszedł spod okalających dziedziniec, tonących w głębokim mroku arkad i pomaszerował w stronę żołnierzy. Siąpił drobniutki deszcz, jego kropki płaszcącym pogłosem rozległy się w lepkiej ciszy. Stuknęła podkova.

- Witamy panie - setnik Alliro podał mu wodze. Podziękował skinieniem głowy. Popatrzył w górę; zwalista bryła zamku nieostro odcinała się na tle granatowego nieba. Tu i ówdzie zamajaczył błysk światła. Kilka pięter wyżej przechylony przez balustradę krużganku strażnik bez ruchu spoglądał w dół, na nich. Halabarda i hełm lśniły matowo.

Wskoczył na siodło.

- Powiniennem był pożegnać Hanti - pomyślał - ale może lepiej nie budzić jej teraz - usprawiedliwił sam siebie.

Przecucie kazało mu spojrzeć w stronę, z której nadszedł. Trzy sylwetki wyłoniły się z cienia. To była ona. Szła otulona puszystym szalem, a dwie służące posłusznie dreptały za nią.

Trącił konia piętami. Wykręcił i podjechał ku niej. Wyciągnęła ręce bez słowa. Pochylił się, chwycił ją i płynnie podniósł do góry. Posadził przy sobie.

- Chciałaś mi coś powiedzieć? - zapytał, muskając dłonią jej włosy.
- Nic, czego byś nie chciał usłyszeć - odparła z łagodnym uśmiechem.

Objął ją w talii, ona oplotła mu szyję ramionami. Zaczęli całować się jak podrostki. Po chwili z westchnieniem oparła czoło o jego policzek. Nagły strach przeniknął Ksina mrozem.

- Hanti, wyjedź stąd, najdalej za dwa tygodnie, do naszej posiadłości, do Samni. Tam czekaj - wyszeptał pośpiesznie.

Spojrzała zdumiona.

- Nie pytaj, zrób, jak ci mówię - dotknął wargami jej ust i ostrożnie opuścił ją na ziemię.

- Ksin...

- Bywaj, do zobaczenia!

Ostrogi trafiły w brzuch konia. Wierzchowiec zarżał i pognał przed siebie.

Drużyna ruszyła za nim.

Grzmot rozdarł półsenną ciszę i przeszedł w milknący tętent. Niebawem zaś rozplynał się całkiem i zamarł.

Znów było tak jak przed chwilą.

Trzy kobiety stały samotnie na opustoszałym dziedzińcu i patrzyły w nieprzeniknioną dal.

\* \* \*

Następne dni były do siebie podobne; monotennie ciągnące się drogi, zmiany koni, noclegi, kolejne karczmy. Jedynym urozmaiceniem tej nudy była zmieniająca się często pogoda; pylisty kurz, wciskający się w oczy i gardła, albo wilgoć i zwały błota. Od czasu do czasu, gdy dalsze siedzenie w siodłach było już nie do zniesienia, zeskakiwali na ziemię i szli całymi milami, prowadząc konie za sobą.

- Pierwszy raz gotów jestem żałować, że mój drogi kuzyn został wygnany aż tak daleko - powiedział któregoś dnia Ksin do idącego obok Allira.

- Jeszcze dwa dni - odezwał się tamten. Dalej zaiste nie można było, no, chyba że tam, skąd się już nie wraca - dodał - ale wtedy Wasza Dostojność i my nie musielibyśmy ciągiem odgniatać sobie zadków o te przeklęte siodła. Zali opłaciło się wypraszać onegdaj o życie takiego łotra?

- Masz słusność - roześmiał się Ksin - nie pomyślałem, że może przyjdzie mi tłuc się do niego po całym Suminorze.

- A co tam! - zachnął się setnik - przecie was znam panie, nawet gdybyście wiedzieli, to i tak nic by się nie odmieniło. Wy już tacy; niby nie całkiem, bez waszej obrazy, człek, a niejednemu uczyć się od was trzeba i to nie mało. Takim wy najostrzejszą solą w oku.

- Daj spokój, mój stary. Aleś mi powiedział.

- Com wiedział, to i rzekłem - odparł z godnością Alliro.

Z ostrym trzaskiem łamanych gałęzi pobliskie drzewo runęło na drogę przed nimi. Wierzchowce sploszyły się. Uspokoił je łagodnym posykiwaniem.

- Samo nie padło - odezwał się Ksin, poważniejąc.

- Podcięte jest - zauważył stary wojownik - na koń by nam trzeba. Martwa cisza panowała dookoła.

- Jeszcze nie - powstrzymał go Ksin - teraz mamy osłonę, a z koni strzałami nas zdejmą. Uważajcie, dam znak.

Przez chwilę nic się nie działo, aż nagle krótki okrzyk z okalających gościniec zarośli poderwał gromadę wyjących postaci.

- Nie doczekali się - pomyślał Ksin i ryknął ile tchu w płucach:

- Do siodła! Bij zbója!

W okamgnieniu był na koniu i spał zwierzę do szaleńczego skoku. Jak tygrys spadł między nadbiegających, a miecz zamigotał w porannym brzasku. Drapieżnym ruchem spuścił go na najbliższego z bandytów. Ten, nawet nie zdążył zareagować, gdy spadał nań lśniący brzeszczot - z charkotem runął pod kopyta Ksinowego rumaka. Stał zatoczyła krąg i znów ją pochłonał czyjś kadłub. Trzask ciętego mięsa, a po nim zdławiony skrzek. Przedarł się przez nich, zawrócił i wsiadł im od tyłu na



karki.

Odrabany łeb poturlał się w koleinie.

Palce jak patyczki odpadły od styliska topora, a jego właściciel zaskowyczał niczym kopnięty pies.

Czwórka gwardzistów uszykowała się w gwiazdę, ustawiając konie zadami do siebie. Ich ciężkie, dwuręczne miecze ze świstem śmigły wokoło. Marł każdy, kto ważył się podejść.

Kilkanaście kroków dalej, Alliro zaparł się na szeroko rozstawionych nogach z bojową halabardą w dłoniach. Dwóch zbirów wrzeszcząc skoczyło ku niemu. Szerokie i płaskie ostrze pomknęło poziomo nad ziemią. Pierwszy z napastników zatoczył się jak pijany. Przecięty w połowie tułowia poleciał w tył, parskając różową pianą z ust. Stary mistrz podążył za swoją bronią w tanecznym piruecie, wykręcił nią młynka i wyrzwał odwrotnym jej końcem w szczękę drugiego zbója, który bezwładnie, niby worek, padł na drogę. Halabarda wykonała płynny ruch z góry na dół.

Trzasnęły łamane żebra. Alliro wyszarpnął żelazo, odskoczył i z drzewcem pod pachą zastygł w pozycji wyjściowej.

Trzeciego chętnego nie było.

Rozkręcona na długim łańcuchu, pokryta kolcami kula z piekielnym wizgiem pomknęła prosto w twarz Ksina. Zbyt zapałzył się na wyczyny Allira, aby wykonać unik. Odruchowo zasłonił się mieczem. Łańcuch zawinął się dookoła klingi i wyrwał mu oręż z dłoni. Rozbrojony, błyskawicznie wyszarpnął stopę ze strzemienia, potężnym kopem w skroń odtrącił przeciwnika od siebie i wymknął się spośród walczących. W bezpiecznej odległości przystanął, ściągnął rękawice i wepchnął je sobie za pas. Prawe przedramię obnażył do łokcia.

- Szatila, moro et - wyszeptał koncentrując się na prawej dłoni. Przeniknął ją silny skurcz.

- Tomi, uniro di! - pulsując, płynnie zmieniała kształt. Niedoszły zwycięzca pozbierał się z ziemi i z rykiem wściekłości biegł, wymachując morgensternem. Ksin trącił konia i ruszył naprzeciw. Uniósł ramię do ciosu. W oczach napastnika zabłysł zwierzęcy strach. Rozedrgany wrzask ucichł, gdy szpony zdruzgotały czaszkę. Następnej ofierze wbił pazury w nasadę szyi i poderwał do góry; zachrząścił rwany kręgosłup. Puścił i wszystkim pokazał swą przekształconą rękę. Krzyk grozy przemknął wśród napastników. Po momencie obłędnego zamieszania byli już sami. Wokół pozostały trupy.

- Wszyscy cali? - zapytał Ksin, masując mrowiącą skórę. Znow mógł założyć rękawice.

- Bogowie ustrzegli - odpowiedział z nabożnym westchnieniem gwardzista Milan, wycierając o kępę trawy zbrukaną głównicę.

Ktoś inny odnalazł i podał Ksinowi miecz. Odebrał go, po czym starannie obejrzał klingę; nie wyszczerbiła się zbyt.

- W drogę! - zawołał, wsuwając broń do pochwy. Ominęli przeszkodę i dalej powlekli się pustym, beznadziejnie długim i szarym gościńcem. Słońce wznosiło się nad horyzontem. Nowy dzień zaczynał się już na dobre.

\* \* \*

O pięć godzin drogi od Diny, miejsca zesłania Darona, spostrzegli nad traktem siwy, rosnący obłoczek. Wstrzymali konie i wyteżyli wzrok.

- Oddział zbrojnych, ale barw jeszcze nie widzę - pierwszy odezwał się Ksin.

- Powitanie to, czy też znowu napaść? - mruknął Alliro. - Ani miejsce, ani pora na przypadkowe spotkanie.

- Nikt o nas słyszeć tam nie mógł, no, chyba że... - Ksin zmrużył oczy.

- Ustawcie się w szyku, porozrzec w górę i żelazo pod ręką - rozkazał - trzeba przygotować się i na jedno, i na drugie.

- W cwał! - dał znak szybkim gestem. Ruszyli z łomotem i chrzęstem. Prowadził Ksin, a pęd powietrza przyginał złociste włosie na zdobiącym jego hełm grzebieniu. Z dumnie wzniesionym czołem wpatrywał się w nadciągających jeźdźców. Za dowódcą sunął, utrzymując niezmienny odstęp od niego - przepisowe pół długości konia - setnik Alliro. Rozwiana chorągiew łopotała nad nim na smukłym drzewcu piki, którą na sztorc zamocował przy oparciu siodła. Swą halabardę wyjął z rzemiennych, umocowanych do uprząży pętli i przytrzymując ją jedną ręką, ukośnie położył na udach. Jej ciemnobłękitne ostrze rytmicznie kołysało się koło końskiego łba.

Pozostali jechali w dwóch parach, strzemię przy strzemieniu, a wiezione na plecach miecze, dla wygodniejszego dostępu, zawiesili rękojeściami na zewnątrz.

Stopniowo w zbliżającej się grupie Ksin dostrzegł najpierw godło rodu Fergo, a niebawem samego Darona, który - podobnie jak i on gnał na czele swej kilkunastoosobowej drużyny.

Po chwili spotkali się i równocześnie przekazali swoim znak: stój.

- A więc to jednak ty - zawołał Daron - przybyłeś...

- Skąd wiedziałeś, że mnie tu znajdziesz? - Ksin dalej nie był pewien rodzaju przyjęcia.

- Podobno kilka dni temu bandę rabusiów przetrzebił pewien mały oddziałek, a dowodził nim człowiek, którego ręka w czasie walki zamieniła się w kocią łapę. O ile pamiętam, jest tylko jeden kotołak w królewskiej służbie, a może mylę się, he...

- Ty, oczywiście, słyszałeś tylko niejasne pogłoski

- zadrwił dwuznacznie Ksin.

- Nie inaczej.

- A ja myślałem, że to byli twoi ludzie - wygarnął prosto z mostu.

Po twarzy Darona przebiegł grymas, lecz jego sens skryła rudawa broda i wąsy.

- Myślę, że kiedyś w końcu polubię tę twoją szczerość

- powiedział - nie miałem z tym nic wspólnego, ot zwykły napad, a wieści roznoszą się szybko, zwłaszcza takie. Jednak skoro tak sądziłeś, czemu tu z tobą mówię?

- Bo w mojej rodzinie zdarzyło się coś, co tylko ja mogę zmienić - rzekł twardo Ksin - i mam zamiar spełnić powinność wobec mojego rodu - dodał z naciskiem. Jeśli tobie wydaje się, że mi nic do tego, to zamierzam tą mają kocią łapą wbić do twojego zakutego łba to, że jest inaczej.

- Czyli przyjechałbyś nawet bez tego listu?

- Gdybym dowiedział się o tym, co zaszło, tak. Pokiwał głową w zadumie.
- Szczerść za szczerść. Chociaż królewska nobilitacja i nadanie nazwiska formalnie załatwiły sprawę, to ja nie przestałem uważać cię za, najłagodniej mówiąc, bękartą. Pamiętam jednak, że nikt inny tylko ty za tyłek ściągnąłeś mnie z katowskiego pieńka, mimo że diablo mało miałeś po temu powodów. Więc nigdy już głośno tego nie powiem, ale wiedz, że do napisania listu zmusiła mnie Mara. Ona już z rozpaczycy całkiem odchodzi od zmysłów.
- Ile razy był ssany? Daron spochmurniał.
- Pięć, ostatni raz dzisiejszej nocy.
- Jeszcze dwa i trzeba będzie Milina zakołkować - pomyślał Ksin.
- To z tymi ludźmi urządziłeś tę jatkę? - zapytał nagle tamten. Obejrzał się.
- Z nimi. Warci są swoich żoldów.
- To jeszcze jeden powód, aby gościnnie cię przyjąć. Witaj w mojej samotni! Solidnie uścisnęli sobie prawice - pierwszy raz w życiu.

\* \* \*

Połączone oddziały sunęły bezładną, rozciągniętą gromadą. Dwa proporce leniwie powiewały na jej czele: herbowy rodu Fergo i purpurowozłocisty sztandar królewskiej gwardii. Obaj krewniacy jechali koło siebie, prowadząc ożywioną rozmowę, a nieco dalej za nimi posuwał się bezustannie wpatrzony w nich chudy mężczyzna o długich, prawie że białych włosach. Był uzbrojony, ale jako jedyny z obecnych nie sprawiał wrażenia zawodowego żołnierza. Ksin zwrócił nań w końcu uwagę.

- Ten biały chudzielec zawsze odwraca wzrok, kiedy na niego patrzę. To zdaje się jest tępiciele? - zapytał Darona.
- Zgadłeś, na imię mu Bert. Ważny jakiś nawet, ci których teraz mam w zamku, słuchają go jak wyroczni.
- Coś marna z niego wyrocznia, sądząc po efektach.
- Lepiej nie mów tego żadnemu z nich i tak już źle trawia, od kiedy dowiedzieli się, że przybywasz. Gotowi zrobić jeszcze coś głupiego i znów będzie na mnie, a nie chcę się bardziej narażać królowi.
- Niewiniątko - pomyślał Ksin z kpina. Tępiciele najwyraźniej zorientował się, że o nim mowa, bo zdecydowanie przyspieszył i zrównał się z nimi.
- Nie trzeba nam było pomocy - warknął, unikając starannie form, które zmusiłyby go do użycia w stosunku do Ksina jakiegoś z ogólnie przyjętych zwrotów osobowych.
- O ile wiem, to nie wam coś wysysa krew w nocy, ale gdyby któremuś przytrafiła się kiedyś taka przykrość, dajcie znać; przyjadę i zrobię porządek - odciął mu z miejsca kotołak. - A poza tym - głos Ksina zabrzmiał twardo i bezceremonialnie - jestem oficerem wojsk Jego Wysokości Redrena III w randze kapitana gwardii i życzę sobie, aby zwracano się do mnie ze stosownym respektem. W przeciwnym razie będę zmuszony wyzwać takiego prostaka na pojedynek albo odpowiednio do jego stanu każę go moim ludziom oćwiczyć. Czy zostałem właściwie zrozumiany? Tępiciele poruszył grdyką, jakby łykał żabę.

- Tak,... panie kapitanie - wydusił z siebie.

- Nigdy nie wątpiłem w pojętność braci cechowej. Bert zsiniał, ale utrzymał nerwy na wodzy.

- To dziwna i groźna okolica - powiedział po chwili niby obojętnym głosem - różne rzeczy dzieją się tutaj z istotami nienaturalnymi. Niezwykłe rzeczy - powtórzył z zagadkowym uśmiechem - powinien pan o tym pamiętać...kapitanie.

Cofnął się, zachowując poprzedni dystans.

- Przyjemnie słuchać, jak sobie radzisz - odezwał się Daron - ale upokorzyłeś go i to przy ludziach, nie zapomni ci tego, zobaczysz.

- Tym gorzej dla niego - wzruszył ramionami. Pierwsze zabudowania Diny zaczęły pojawiać się w dali. Niecałą godzinę później minęli jedną z bram miasta i skryli się w labiryncie wąskich, stromych uliczek, jak sieć oplatających wzgórze, na którym wzniesiono miasto. Przysadzisty zamek o grubych i szerniałych ze starości murach znajdował się na szczycie.

Dina była typową twierdzą, jakich wiele wzniesiono wzdłuż granic południowo-wschodnich prowincji Suminoru, by chronić ją przed najazdami nieobliczalnych Pirów. Wszystkie ulice w każdej chwili łatwo dawały przegrodzić się przenośnymi płotami z bali, których fragmenty leżały tu i ówdzie ułożone w foremne stosy, a domy wznoszono wyłącznie z niepalnego budulca. Obok wymurowanych ze szlachetnej cegły rezydencji bogaczy widać było podobne raczej do stert surowego kamienia mieszkania biedoty.

Na zamkowym dziedzińcu już na nich czekali. Ledwie zdążyli wjechać, gromada stajennych pędem rzuciła się do koni. Zaczęło się zwyczajne w takich momentach zamieszanie; ściągnięcie siodeł, uprząży, wycieranie, pojenie zwierząt. Ludzie rozchodzili się do swoich pomieszczeń, a Ksinowych gwardzistów odprowadziła tam służba. Daron osobiście zajął się samym dowódcą. Na jego znak podbiegł nadzorca czeladzi.

- Gdzie pani? - zapytał.

- U panicza - padła odpowiedź. Daron pytająco popatrzył na Ksina.

- Nie traćmy czasu - zdecydował kotołak - idziemy! Gdy weszli, siedząca u wezłowania Mara poderwała się i nie bacząc na męża ze szlochem przypadła do gościa.

- Nareszcie jesteście!

Była zmęczona, blada i rzeczywiście bliska obłędu. Jej zapadnięte oczy błyszczały szaleństwem i błagalną nadzieją.

- Ratuj mojego syna - szepnęła roztrzęsionym głosem, wczepiając palce w fałdy jego płaszcza.

Daron zakłopotany patrzył na czubki swych butów. Natomiast Ksin delikatnie odsunął kuzynkę i podszedł do leżącego Milina. Chłopiec trwał pogrążony w bardzo głębokim śnie. Od Darona wiedział, że tak jest już drugi tydzień. Słaby i płytki oddech pojawiał się niezwykle rzadko. Ksin nie odbierał jeszcze wrażenia Obecności, ale na kredowo-białej twarzy małego znać było pierwsze oznaki Przemiany; zsiniałe powieki i przykurczone wargi, które odsłaniały poźółkłe zęby - na razie normalnej długości.

Podniósł okrycie. Tak jak przypuszczał, chłopiec był skrajnie wychudzony. Szyję

miał zabandażowaną.

- Odwińcie - pokazał na opatrunek - chcę to zobaczyć.

Pospiesznie spełniono życzenie Ksina. Ukazało się pięć podwójnych ukąszeń, niektóre już zabliznione, inne, a zwłaszcza te najświeższe, nie zdążyły się zasklepić...

Dał znak, że badanie skończone.

- Ile osób stale jest przy nim?

- Sześciu żołnierzy i ja - odpowiedziała Mara.

Leciutko gwizdnął przez zęby; ależ potężną musiała być wola zdolna pokierować wampirem i na dodatek obezwładnić aż siedem osób, a wśród nich zdesperowaną matkę!

- I nikt niczego nie zauważył?

- Ani nawet zamroczenia. Świeca, na którą patrzyłam, skróciła się nagle - mówiła jakby uspokojona Mara. - Spojrzałam na Milinka i tam znów była krew... - wstrząsnął nią gwałtowny dreszcz - a bandaż podartyyy... - spazm wykrzywił jej usta.

Ksin szybko uchwycił ją za ramiona.

- Patrz mi w oczy! - powiedział stanowczo. Potulnie uniosła głowę.

- Jesteś zmęczona, bardzo zmęczona, chcesz spać - mówił z przekonaniem - zaraz pójdziesz do swojej sypialni, położysz się i zaśniesz mocno. Obudzisz się za sześć godzin, będziesz silna i będziesz mogła walczyć o swojego syna.

- Tak, tak... - wyszeptała i zatoczyła się lekko. Podtrzymał ją, a Daron zaklaskał w dłonie. Przybiegły dziewczyny służebne.

- Zaprowadzić panią do łóża - rozkazał. Po chwili wyszli i oni.

- Widziałem już takie sztuczki - odezwał się Daron - dzięki ci, sam od tygodnia nie mogłem namówić jej, żeby poszła się zdrzemnąć. A co ty zamierzasz?

- Idę do łaźni - odparł Ksin - do zachodu nic się nie zdarzy, a na noc przyjdę do Milina. Zaczekam...

- Dasz radę? - padło krótkie pytanie. Kotołak odwrócił się i spojrzał mu w oczy.

- Nie wiem - odpowiedział spokojnie.

## Starcie

Ostatnie, różowawe przebłyski gasły już pod sklepieniem popielatego nieba, które powoli pogłębiało swój granatowo-niebieski koloryt. W pokoju Milina świece płonęły we wszystkich lichtarzach, a w kątach i koło drzwi niczym posągi stali wsparci na włócznie strażnicy.

- Czy znajdziesz tę przeklętą poczwara? - spytała nagle Mara.

Ksin odszedł od okna.

- Nie - przecząco pokręcił głową - nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego? - zdumiała się. - Przecież umiesz je wyczuć.

- To nie dotyczy animantów. One, zanim się zmieniają, są zupełnie zwykłymi ludźmi, którzy często nawet sami o niczym nie wiedzą. Są istotami naturalnymi, dlatego nie mogę odebrać ich obecności.

- Chcesz powiedzieć, że gdzieś tutaj, na zamku, żyje sobie jakiś niepozorny człowiek, któremu nagle, ni stąd, ni zowąd, nocami wyrastają kły i przychodzi tu ssać

mojego syna? - odezwał się zirytowany Daron.

- Zgadza się, ale to nie wszystko, musi być jeszcze źródło złej woli. Z tego co widzę, nie może nim być jeden człowiek, ani nawet kilku ludzi, tu jest większa grupa takich, co wiedzą, czego chcą.

- Nie w zamku, tępiciele mówili to samo, więc dla pewności kazałem powiesić każdego, o kim krążyły słuchy, że zajmuje się magią.

- Szkoda, że nie zrównałeś z ziemią całą prowincję. Oczy Darona zaślniły dziwnym blaskiem.

- A pomogłoby to?

- Wątpię - zgasił jego ciekawość.

- Powiedz, dlaczego tak jest - poprosiła Mara - i czemu Milinek?

- Zapewne z zemsty. Uderzyli w syna, by była dotkliwsza, a na dodatek może się zdarzyć, że on was pozagryza...

- Przestań!

- Wybacz Maro. Czas wezwać przełożonego tępicielei.

- Na co ci on? - zdziwił się Daron.

Zamiast odpowiedzi otrzymał tylko naglące spojrzenie Ksina. Pośpiesznie wyszedł z komnaty, by niebawem powrócić z Bertem.

- Witam wszystkich - zimno oznajmił tępicielei - cóż mogę uczynić?

- Chciałbym uzgodnić z wami sposób zgładzenia upiora - powiedział Ksin.

- Z nami? A czyżbyśmy byli jeszcze potrzebni? - głos Berta zadzwieczał szyderstwem.

- Tak - odparł niezrażony tym Ksin - zrobmy to razem.

Cisza, która teraz zapadła, przeciągała się ponad wszelką miarę. Bert wyduł pogardliwie wargi, lecz Daron nie zdzierzył tego.

- Ty kundlu! - ryknął, nie panując nad sobą – już drugi miesiąc darmo wam żreć daję i śmiesz mi tu sztorcem stawać! - Ogarnęła go furia, chwycił tępicielea za kaftan i potrząsnął nim tak, że omal nie odpadła głowa.

- Albo zaraz zaczniecie robić to, co on wam każe - wychrypiał - albo... - uspokoił się niespodziewanie, popatrzył przytomniej i zastanowił przez chwilę - ... przywieźli dziś drewno na opał, a więc migiem dla was pniaki mogą zastrugać. Zobaczycie, jak zgrabnie tu nawlekają!

Bert widać dobrze już zdążył poznać Darona, bo od razu utracił rezon.

- Tak jest komesie. Wedle woli twojej - wyjąkał usłużnie.

Ksin zaczął mówić:

- Ja ściągnę na siebie całą jego obezwładniającą siłę, a wy postarajcie się znaleźć sposób, aby zbliżyć się wtedy do niego, reszty chyba nie muszę wam mówić?

- Wielkie niebezpieczeństwo grozi ci kapitanie, to może spowodować jakieś nieodwracalne zmiany w mózgu...

- Nie twoja rzecz, zrób, co do ciebie należy, a o mnie przestań się troszczyć - zezłościł się Ksin i odwrócił do Berta plecami.

- Coś on dziś nie ma szczęścia - mruknął Daron, kiedy za tępicielem zamknęły się drzwi.

- I ty też nie przydasz się tutaj - przegonił go Ksin.

- A to czemu? - zapytał.

- Jesteś zbyt nieopanowany, będziesz przeszkadzać.
- Mogę zamknąć gębę - zaproponował.
- Nie o to chodzi, musiałbyś przestać myśleć.
- Aha.

Zostali sami, a w ciszy, jaka zapadła, czający się wszędzie niepokój dał znać o swej obecności. W komnacie nawet przy zapalonych świecach zdawało się być ciemno. I duszno.

Ksin siadł na podłodze w pozycji do medytacji, a Mara stanęła za nim. Jej twarz o ściągniętych rysach miała w swoim wyrazie coś wilczego, a właściwie to cała ona sprawiała wrażenie wilczycy przyczajonej u wylotu nory z młodymi.

Kotołak wyrównał oddech i bicie serca, rozluźnił mięśnie. Stopniowo wyostrzył swe zmysły, a całą świadomość skupił na jednym wewnętrznym punkcie. Cała jego wola i wszystkie duchowe siły skoncentrowały się i złożyły niby żołnierze w przedbitewnym szyku. Osiągnął gotowość i czekał. Mijające godziny nie przytępiały czujności, podobnie jak hałas zmieniających się co jakiś czas wart.

Pierwszy był zew Obecności. Pojawił się nagle i w dali, zaczął przybliżać się.

Wyobraził sobie tamtego, jak idzie otoczony chroniącą go sferą złowrogiej mocy, która obezwładniała każdego, kto znalazł się w jej zasięgu, gasząc myśli, uczucia i pamięć.

To z nią miał teraz się zmierzyć. Już była w pokoju. Jej uderzenie poczuł w środku czaszki. Żar przeszył mu nerwy. Przyjął cios miękko i odbił. Napór zelżał na moment. Zmysł Obecności stwierdził, że wampir zatrzymał się. Napotkana przeszkoda musiała zaskoczyć jego animatorów. Po chwili chmura zbiorowej świadomości znów przeniknęła przez ściany. Powoli wypełniła komnatę. Pulsowała, macając przestrzeń. Szukała przeciwnika. Zrazu bezskutecznie, aż nagle w okamgnieniu oplotły go niewidzialne macki. Natychmiast zerwał je i odrzucił.

Potężny sprzeciw Ksina wypchnął ich drugi raz z pomieszczenia, lecz ci już wiedzieli...

Następny cios przeznaczony był dla niego. Przeniknął na wskroś cały jego umysł i wpił się weń. Zaczęły się niewidzialne zapasy. Opór Ksina trwał krótko; uległ i zręcznie wyzwolił swoją świadomość. Wykorzystał umiejętności wyrobione latami treningu. Po mistrzowsku wygasił własny mózg i stał się martwym przedmiotem. Zdezorientowani animatorzy zgubili kontakt, a wtedy, w ułamku chwili, wzbudził się i przesłał im szydercze wyzwanie. Odpowiedzią był wściekły atak. Tamci musieli wpaść w furję, za to kotołak spokojnie powtórzył manewr. Ten raz i kilka następnych. Walczył, przeciwstawiając zimne wyrachowanie szalejącej jak lśniący obłęd mocy. Wreszcie osiągnął cel i zmusił ich do osłabienia obezwładniającego obłoku. Ludzie w komnacie zaczęli odzyskiwać świadomość. Osłona wampira zelżała, ale animatorzy uzyskali siłę zdolną zagotować mózg Ksina we wnętrzu czaszki. Teraz pomogła mu jego kocia odporność. Ściśnięty niewidzialnymi kleszczami nie mógł już ich rozerwać, ale i nie dał się zdusić. Wykorzystywał każdą niezręczność wrogów, aby choć trochę osłabić ich uchwyt. I trwał tak w zacieklej obronie, gnieciony jak granit pod śrubą.

Nie dali rady. On wiedział, co zaraz będzie; uwolnią wszystkich, aby usunąć go ze swej drogi. Przypadkowych przechodniów, żołnierzy, a zwłaszcza Marę, której

powstrzymanie kosztowało ich najwięcej wysiłku, może nawet na moment całkiem przestaną chronić upiora. Na to liczył.

Lecz nie ocenił swych sił i tak już będących u kresu...

Stało się.

Nagły krzyk wyzwolonej Mary zdekoncentrował Ksina w decydującej chwili. Coś, jak olbrzymi wór piasku, zważyło się na jego głowę. Wolę zmiotło gdzieś w niebyt. Świadomość rozdarło na strzępy. Kilkudziesięciu Ksinów przez moment kłębiło się w jednym ciele. Gigantyczny but zdeptał płomyk jego umysłu, a po nim zalały go oceany wody Musiał zgasnąć.

Przegrał i dał się ponieść. Jednak jego pogromcom było za mało, chwycili go upojeni zwycięskim szałem i szarpali Jak bestie zagryzioną ofiarę. Tłamsili, poniewierali, gnietli

Ale Ksin nie czuł już tego....

## **Igranie z ogniem**

Kiedy w czasie ogólnej audiencji Rodmin poprosił króla o rozmowę na osobności, wywołał tym równie wielkie zgorzelenie, jak i ciekawość. Z jednej strony było to niesłychane wręcz pogwałcenie etykiety, ale z drugiej fakt, że nadworny mag publicznie zwrócił się z jakąś sprawą do władcy, świadczył o jej niebagatelnym znaczeniu. Podobnie odebrał to i sam Redren. Wyrwany z błogiej monotonii uświęconej tradycją i zaplanowanej we wszystkich szczegółach ceremonii, zbeształ najpierw Rodmina jak chłystka za nieprzepisowe zachowanie, po czym tak samo potraktował nadgorliwego szambelana, gdy ten próbował odprawić maga z niczym. Nakrzyczawszy się wreszcie do syta, zerwał się z tronu, rzucił nań berło i zbiegł ze stopni podwyższenia, zgarniając ze sobą stojącego na nich Rodmina. Chwilę później, ku rozpaczce rwącego już włosy z głowy mistrza ceremonii, obaj zniknęli za drzwiami jednego z bocznych pomieszczeń.

- Od razu widać, że nie ma Ksina! - wykrzyknął, zaledwie znaleźli się sami - gadaj z czym przyszedłeś!

Rodmin, najdelikatniej jak umiał, opowiedział mu o sarkofagu Królowej Matki i o tym, co do tej pory zrobili. Redren wysłuchał go w miarę spokojnie, mimo iż pod koniec był bliski zgrzytania zębami.

- I ten sukinkot ośmielił się prosić mnie o pozwolenie na wyjazd, mimo że wiedział o tym?! - wrzasnął po ostatnim słowie Rodmina.

- Ja go tu zaraz... - ciskał się po komnacie.

- Gadaj! - przyskoczył do maga - łeb mu pod topór, wystarczy?

Długo tłumiona energia dosłownie rozsadzała Redrena, a Rodmin, mimowolnie spowodowawszy ten niespodziewany wybuch wigoru, wspinał się teraz na kolejne szczyty elokwencji, próbując ułagodzić władcę. Potrwało to trochę, zanim udało mu się wreszcie wybronić Ksina i odwieść króla od zamiaru natychmiastowego zawrócenia go z drogi.

- Ty się Rodmin z powołaniem minąłeś - stwierdził na koniec udobruchany Redren - w adwokaty trzeba ci było iść, a nie żaby w garnkach gotować. Ty nawet nie



dojeżdżonej babie potrafiłbyś wmówić, że ma męża ogiera.

- Za pozwoleniem. Wasza Wysokość - przerwał mu mag - gdybym kiedyś taką spotkał, to na pewno nigdy nie namawiałbym jej, aby zajęła się mężem...

Redren parsknął śmiechem i grzmotnął go w plecy, aż zahuczało.

- Dobrze - spoważniał nagle - dość błazeństw, radź, co robić.

- Można postąpić jak zwykle; sposobów jest wiele: ogień, kołek, ostrze Yev...

Redren machnął niecierpliwie ręką.

-- Wiem, że to pewne, ale zaraz narobią krzyku, że profanuję matczyne szczątki. Ostatnio świętobliwi i tak już krzywo na mnie patrzą. Uzbierało się mi trochę...

- Może by tak po cichu?

- We dwóch sarkofagu nie otworzymy. Swego czasu dwunastu ludzi pokrywę kładło. Trzeba by nam pomocy, a ja garści kłaków nie postawiłbym na to, że potrafią milczeć i nie polecą od razu z ozorami do świątyni. Tylko ty i Ksin potraficie jeszcze zachować przyzwoitość w tym bagnie... No! Tylko niech się wam we łbach nie przewróci od tego, co teraz powiedziałem. Nie przerywaj. Niepotrzebnie narobiłeś takiego zamieszania, trzeba było przyjść kiedy indziej. Nie przepraszaaj. Wiem, myślałeś, że jak nie narobisz rabanu, to nic do mnie nie dotrze i odeślę cię do wszystkich diabłów. Prawda, miałeś prawo tak myśleć, ale w końcu jakoś zostałem tu królem i jeszcze, bogom chwała, żyję piętnasty rok od tego czasu, a wy ciągle o tym zapominacie... A zresztą, to dobrze. Do rzeczy! Ksin mówił, żeby mateczki na spacery nie puszczać, zgadza się?

- Tak, panie.

- No właśnie, a gdyby tak ona tam sobie leżała, a wyjść nie mogła, to co? Z czasem chybaby szczyła?

- Długo by to, po prawdzie, trwało, ale tak.

- Więc, żeby mateczka nie mogła wierzgać, to przykryjemy ją cięższą kołderką, znaczy damy na wierzch solidniejszą płytę, co ty na to?

- Jeszcze o czymś takim nie słyszałem, ale czemu nie. Trzeba by tylko dokładniej policzyć i z naddatkiem dać, aby nie ruszyła.

- Umiałbyś taki ciężar obrachować?

- Tak, ale jest jeden kłopot; żadnego zabijania ani umierania koło sarkofagu.

Należy tego dopilnować, bo w przeciwnym razie za nic nie ręczę.

- Zadbamy o to. Czyli wszystko pięknie, za dwa tygodnie rocznica jej śmierci, a kochający syn funduje matce śliczny, nowy nagrobek. Z honorami będzie i nikt nie dowie się, że matka Redrena to strzyga. Teraz zmiataj stąd i bierz kamieniarzy do galopu; jutro w warsztatach ma furczeć. Sam sprawdzę. Jasne?

- Tak, panie - odpowiedział Rodmin, będący już w połowie drogi do drzwi.

Redren został sam i z satysfakcją poklepał się po brzuchu.

- No! - sapnął, poprawił koronę i zamaszystym krokiem wszedł do sali tronowej. Z całą monarszą godnością wdrapał się na szczyt podwyższenia, na którym stał tron, podniósł porzucone berło i wygodnie się rozsiadł.

- Dalej, dalej... - ponaglił mistrza ceremonii.

- Ale co, panie? - wystękał załamany dworzanin.

- Jak to co? - zdziwił się król - a na czym to skończyliśmy?

Szalone dni zaczęły się dla Rodmina. Oficjalnie mianowano go odpowiedzialnym za całość przygotowań do uczczenia rocznicy śmierci Królowej Matki i z tej przyczyny od rana do wieczora zaczęli zawracać mu głowę różni tacy, których istnienia w pałacu dotychczas nawet nie podejrzewał. Głównie byli to nawiedzeni artyści z projektami nowego nagrobka. Nie byłoby w tym jeszcze nic złego, gdyby nie to, że każdy z nich za wszelką cenę starał się okpić resztę, a wszyscy razem gotowi byli potopić się w łyżce wody. Na koniec, gdy dołączyli do nich najprzeróżniejsi mistrzowie i znawcy od sposobów organizacji ogólnego nastroju i dziwów, wpadł w furję, a jej miary dopełnili poeci stosownymi trenami. Zabarykadował się w swojej pracowni, a na jej drzwiach od zewnątrz wymalował symbol, wywołujący u patrzącego nań głęboką niechęć do życia i zwątpienie w sens całej dotychczasowej twórczości.

Szczęśliwie Redren nie zamierzał do niego zaglądać...

Nareszcie mógł zająć się obliczeniami. Nikt, nigdy nie robił dotąd niczego podobnego, toteż zmuszony był przyjąć całą masę poprawek i zaokrągleń, a ostateczny wynik rachunku postawił mu włosy na głowie - nawet królewski skarbiec nie miał aż tak grubych ścian!

Stwierdziwszy to, opuścił pracownię i zatarł znak na jej drzwiach. Okazało się, że czas był po temu najwyższy, bo trzech poetów zdążyło już podciąć sobie żyły, a jeden artysta malarz rzucił się oknem z wieży...

Teraz musiał wyszukać taki projekt, który byłby najbardziej odpowiedni. Przedstawione dotychczas, nie nadawały się. Nawet ci najskłonniejsi do tworzenia dzieł monumentalnych, nie zdołali wymyślić niczego, co choć trochę odpowiadałoby rozmachowi Rodminowych wyliczeń. I próżne były wszelkie jego sugestie, że król chętniej widziałby coś znacznie solidniejszego. Owszem, przynosili mu nowe rysunki dwu- i trzykrotnie cięższych pomników, ale żadnemu nie przyszło do głowy, aby powiększyć ciężar przeszło dziesięć razy...

Zdesperowany mag udał się czym prędzej do króla i podzielił z nim zmartwieniami. Redren zaś po przejrzeniu przyniesionych papierów zapadł w głębokie milczenie.

- Nie ma rady - przemówił wreszcie - trzeba ogłosić początek nowego stylu budowania sarkofagów. Znajdź kogoś, kto wymyśli odpowiednią nazwę i całą potrzebną filozofię. No, chyba że da się jeszcze jakoś zmniejszyć wielkość bez straty ciężaru?

- Otwory wypełnione ołowiem już są. Wasza Wysokość.

- A znaki, zaklęcia albo napisy? Rodmin pokręcił przecząco głową:

- Żadne z tych, które znam, nie nadają się do powstrzymania tego rodzaju upiora.

- Jest aż tak źle? - zapytał król, widząc malującą się na obliczu maga powagę.

- Tak, panie - padła odpowiedź - to wszystko, co robimy, jest jednym wielkim igraniem z ogniem. To nie przelewki, a my gramy tu jakąś błazeńską komedię. Ja widziałem Ksina, wtedy w podziemiach... Zwykła upiorzyca nie zrobiłaby na nim żadnego wrażenia, a tam... - znowu zawiesił głos - zapewniam cię panie, że nigdy nie widziałem go jeszcze tak wzburzonego.

- Ta-ak - Redren zaczął chodzić dookoła komnaty - może to rzeczywiście głupota, ale mówiłeś przecież, że płyta wytrzyma?

- Bo powinna wytrzymać, ale tak naprawdę, pewne jest tylko to, że niegroźna strzyga, to nie istniejąca strzyga, Wasza Wysokość.

- Trudno - stwierdził - jednak póki jest szansa, aby rzecz całą w tajemnicy zachować, a chcę, by tak było, zrobisz jak mówiłem. O resztę później będziemy się martwić. To tyle - oznajmił, a Rodminowi nie pozostało nic innego, jak skłonić się i opuścić królewską komnatę.

Zwątpienie w możliwość utrzymania sekretu musiał pozostawić dla siebie, ale kolejne dni szybko potwierdziły jego rację. Górnołotne peany, nie tylko nikogo nie przekonały co do sensu budowania małej piramidy w podziemiach pałacu, ale jeszcze wywołały całą lawinę plotek i niejasnych podejrzeń. Zbyt grubymi nićmi było to wszystko szyte.

W kamieniołomach i warsztatach kamieniarskich majstrowie na widok planów, zamiast młotami w skałę, najpierw zaczynali pukać palcami we własne czoła, a jakiś roztropniejszy czeladnik mruknął przy nim, że spod czegoś takiego to żaden upiór nie wy lezie.

Na dodatek okazało się, że konieczne będzie jeszcze poszerzenie wejścia i schodów do katakumb. Prace trwały więc dzień i noc, a robotnicy uwijali się jak ukropie. Zakończono je na trzy dni przed rocznicą śmierci królowej. Jej stary sarkofag całkowicie zabudowano, a wzniesiona bryła była jednym wielkim, dosłownie i w przenośni, szyderstwem z wszelkich zasad dobrego smaku, którego to faktu nie były w stanie ukryć pochwalne pienia pałacowych znawców sztuki, nakłonionych do tego wizją spotkania z mistrzem Jakubem.

Uroczystości odbyły się bez niespodzianek, ale cała prawda wyszła na jaw już w pierwszą noc. Tuż przed północą usłyszano wyraźne, dobiegające z wnętrza sarkofagu, chroboty trwające bez przerwy do świtu. Niestety, ze względu na znaczne zainteresowanie przedmiotem niedawnej ceremonii, świadków było zbyt wielu.

Na nic zdała się wymyślona pośpiesznie teoria o zamurowanym przypadkowo kocie. Rzekomy kot nie dość, że nie chciał zdychać, to jeszcze zachowywał się niczym tygrys i to w ściśle określonych godzinach.

Wieść o królowej-strzydce lotem błyskawicy obiegła pałac, a Rodmin z trudem zdołał ocalić głowę, kiedy Redren przypomniał sobie, że można było wytłumić dźwięki warstwami pakuł upchniętych w odpowiednio przygotowanych szczelinach...

Przerażenie i strach szybko jednak przeszły w ogólny podziw połączony ze zjadliwą satysfakcją. Uznanie dla pomysłu Redrena okazało się tak wielkie, iż ten przestał niebawem wściekać się na Rodmina za jego niedopatrzenie, i z lubością oddał się wysłuchiwanemu pochlebstw oraz nieustannych zachwyty nad jego mądrością. Obsypywali go nimi również ci, którzy dotąd tego nie robili, a nawet, z racji zajmowanych urzędów, pozwalali sobie czasami na krytykę.

O Królowej Matce zaczęły krążyć coraz złośliwsze dowcipy i przybywało ich z każdym dniem. Niemal pielgrzymki wędrowały co noc do katakumb, aby z uczuciem wyższości, połączonym z dreszczykiem grozy, słuchać jej bezsilnego zgrzytania.

Pałacowa menażeria przestała cieszyć się jakimkolwiek zainteresowaniem...

Król zawrzał strasznym gniewem, gdy doniesiono mu o tym. Ta nagła odmiana

nastroju była zupełnym zaskoczeniem dla nie spodziewających się niczego dworaków. Licho wie, co stało się Redrenowi; może rozdrażnił go ich dotychczasowy brak szacunku do jego, bądź co bądź, matki lub może po prostu doszedł do wniosku, że w tej sytuacji wypadałoby się zdenerwować... Udawał, czy nie udawał, w każdym razie był bardzo przekonujący...

Poprzez monarsze apartamenty przeszedł istny tajfun, jakiego jeszcze nigdy nie oglądano. Trefnisia, który przyniósł mu tę nowinę, nie uchronił błazeński immunitet: dosłownie na kopach przeleciał przez cztery komnaty, a następnie spadł na zbity pysk ze schodów. Zbyt mało było Redrenowi tej jednej ofiary, bo chwilę później wszystko, co żyło, uciekało stamtąd drzwiami i oknami.

Rozpoczął się pogrom miłośników nocnych chrobotów. W przeciągu kilku następnych godzin w katimskim pałacu działy się sceny godne wyczynów karyjskich satrapów. Straże szalały, a w izbie tortur mistrz Jakub ogłosił stan ostrego pogotowia - jego pomocnicy na gwałt szykowali maszyny, narzędzia i dyby. Na szczęście, obyło się bez nich, gdy bowiem gwardziści zegnali już na pałacowy dziedziniec wszystkich śmiertelnie przerażonych winowajców obojga płci, Redrenowi nagle przeszło.

- Czy to komplet? - zapytał spokojnie zastępcę Ksina, patrząc na nich z okna.

- Tak, panie - odpowiedział tamten.

- No to powiedzcie im, że byli dość nieuprzejmi - rozkazał.

I poszedł. Mieszanina ulgi ze strony dworzan i rozczarowania gwardii, która zdążyła narobić sobie apetytu na dobrą zabawę,omalże nie rozsadziła pałacu.

Przez kolejne dni chodzono wokół króla wyłącznie na palcach, ale potem wszystko powróciło do zwyczajnego stanu. No, może tylko błazen nie był już tak wymowny jak niegdyś. Drzwi do katakumb zamknięto i ustawiono przy nich straż.

Idylla trwała jednak zadziwiająco krótko; niebawem w podziemiach, po uprzednim wciśnięciu wartownikom kilku sztuk złota, zaczęli pojawiać się nowego rodzaju bywalcy. Były to przeważnie parki, które solennie zapewniały pilnujących, iż idą tam wyłącznie po to, by modlić się gorąco w intencji odwrócenia nieszczęścia od czcigodnych zwłok królowej. Bardzo charakterystyczny był fakt, że zazwyczaj jedno z dwojga niosło zwinięty w kłęb pled albo puszysty dywanik...

Co do modłów, to jedyną nie nasuwającą wątpliwości rzeczą mogła być tylko ich temperatura... W atramentowych ciemnościach, w których dotąd dawały się słyszeć najwyżej zgrzyty i szmery uwięzionego upióra, rozlegały się nagle duety przyspieszonych oddechów, czułe słówka i zdławione jęki rozkoszy, poprzedzone dźwiękami typowymi dla pośpiesznego ściągania, a nawet szarpania lub darcia tkaniny.

Intensywność chrobotów i wybuchów ekstazy, zdawały się być wzajemnie od siebie zależne. Im gwałtowniejsza z wnętrza grobowca dobiegała szamotanina, tym większe podniecenie zaczynało panować u jego podnóża lub na szczycie...

Damy, mające nad sobą tygrysa, którego z zapalem starali się odegrać ich partnerzy, a pod sobą całkiem autentycznego upióra, już po paru chwilach wpadały w amok, jakiego nie mogły osiągnąć w innych warunkach.

Z dnia na dzień głośniejsze także stawało się nocne wiercenie się strzygi. Tak, jakby bestia skądś czerpała energię... Coraz silniejsze uderzenia przenikały wskroś ściany sarkofagu, a po pewnym czasie dziwne wibracje zaczęły przebiegać przez jego

masywne płyty. Jednak kolejne zatopione w miłosnym szale pary zdawały się nic nie dostrzegać. Wręcz przeciwnie - nigdzie indziej już nie udawało się im osiągnąć tak gwałtownej, mocnej i wyczerpującej rozkoszy, po której aż tak długo musieliby wypoczywać...

Rozsądek i rozum zniknęły gdzieś, przepędzone przez triumfujące szaleństwo zmysłów.

Przeznaczenie nie dało się zwiść.

Krótki i głuchy huk rozległ się którejs nocy w zamkowych podziemiach. Jego echo stłumiło przeraźliwy krzyk chwilę po nim, a szalejąca na zewnątrz burza zagłuszyła wszystko grzmotem swoich piorunów.

Ciemność zgęstniała nagle i wiatr z potępieńczym wyciem przemknął przez pałacowe krużganki. Błyskawice załśniły czarnym światłem. Skrzypnęły drzwi do katakumb. Potem dźwięk roztopił się w plusku padającego deszczu. Wartowników nie było, odeszli, by spożytkować otrzymane niedawno złoto. Oni przed świtem nie spodziewali się tutaj nikogo...

Rankiem wyznaczony gwardzista zszedł jak zazwyczaj na dół, by dokonać codziennego obchodu podziemi. Wędrował w stronę grobu Królowej Matki. Krąg światła jego pochodni ogarnął nagle zwały gruzu, błyszczące głęboką czerwienią rozbryzgi i wystające spod głazów lub leżące obok nich ludzkie strzępy.

W ciemnościach rozległ się jakiś szmer. Drewnienko smolnej szczapy wysunęło się ze zmartwiałej dłoni. Obłądny wrzask rozdarł ponurą ciszę i zlał się z pośpiesznym łoskotem butów uciekającego w panicznym strachu człowieka.

## **Odmieniec**

- Ksin... - rozległo się w opalizujące mlecznej mgle.

- Ksin! - wynurzył się z niej nieokreślony zarys.

- Otworzył oczy! - nic nie potwierdziło wrażenia jego zmysłów, on niczego nie widział.

- Kapitanie, wodzu - ten drugi wydał mu się znajomy. Mgła zaczęła falować. Zarys przybliżył się ku niemu. Wyteżył wzrok. Owalna plama na moment stała się twarzą.

- Ktoooo... - inny szept, obcy, dziwny, nieznan.

- To ja. Mara!

- Hantiii...

- Nie, nie Hanti, Mara!

Nie wiedział, czego od niego chcą. Jasność zniknęła. Jakiś wstrząs. Coś nim poruszyło. Uświadomił sobie, że jest czymś, co można poruszyć.

- Patrz na mnie!

Znowu światło. Głowa wychyliła się z połyskującej sfery. Sama głowa unosząca się w powietrzu.

- Ksin, ty żyjesz, walczyłeś, pamiętasz?

- Lepiej, żeby zginął, to może być gorsze od śmierci - nowy, wrogi głos gdzieś z daleka. Nie lubił tego głosu.

- Wynoś się stąd, ale już! - krzyk, on też chciałby tak krzyknąć.

- Ksin, przypomnij sobie, spróbuj.
- Ale co? - dlaczego nie chcą mi dać spokoju.
- Chcęęę Hantiii... - niech tu przyjdzie, niech ich przegoni...
- Nic z tego, nie dogadamy się z nim.
- Czy to tak długo...?
- Nie wiem, musimy czekać. Światłość rozplynęła się.

\* \* \*

Ból, pulsujący, wściekły. Przeszywał, zgniatał, rwał. Coś rozsadza mu czaszkę, potem ją miażdży, i znowu... Obłądny kołowrót. Powstrzymać ich, zabić, wypchnąć. Tak właśnie! Nie puścić wampira! Nie dać im, nie dać. O! Auuuch!

- Spokojnie kapitanie, już dobrze, tu jestem.
- Ktoś ty?
- To ja, Alliro.
- Gdzie Hanti?
- W Katimie, panie, w pałacu. Tam swą żonę ostawiliście. Zamrugał oczami. Coś tak..., chyba tak, ...racja, ale walka...
- Walka! Co z nim?! Zabity?!
- Zabity, a jakże, zabity jak należy. Postarały się ścierwa wymiatacze...
- Opadł z ulgą na pościel, więc udało się!
- Co ze mną?
- Ponoć rozum wam panie zdusili, tako medyk gadał...
- Jednak stłamsili, nie wytrzymałem...
- Co tam szepczecie, panie?
- Odpowiedzi nie było. Alliro pochylił się nad swoim dowódcą; Ksin znowu spał jak zabity, lecz teraz oddychał spokojnie.

\* \* \*

- Jak długo byłem nieprzytomny? - zapytał, zaledwie zdążywszy otworzyć oczy.
- Pięć dni, ale z dwiema przerwami - rzekł Alliro zdumiony tak rzeczowym pytaniem.
- Jedną pamiętam, a co gadałem podczas drugiej?
- Niewiele, panie, tylko panią Hantinię chcieliście widzieć i bardzo krótko to trwało.
- Kiedy to było?
- Na trzeci dzień po tym, jak was zmogło, a wcześniej to jak pień albo, bez waszej obrazy, jak głąz leżeliście. Otworzyły się drzwi.
- I jak tam z tym... - Daron urwał w połowie, widząc siedzącego na łożu Ksina.
- A niechże cię! - wykrzyknął uradowany. - Powiedz, gdzie takie twardziele się rodzą!
- Na dachach i w piwnicach wszystkich pałaców i domów, również tych należących do rodu Fergo - padła odpowiedź - a miauczą przy tym...
- Daron ryknął śmiechem, do którego przyłączyli się pozostali.

- Jak Milin? - zapytał Ksin po chwili.

- Bardzo jeszcze słaby, ale po trochu dochodzi do siebie.

- Mów teraz to, czego nie wiem.

- Było, jak przepowiedziałeś. Kiedy zajęli się tobą, tępiciele zabili to ścierwo.

- Jakim sposobem? - zaciekawił się.

- Zastrzelili z łuków strzałami o srebrnych ostrzach. Podobno bliżej nie dało się podejść... I wiesz kto to był? Żołnierz z mojej drużyny, niech go piekło! Mówiłem już z dziesiętnikiem, któremu podlegał. Podobno byt to mięczak i tchórz z rodzaju tych, co to jak do bitwy idą, to trzeba mieć na nich takie samo baczenie, jak na wrogów, bo mieczem z zamkniętymi oczami machają i nigdy nie wiadomo, kogo nim zaczepią, a nawet i konia pod sobą ubić czasami potrafią.

- To zgadzałoby się, podatny był. A tych, co nim kierowali, znalazłeś?

- Kamień w wodę - bezradnie rozłożył ręce.

- Niedobrze - Ksin wyciągnął się na pościeli - znaczy zrobiliśmy mniej niż połowę roboty, mogą nam tutaj drugiego nasłać...

Daron zaklął szpetnie.

- Ale nie tak od razu - uspokoił go Ksin. - Ten zabity był nosicielem ich wspólnej świadomości, jego śmierć musiała zdrowo nimi potrząsnąć. Trzeba im czasu, żeby się pozbierać.

- Pięć dni już mieli - mruknął ponuro Daron.

- Tak, ale pewnie leszcze nieprędko znajdą drugiego o takiej podatności woli, a na dodatek trzeba też trochę nad takim popracować.

- Ile? - przerwał mu niecierpliwie Daron.

- Trzy dni najmniej, czasem nawet i miesiąc.

- A ile trzeba czasu, by odzyskać siły po zabiciu animanta?

- Ze cztery, pięć dni...

- Zatem w najgorszym razie mamy jeszcze dwa dni.

- Chyba jednak przeceniasz ich nieco, ale dwa na pewno.

- Pojutrze zaczyna się pełnia, to dobrze czy źle?

- Bardzo dobrze, po Przemianie mogą mnie pod ogon pocałować.

Daron zatarł ręce z radości i ruszył do drzwi, ale nagle zatrzymał się i odwrócił gwałtownie.

- A jeśli mają drugiego do zastąpienia?

- To pewnie byś już o tym wiedział. Z szyi Milina... Zmiał przekleństwo w ustach.

- Każę ci strawy przynieść - mruknął na odchodne.

- Nareszcie jakiś niegłupi pomysł - podsumował go Ksin.

Jeszcze tego samego dnia, przed wieczorem, wstał i zabrał się do roboty. Siły wróciły mu szybko, co jednak nie zdziwiło nikogo, gdyż przecież na ciele żadnej szkody nie poniósł.

Razem z Daronem wzięli się za szukanie animatorów. Bez skutku. Całe godziny spędzone na przepytywaniu wszystkich bliższych i dalszych znajomych Alksa, czyli zabitego drużynnika, nie dały niczego. Nikt nic nie wiedział, nie słyszał, nie kojarzył. Ot, był sobie taki, nikomu nie wadził, w drogę nie wchodził, jeden tylko dziesiętnik coś więcej mógł o nim powiedzieć, ale niewiele ponadto, co już wcześniej mówił Daronowi że niedojda, półgłówek i do wojowania niezdatny, że od biedy tylko do

pilnowania i straży można było go posłać, i koniecznie nie tam, gdzie naprawdę trzeba było czegoś dopilnować.

- Tyle tylko pożytku z Alksa było - opowiadał dziesiętnik - że czasami tych od poważnej roboty nie trzeba

było do głupot wysyłać. Inaczej dawno już kazałbym mu iść, gdzie oczy poniosą.

- Właśnie - zapytał Ksin - a nie znikał on czasem,

choćby na parę dni, może do jakiejś dziewczki? - odpowiedział.

- Ech, Wasza Dostojność - machnął ręką - która by tam chciała przed takim nogi rozłożyć... Od sześciu років, jak tu komesowi służę - skłonił się w stronę Darona - to ani dnia nie było, żebym tak po dwa, trzy, jeśli nie więcej, razy musiał tę głupią gębę oglądać. Za to głowę dać mogę.

- To znaczy, że on od tych sześciu lat zawsze w drużynie był, a w ostatnim czasie ciągle na zamku siedział?

- wtrącił się Daron.

- Tak, komesie. Więcej pytań nie mieli. Odesłali żołnierza i popatrzyli po sobie.

- Gdyby nie to, że spokój jest, można by pomyśleć, że tępiciele nie tego, co trzeba, ubili - stwierdził Daron.

- Żebyś czarowników nie kazał wieszać, może oni mogliby coś powiedzieć - mruknął Ksin w zamyśleniu.

- Iii tam, tak od razu wieszania nie było, najpierw kazałem im śpiewać - oczy Darona rozbłysły - i śpiewali aż miło, mówię ci, tylu ciekawych rzeczy naraz nie słyszałem - spoważniał - ale o tym ni słówka nie rzekli.

- No to, dlaczego...?

- Za całą resztę. Ile trzeba, to każdemu z nich się uzbierało. Jak prawo to prawo.

- Niech ci będzie, ale my dalej niczego nie wiemy. No, może jedynie to, że przerobić musieli go tutaj, na zamku.

- Że też dziesiętnik niczego nie zauważył...? A może on...?

- Tak - zakpił Ksin - po czarownikach powywieszaj własnych ludzi, tylko ciekaw jestem, kto to dla ciebie robi...

- No więc co?!

- Jest taka kocia zasada przy łapaniu myszy: czekać i patrzeć...

- A niech cię z...!!! - warknął.

Rozstali się dalecy od zgody i w nie najlepszych humorach. Przez następny dzień nic się nie wydarzyło, ale i oni nie zdołali niczego odkryć. Daron wychodził z siebie, a Mara i Ksin stali się jedynymi, którzy odważyli się z nim rozmawiać. Natomiast tępiciele zaszyli się w przydzielonej im części zamku i udawali, że ich tam nie ma. Nie robili zupełnie nic. Formalnie mieli do tego prawo, gdyż wampir został zabity, a sprawa animatorów, podobnie jak każda zmowa czy spisek, była rzeczą władzy państwowej, nie ich. Bert z przyjemnością przypomniał o tym Daronowi, doprowadzając go tym do jeszcze większej wściekłości. Trafił tu, trzeba przyznać, w słaby punkt Ksinowego kuzyna, gdyż Daron nie miał zamiaru do końca życia tkwić w takiej zapadłej dziurze jak Dina i w nieskończoność uganiać się za Pirami. By jednak tak się nie stało, nie mógł pozwolić sobie na zbyt częste i głośne łamanie prawa, jakim niewątpliwie byłoby obdarcie tępicielei ze skóry, a właśnie to zrobiłby



teraz z dziką rozkoszą. Ostatecznie stanęło na tym, że nie pozwolił im wyjeżdżać z zamku, bo tyle akurat mógł zrobić, ale nie było siły, aby zmusić ich do jakiegokolwiek pomocy.

W tym samym czasie Ksin zajęty był zmuśnionym odtwarzaniem dzień po dniu, ze wszystkimi szczegółami, ostatnich sześciu miesięcy życia Alksa. Robota ta, nie dość, że mozolna, to na dodatek była piekielnie nudna. Niekiedy musiał przepytwać nawet i po kilkadziesiąt osób, tylko po to, aby dowiedzieć się w końcu, iż danego dnia Alks miał gdzieś tam wartę i bez przerwy sterczał w jednym miejscu z włócznią. Było to tak, jakby próbował dowiedzieć się gdzie i co w określonej porze robiły, na przykład, wróble - znaczy wszyscy widzieli, ale nikt nie zauważył... Z tego powodu przeprowadził się do zamkowej gospody i tam za sprawą setek stawianych kufli powoli powiększał swą wiedzę.

Pierwszego dnia pełni, krótko przed wschodem księżyca, z lekkim szmerem w głowie i chwiejąc się trochę na nogach, wszedł do swojej komnaty i starannie zamknął za sobą drzwi. Pościel z łóżka przerzucił pod kominek i napalił w nim mocno. Pamiętając zaś o tym, że niebawem utraci ludzkie dłonie, wepchnął tam tyle drewna, ile tylko się dało.

Piekielny żar buchnął niebawem na cały pokój. To lubił, a zwłaszcza po Przemianie. Ta przebiegała jak zwykle, chociaż z tą różnicą, że ból był o wiele mniejszy. Przez ostatnie lata nauczył się tłumić go pewnymi sposobami medytacji.

Po wszystkim jeszcze chwilę pokręcił się, po czym wygodnie spoczął w leżących na podłodze betach.

Sen spadł na niego gwałtowny i niespodziewany...

\* \* \*

Tędy, dostojni panowie, tam leży... - wołał wzburzonym głosem prowadzący ich żołnierz. Poblądły Daron z Ksinem i kilkoma innymi szybko postępowali za nim.

- O tu, tu musiało się zacząć - zniżył łuczycywo i pokazał im czerwone plamy na wykutych w wapieniu schodach i ścianie. Dalej krwi było coraz więcej. Drobne zacieki ustąpiły miejsca rozbryzgom i całym przyschniętym kałużom. Na dole, w podziemiach, musieli już wyszukiwać miejsca, na których mogliby stawiać stopy.

- Przekleństwo - burknął Daron - zupełnie jak pod szafotem po dużej rąbaninie...

- Nie myślałem, że aż tyle tego w człowieku - wyszeptał z przejęciem jakiś młody drużynnik.

Trup leżał na wznak kilka kroków dalej. Przewodnik zatrzymał się przy nim z uniesioną pochodnią.

- O gówno! - wyrwało się Daronowi.

Z głowy tamtego został tylko kawałek potylicy, a odłamki kości i drobiny biało-różowej galarety porozrzucane były wszędzie dookoła. Reszta ciała wcale nie wyglądała lepiej - od góry do dołu poszarpane i w szramach; oto dlaczego musiał tak krwawić.

Któryś z żołnierzy odszedł pośpiesznie na bok... Pozostali też mieli nietęgą miny.

Ksin zbliżył się tam z kamienną twarzą i przyklęknął.

- Mózg wyjedzony - stwierdził.

- Niżej światło - poleciał chwilę później.

Zaczął dokładne badanie. Wyciągnął sztylet i rozciął nim postrzępione ubranie. Skupili się wokół niego. Sprawnie obnażył zwłoki.

- Wody i jakąś szmatę! - ktoś podał mu bukłak i kłębek pakuł. Zmoczył go, zaczął usuwać skrzepy. Niebawem ukazała się zsiniała skóra. W blasku pochodni pokrywające

ją rany ziały głęboką czernią. Powoli przesuwiał palcami po brzegach niektórych z nich.

- Pazury..., kły... - rozpoznawał ich pochodzenie.

- O, jest! - syknął nagle. Pokazał na ramię trupa. Widać było na nim wyraźny odcisk szczęk. Wyjątkowo tutaj nie nastąpiło większe rozerwanie ciała i po zębach pozostał tylko owalny szereg dziur w skórze.

Wstał, spojrzał Daronowi w oczy.

- To kotołak - rzekł krótko.

- Co?!!!

- To nie mogło być nic innego.

- Jesteś pewien?!

- Wielkość ran, układ zębów, no i to, co zostało z jego czaszki... Wszystko się zgadza.

Daron patrzył na niego tak, jakby nie wierzył własnym uszom. Dobra chwila minęła, zanim rzeczywiście dotarł do niego sens słów Ksina.

- Chodźmy stąd! - pociągnął go za rękaw koszuli - a wy porządek tu zróbcie i dowiedzcie się, co to za jeden - rzucił za siebie.

Weszli na górę, zaczęli iść pustym korytarzem.

- Mam nadzieję, że wiesz, co mówisz, w tych stronach nigdy nie było kotołaków.

- Więc teraz to się zmieniło - odpowiedział Ksin

- dziś w nocy jeden z nich pojawił się na zamku. Musiał przyjść kiedy spałem, inaczej na pewno bym go wyczuł.

- Bramy zostały zamknięte przed zachodem słońca, a ty położyłeś się spać jeszcze jako człowiek, czy...

- Nie, po Przemianie.

- Znaczy, że ten drugi też nie wszedł tu w ludzkiej postaci i mógł dostać się tylko po murze - myślał głośno Daron.

- To jest możliwe - przytaknął Ksin.

- Tylko że w tym zamku, jak w każdej pogranicznej twierdzy, mury pilnowane są z góry i z dołu, po obu stronach! Jeśli więc Przemiana nastąpiła w mieście, to czemu, do diaska, tam nic się nikomu nie stało?! Dlaczego wspinał się po murze wysokim na ośmiu chłopa, tylko po to, aby zabić tu przypadkowego żołnierza?! Nie widzisz, że to bez sensu?

- Masz rację, wszystko wskazuje na mnie... - stwierdził Ksin lodowato.

Daron nie odważył się podnieść oczu.

- Jesteś tu jedynym kotołakiem... - mruknął, nie patrząc na Ksina.

- Czekałem, kiedy to powiesz...

Zapadło długie milczenie, jedynie ich kroki miarowo rozlegały się stłumionym pogłosem. Każdy szedł tak, jakby obok nie było tego drugiego. Stężała twarz Ksina

nie wyrażała niczego, natomiast na obliczu Darona mieszał się wstręt ze wstydem.

- Chodźmy do mnie - kotołak odezwał się pierwszy. W jego głosie zabrzmiały twarde nuty.

Niebawem stanęli pod drzwiami komnaty Ksina. Otworzył je i zaczął oglądać.

- Wiem, że były zamknięte - powiedział dziwnie spokojnie. Dotknął zasuw...

- Czy można odciągnąć ją pazurami? - zapytał Daron.

- Tak.

Nagły grymas wykrzywił kąciki warg Ksina.

- Rysy... - wyszeptał zdławionym głosem.

Daron pochylił się.

- Czy to od szponów? - padło drugie pytanie.

- Nie wiem...

- Czy były tu wcześniej?

- Nie wiem...

Ksin siadł bezwładnie na stołku i złapał się za skronie, a Daron zamknął uchylone drzwi, stanął przy nich i nic już nie mówił.

- Trochę piłem, zmorzyło mnie, nie pamiętam, co było w nocy, myślałem, że śpię - chaotycznie wyrzucał słowa - żadnych snów nie pamiętam, nic nie pamiętam! - dłonie zaczęły mu drżeć; ukrył je pod pachami.

- Animant... - powiedział nagle Daron.

Ksin podniósł gwałtownie głowę.

- Sądzisz, że... oni, ...mnie...? - patrzył z rozpaczliwą nadzieją zaprzeczenia.

- Byłeś w ich mocy... - przypomniał mu bezlitośnie.

- Tak..., prawda...

- Dziś dalej jest pełnia... - te słowa spadły jak miecz.

Ksin spojrzał na niego przytomniej. Wstał, podszedł do leżącej w kącie podróżnej sakwy i pogrzebał w niej chwilę. Wydobyl podłużny pakunek.

- Masz, weź - podał go Daronowi.

- Co to - tamten wyciągnął rękę.

- Ostrza Yev, niech ludzie strzegący Milina osadzą je na swych włóczniach.

- Na ciebie...?

- Nie! Nie na mnie, ale na potwora, którego trzeba zabić! - powiedział z determinacją i dodał:

- Musimy za wszelką cenę ich znaleźć! I to jak najszybciej!

- Dobrze. Pójdę dziś z tobą do gospody, ale najpierw wydam rozkazy, co do tego - pokazał na zawiniątko z grotami - czekaj tu na mnie - polecił i wyszedł.

Gdy wrócił po jakiejś półgodzinie, zastał Ksina siedzącego na łóżku ze wzrokiem tępo wpatrzonym w jeden punkt, gdzieś na podłodze. Śniadanie, które jak zazwyczaj przyniosła służba, stało na stole nietknięte.

- Możemy iść - oznajmił Daron. Ksin skinął machinalnie głową i wstał sztywno jak kukła.

Wieść już musiała się rozejść, gdyż w momencie ich wejścia do karczmy wszelki gwar umilkł natychmiast. Wszystkie spojrzenia skupiły się na Ksinie, a w powietrzu zawisło coś, co powstrzymała tylko obecność Darona.

Zaczęli śledztwo. Chętnych do wyjaśniania czegokolwiek nie było, a kolejni

wzywani odpowiadali z dużym ociąganiem. W końcu komes zwymyślał kilku z nich, lecz i to nic nie pomogło. Coraz częściej padały słowa: nie wiem, nie pamiętam, nie znałem. Po trzech godzinach tej szarpaniny Daron nie miał już nawet siły się wściekać, a siedzący obok Ksin z każdą mijającą chwilą bardziej pograżał się w trzęsawisku beznadziejności i rozpacz.

Potworność tego, co zaszło, była jak jakiś niemożliwy do ogarnięcia koszmar. Jak coś zupełnie nieprawdopodobnego, co jednak z uporem wciskało się w jego świadomość i było z niej ciągle wypychane. Bez przerwy krążyło i osaczało każdą myśl, dławiąc oddech i budząc zimne dreszcze. Nieogarnięte, realne i straszne, ze wszystkich stron, niczym duszący obłok.

On nie mógł uwierzyć, ale nie wierzyć też nie..., a to było, było, cały czas BYŁO!

Przepadła już jego duma. Teraz istniało tylko ohydne, niezmasalne piętno. Ciężko jak ołów na powiekach, o których wiedział, że już nigdy nie ośmieli się ich podnieść, aby spojrzeć komukolwiek w oczy.

Nigdy dotąd nie zabił człowieka będąc w postaci kotołaka, nawet gdy były powody. To był warunek...

Wyobraził sobie, że pożera skrwawiony mózg, chłepcze tę białawą maź... Zemdlilo go.

Całe szczęście, że nie jadł śniadania.

- ...a wtedy komesie, to on miał wartę przy tych zamurowanych Pirach - dotarł do niego strzep zeznań.

- Jakich zamurowanych?! - wykrzyknął, tknięty nagłym przecuciem.

- Pirowie to kanibale - wyjaśnił Daron - ale póki zżerają się między sobą, nic nas to nie obchodzi. Dopiero kiedy przekradają się na naszą stronę, aby tutaj chwycić ludzi na swoje uczyty, a my dowiadujemy się o tym, to wtedy postępujemy z nimi wedle dość już starego w tych stronach zwyczaju, tzn. wyprawiamy się na ich ziemie, łapiemy zawsze trzy razy więcej ludzi niż oni, wpędzamy ich do jakiejś dziury, której wejście zostaje zamurowane, trzymamy ich tam dopóty, dopóki najpierw się sami z głodu nie pozjadają, a potem aż wszyscy zdechną. Jednego czy dwóch wypuszczamy wolno, by mogli o tym opowiedzieć swoim. Alks zaś miał wartę koło lochu przez czas potrzebny do solidnego stwardnienia zaprawy murarskiej.

- Jak długo to trwało? - gorączkowo zapytał K-sin. Daron wymownie spojrzął na swego dotychczasowego rozmówcę.

- Tydzień panie - odpowiedział tamten.

- A Pirów ilu?

- Równy osiemnastu, panie.

- Czy jakiś szczególniejszy był tam między nimi?

Drużynnik rozłożył bezradnie ręce.

- Tego nie wiem, panie.

- Ja widziałem! - wyrwał się nagle ktoś inny - czarownik jakiś ichni był, czy też ktoś podobny...

Jeden wielki rumor odsuwanych stołków i ław rozległ się w gospodzie.

- Broń w garść, łomy bracie, młoty i co tam trzeba! - zagrzemiał ponad hałasem głos Darona.

Zapanowało ogólne podniecenie i bieganina. Początkowa niechęć do Ksina

ulotniła się gdzieś bez śladu. Gromada ludzi wyległa z karczmy na dziedziniec i ruszyła w kierunku lochów. Po chwili rozgorączkowany tłum wypełnił zamkowe podziemia, zapalono pochodnie.

- Pokazać mi ten loch! - rozkazał Daron strażnikom.

Za moment stali przed kamienną ścianą.

- Rozwalać! - łoskot i szcęk wzbily się ponad gwar głosów. Zagrzechotały kawałki gruzu. Niebawem przebili mur, a wyrwa zaczęła się szybko powiększać. Coraz większe bryły odpadały pod ciosami oskardów.

- Wystarczy! - Daron wyciągnął miecz i zabrał komuś łuczywo. Pierwszy zniknął w wykutym otworze. Za nim poszedł Ksin i inni z pochodniami.

Jasność zalała wilgotną norę. Zapadło milczenie. Tych co spodziewali się zastać cuchnące już, poszarpane zębami i powykręcane przez konwulsje trupy, czekał zawód.

- Na bogów, miałeś rację - wymamrotał oszołomiony Daron. Leżeli nietknięci, równo, jeden obok drugiego. Tworzyli krąg, a ręce ich były złączone. Czarownik zwracał na siebie uwagę szczególną - ułożony był jakoś inaczej niż pozostali; najwyraźniej zamykał sobą ten obwód złowroziej mocy.

Żaden z nich nie zareagował na wejście Darona i reszty, choć jeszcze na pewno żyli - trwali pogrążeni w głębokim letargu i zapewne tylko dlatego nie pomarli. Byli bardzo wychudzeni.

Ksin podszedł do osłupiałego Darona.

- Tutaj nie mogli dojść do siebie po tamtym wstrząsie, ale chyba zdołali odzyskać przynajmniej część swojej poprzedniej siły i to z jej pomocą... - nie dokończył. Opuścił głowę i zgnębiony wycofał się chyłkiem.

Daron oprzytomniał wreszcie. Jego oczy zabłyśły ponurym ogniem.

- Podobijać to draństwo! - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Na dłuższą chwilę loch wypełnił się świstem mieczy, traskiem gruchotanych kości oraz zgrzytem ciętego mięsa i ścięgien. Żołnierze pracowali w zupełnym milczeniu. Nikt nie odezwał się ani nie sapnął, dopóki nie zabito ostatniego z leżących. Wtedy ktoś zameldował o tym Daronowi.

Komes nie odpowiedział, lecz tylko rozejrzał się dookoła. Szukał Ksina, ale kotołaka nie było. Musiał gdzieś odejść.

- Trzeba go odszukać... - pomyślał, a głośno oznajmił:

- Wynieść stąd zaraz te ścierwa i głęboko zakopać! Ruszył do wyjścia.

Ksina nie znalazł szybko. Zeszła mu na to prawie godzina. Dopiero później olśniła go właściwa myśl i zajrzał do gospody. Był tutaj i drzemał oparty czołem o blat stołu. Daron podszedł, trącił go w ramię. Kotołak nie drgnął - był spity do nieprzytomności...

\* \* \*

Łomot pięści walącej w drzwi wywołał łoskot, którego nie mógł zagłuszyć kac. Ksin wygramolił się więc spod łóżka i otworzył. W progu stał Daron ze ściągniętą twarzą.

- Co jest? - wymamrotał Ksin półprzytomnie.

- Drugi trup - padła oschła odpowiedź. Kotołak momentalnie wytrzeźwiał.

- Gdzie?!  
- Na górnym tarasie, pod twoim oknem. Wyrzyj. Ksin poszedł we wskazanym kierunku i wychylił się. Po chwili oczy przywykły do ostrego słońca...

Zmasakrowane ciało leżało w bajorze krwi nie dalej niż sto kroków od ściany, w której znajdowało się jego okno... Wszystko jak wczoraj.

Spojrzał na parapet i lodowate kleszcze chwyciły go za gardło - na kamieniach białały podłużne rysy... Stojący za nim Daron również je zauważył.

Ksin zatoczył się i wolno osunął na podłogę. Usiadł na niej skulony.

- Dlaczego piłeś...?! - nikt nie umiałby teraz określić, jakie uczucia zawierał głos Darona.

Milczał.

- Wino nie ma z tym nic wspólnego... - powiedział nagle ktoś.

Podniósł wzrok. Nad nim stał Bert, a obok Alliro. Musieli razem tu wejść.

Stary wojownik patrzył na Ksina z odrazą...

- ... to wstrząs, którego doznał podczas starcia z animatorami, sprawił, że przebudziła się jego prawdziwa natura - ciągnął dalej tępicieł - koniec z iluzją! Oto naga prawda!

Podszedł do Ksina i przesunął mu dłonią po włosach.

- Patrzcie! Nawet zdążył się wylizać!

- Łapy z dala od niego, Bert - warknął Daron.

Alliro odwrócił się i wyszedł z komnaty, a tępicieł spojrzał na Darona.

- Sprawa jasna, decyduj komesie - rzekł spokojnie.

- Nie ma żadnych świadków...

- Tam leży świadek! - pokazał za okno - chcesz, aby był jeszcze trzeci?

Daron nie zwrócił na niego uwagi.

- Ksin, odezwiąj się! Ten milczał nadal.

- Czy byłeś już kiedyś pijany przed Przemianą? - pytał Daron.

Pokręcił przecząco głową,

- Więc to może dlatego...?

- Łudzisz się, komesie Fergo, to nie wino.

- Nie twoja rzecz, tu ja rozkazuję! Ksin słuchaj! Dam ci szansę. Słyszysz?

Dzisiejszą noc spędzisz w tym pokoju, nikt cię nie zamknie. Masz wolną rękę. Do jutra... I nie pij. Zrozumiałeś?

Skinął twierdząco.

- Chodźmy! - zawołał Daron.

- Komesie, jesteś szalony.

- Milcz!

Za wychodzącymi zamknęły się drzwi. Został sam.

Godziny wlokły się w ślimaczym tempie, a on cały czas siedział wciąż w jednym miejscu, jakby straszliwy ciężar wgniatał go w podłogę. Posiłki przynosiła mu Mara. Nie rozmawiali ze sobą. Z wysiłkiem zmuszał się potem do jedzenia, ale przecież musiał się w końcu czymś zająć.

Przeklęty i wytęskniony zmierzch nadszedł wreszcie po całym dniu męki. Przemiana wywołała ból jak dawniej, gdyż zapomniał o medytacji...

Jakiś czas leżał bez ruchu i nic nie działo się, ale nagle poczuł, że jego świadomość wygasa! Na nic zdała się rozpaczliwa obrona. Spróbował się podnieść i nie mógł. Ciało przestało być posłuszne... Szaleńczy wysiłek woli tak jakoś się rozmył i zniknął. Otępiały umysł opierał się coraz słabiej i słabiej.

Blask zielonych oczu zamierał z każdą chwilą, aż wreszcie ich światło zgasło i powieki opadły...

\* \* \*

- Obudź się! - rozpoznał głos Darona. Otworzył oczy; był ranek. Odwrócił się, spojrzał na kuzyna. Nie musiał już o nic pytać. Wszystko jasne.

- Trzeci... - powiedział tamten - tym razem na podzamczu, bo nie wysłałem wczoraj straży na mury... - dodał cicho.

Ksin patrzył przez chwilę w sufit. Zniknął nagle strach i opadło nerwowe napięcie. Ogarnął go jakiś łagodny spokój. Znowu był sobą. To sponiewierane, stracone coś, co było nim, teraz wróciło, aby dodać mu siły...

Daron wciąż czekał na jego słowa. I usłyszał je.

- Zostaw mnie samego. Możesz przyjść tutaj za dwie godziny. Weź świadków, jeśli tak trzeba... - padły słowa wypowiedziane powoli.

Komes odetchnął z ulgą.

- Dobrze - kiwnął twierdząco głową i wyszedł.

Ksin jeszcze chwilę leżał na swoim łóżku. Wstał, zamknął drzwi i bez pośpiechu ubrał się.

Założył najlepszą odzież.

Jakiś czas starannie układał włosy. Potem podszedł do kąta komnaty i wziął z półki podłużny, zawinięty w białe płótno przedmiot.

Cofnął się i przyklęknął.

Zawiniątko położył przed sobą.

Usiadł na zgiętych nogach, tak jak do medytacji.

Rozluźnił kaftan na piersiach. Rozchylił koszulę.

Odwinął tkaninę - wewnątrz był sztylet. Wydobyl go z pochwy - miedź i srebro zamigotały dwubarwnym blaskiem.

Obie dłonie zacisnął na rękojeści, a szpic ostrza obrócił się w jego stronę.

- Pora... - pomyślał i uśmiechnął się dumnie.

Szybkim, zdecydowanym ruchem wznosił ręce ku górze...

## **Jej Wysokość Królowa Matka**

Przez pierwsze trzy dni nie wydarzyło się nic. Okres ten przeżyto na dworze w nastroju dławiącego strachu, który, szczególnie po zachodzie słońca, przemieniał się w zbiorową histerię. Ludzie zamykali się na noc w kufrach i skrzyniach, barykadowali drzwi komnat, czym tylko można było, a najmniejszy szmer albo szelest doprowadzał ich do obłądu.

Ogólne przerażenie pogłębiała jeszcze świadomość zupełnej bezsensowności tych

zabiegów, gdyż wiadano, że w całym zamku nie było n i g d z i e wystarczająco solidnych wrót czy nawet ścian zdolnych powstrzymać strzygę, która potrafiła zdruzgotać tak ciężką pokrywę grobowca...

Całość przypominała więc wiecheć namoczonej w żywicy słomy, która potrzebowała tylko płomyczka, ale czwartej nocy znalazło się również i to. Jakiś człowiek, przestraszywszy się nagle własnego cienia, stracił ze strachu rozum i z przeraźliwym krzykiem zaczął biegać od drzwi do drzwi, walić w nie pięściami i wrzeszczeć: upiór nadchodzi!

W okamgnieniu szaleństwo ogarnęło jedno ze skrzydeł pałacu. Zaczadzeni powiewem grozy dworzanie skakali z okien, tratowali się na schodach i przejściach, kilku zażyło truciznę, a paręnaście osób, w większości kobiet, na zawsze pograżyło się w chaosie własnych umysłów i obłąkanych marzeń. Jedynie karność gwardii oraz zimna krew oficerów zapobiegły dalszemu szerzeniu się paniki.

Rankiem stwierdzono, iż przeszło pół setki spośród mieszkańców nieszczęsnej części pałacu odniosło szkody na ciele lub umyśle i doliczono się jeszcze dwudziestu trupów. Na żadnym z zabitych nie odkryto ran od kłów lub pazurów...

Tak oto Redren znowu zmuszony został do zaprzestania zabawy we własnego błazna. Musiał stanąć na wysokości swojego monarszego zadania.

Od razu, gdy tylko doniesiono mu o zdarzeniu w podziemiach, wyprawił do Diny posłańca z rozkazem natychmiastowego powrotu Ksina, a sam razem z Rodminem zabrał się za wyjaśnianie przyczyn zniszczenia sarkofagu.

Nie zajęło to im zbyt wiele czasu...

I o dziwo, obyło się bez wybuchu furii, kiedy prawda wyszła na jaw. Król mruknął coś na temat obcięcia i zaszycia winnym tego i owego, co miałyby nastąpić wtedy, gdy cała sprawa się skończy i więcej już do tematu nie wracał. Widocznie nie miał czasu na wściekłość, poważniejszym bowiem problemem okazało się odszukanie miejsca dziennego pobytu strzygi. Nie ulegało wątpliwości, iż za dnia musi ona przebywać w którejś z tajemnych komnat, a nocami wędrować systemem sekretnych przejść i korytarzy, jaki przez wieki rozbudowano w katimskim pałacu. Kłopot polegał na tym, że ich plany zaginęły w całości mniej więcej osiem lat temu.

Rodmin gotów był uwierzyć we wszystko, ale nie w przypadkowe zaginięcie...

Rozpoczęto poszukiwania, lecz ochotnicy zapuszczający się w ten labirynt bez żadnych wskazówek, łatwo błędzili w nim i nie znajdowali niczego, aż wreszcie jedna z grup, która nie zdołała wydostać się stamtąd przed zmierzchem, przepadła. Znalezione ich dopiero po dwóch dniach i wyniesiono na zewnątrz...

Trzeba było pochować ich w jednej dużej skrzyni, gdyż pojedynczych szczątków zupełnie nie udało się przypisać konkretnym osobom.

Przez cały ten czas królowa nie napadła nikogo poza obrębem swojego mrocznego rewiru. Można było odnieść wrażenie, że nie zależy jej na wypłoszeniu mieszkających w pałacu ludzi...

W tej sytuacji Redren uległ dość szybko gorączkowym namowom doradców i, aby nie drażnić upiorycy, zrezygnował z dalszego wysyłania wzmocnionych już oddziałów straży w ową ponurą płataninę wilgotnych korytarzy. Z początku zanosilo się więc, na coś w rodzaju niepisanej umowy. Do pałacu zaczął powracać spokój. Po tygodniu życie zaczęło toczyć się prawie zwyczajnie, a tylko liczniejsze i gęściej



rozstawione warty świadczyły, że tak nie jest.

Szczególnie silna ochrona bez przerwy otaczała samego króla i królową. Nawet w sypialni Ich Wysokości, wokół małżeńskiej łóżnicy, co noc rozstawiana była kompania gwardii. Podobnie działo się również w ustronnych miejscach...

Nadzieja na spokój była jednak złudzeniem. Nagle zniknął niedorozwinięty karzeł, który czasami pomagał prawdziwemu błaznowi rozweselać króla. Poszarpany siennik i zniszczona pościel na jego posłaniu nie budziły wątpliwości co do sprawcy, a brak krwi świadczył, iż został porwany!

Nie sposób było określić, co przeważało w rozmowach, jakie później prowadzili między sobą dworzanie na temat tego zdarzenia; strach czy może zdumienie. Powszechnie gubiono się w domysłach, do czego potrzebny mógł być upiorzycy ten nieszczęsny półgłówek.

Odpowiedź nadeszła rychło, ale nie dość, że niczego nie wyjaśniła, to jeszcze bardziej zawikłała zagadkę...

Otóż, któregoś nocy do komnaty Rodmina wpadł z krzykiem jego uczeń Erto.

- Mistrzu, w pracowni dzieje się coś dziwnego! - wołał, ściągając z niego okrycie.

- Co takiego?! - mag zerwał się.

- Ktoś tam jest, ale drzwi są zamknięte!

- Wezwałeś strażę? - Rodmio zakładał pośpiesznie ubranie.

- Tak, mistrzu, ale wchodzić się boją, no i też kluczy nie mają...

Wybiegli na korytarz i nie tracąc czasu ruszyli pod pracownię. Zastali tam już ze trzydziestu gwardzistów, a ich dowódca od razu zbliżył się do Rodmina.

- Teraz cisza, Wasza Dostojność, ale przed chwilą słychać było tak jakby kroki...

Piekielny rumor przerwał słowa oficera. Rozległ się jeden duży huk i równocześnie z nim cała gromada pomniejszych, lecz o wyższym tonie.

- To szafa ze słojami na ingrediencje - wyjaśnił mag - chyba ją wywrócono.

Następny łomot, połączony z przeraźliwym trzaskiem łamanego drewna, prawie że ich ogłuszył.

- Stół...? - zdziwił się Rodmin.

- Mistrzu, czy ona tam jest? - zapytał speszony Erto.

- Na to wygląda, synu...

- Wchodzimy? - z głosu oficera wynikało wyraźnie, iż chciałby usłyszeć odpowiedź przeczącą.

Coś silnie uderzyło o drzwi, aż podskoczyli z wrażenia.

- Nie - Rodmin spełnił jego marzenie - ale rozstawcie się tutaj, gdyby to ona wyszła...

Sprawnie utworzyli najeżony pikami płot, a mag i Erto skwapliwie ukryli się za nim.

Odgłosy niszczenia i rozbijania ciągle dolatywały zza dębowych drzwi. Ucichły dopiero na godzinę przed świtem. Jednak z wejściem zaczęli do brzasku, aby mieć całkowitą pewność...

O wyposażeniu pracowni nie można było nawet powiedzieć, że zostało zniszczone, ono po prostu poszło na przemiał, a wszystkie szczątki dokładnie wymieszano. Nie oca-

łał ani jeden większy od dłoni kawałek drewna. Skotłowana warstwa odłamków

równo zaścielała całą powierzchnię podłogi, a ponad nią nie wystawało nic. W powietrzu unosił się odór, jakiego jeszcze nigdy dotąd żaden nos nie wachał. Zapachy wisielczego sadła i pelargonii były w nim zaledwie najskromniejszymi ze składników.

Rodmin zamglonym spojrzeniem ogarnął całą tę rozgrzebaną kupę śmieci, która jeszcze wczorajszego wieczora była jego pracownią.

- Dlaczego to zrobiła? - zdumiał się Erto.

- Wcześniej wyniesiono stąd bardzo wiele przedmiotów - odezwał się mag z przekonaniem, lecz dzięki temu nigdy nie dowiemy się, co właściwie zniknęło.

- Ale jak tu weszła?! - zawołał dowódca gwardzistów.

- Widać musi gdzieś być ukryte wejście, o którym nic nie wiedziałem - mruknął mag.

Starannie, piędź po piędzi, obejrzeliby wszystkie ściany, wyjątkowo dokładnie sprawdzając najmniejsze nawet pęknięcia i rysy. Nie odkryli niczego. Płomyk świecy przesuwanej wzdłuż murów nie zdrzał w ani jednym miejscu. Dali spokój.

- Trudno - machnął ręką Rodmin. - Starzy Majstrowie zbyt dobrze znali się na swojej robocie.

- Mistrzu - odezwał się Erto - mówiłeś, że coś zginęło...

- Uhm, bo gdyby rozbiła tu wszystko, to szczątków musiałyby być więcej. Tak sądzę.

- ...ale jak strzyga mogła cokolwiek wziąć? Przecież one nie mają dłoni! Czy szpony mogą nadać się do chwytania przedmiotów?

- Masz rację, nie mogą...

- Czyli, zabrał to karzeł?! -

- Byli tu razem, więc zrobił to na jej rozkaz.

- Strzyga zajmująca się magią?! - przysłuchujący się im oficer osłupiał.

- Na to wygląda... - potwierdził Rodmin - zapewne do pomocy porwała tego nieszczęśnika. Takim łatwo można narzucić swą wolę...

- Co ona knuje?!

To pytanie w ciągu najbliższych dni zadano sobie w pałacu jeszcze tysiące razy, a odpowiedź na nie, ze zrozumiałych względów, najbardziej interesowała Redrena. Dlatego też, z jego rozkazu przyszło Rodminowi spędzić wiele godzin nad ową osobliwą, zalegającą podłogę pracowni bieżącą magicznych składników i skorup, próbując określić czego w tej półpłynnej zupie brakuje.

Zdaniem przypadkowych przechodniów oraz Erta, który bez przerwy dostarczał magowi nasycone octem tampony, by ułatwić mu oddychanie, nie brakowało tam absolutnie niczego...

Mimo to udało mu się w końcu, przynajmniej z grubsza, odgadnąć, co właściwie skradziono, ale ta wiedza uzyskana kosztem straconych włosów, które musiał później zgolić do gołej skóry, bo zbyt mocno przesiąkły wonią z pracowni, nie na wiele się zdała, gdyż posiadanie zrabowanych przedmiotów dawało królowej za dużo możliwości...

Pewne było więc jedynie to, że nic dobrego z tego nie wyniknie, a o tym wiedziano już wcześniej.

Wydarzeń, które nastąpiły, nie zdołał do końca zobaczyć baron Alido di Merena,

jeden z wielu stałych mieszkańców królewskiego pałacu. Jego żona, K-alia, była wśród tych kobiet, której owej pamiętnej nocy pod wpływem przerastającego ich siły strachu i braku realnych możliwości ucieczki, ukryły się we własnych, istniejących tylko wewnątrz umysłów, światach. Dla obcych stały się obojętnymi na wszystko bezwolnymi kukłami. Żadne słowa zupełnie do nich nie docierały - były niczym rośliny w ludzkiej postaci.

Baron Merena pomimo zgodnych, a przy tym dalekich od optymizmu, diagnoz medyków wciąż wierzył w możliwość odwrócenia się złego losu. Żonę odwiedzał więc często, niemal każdego wieczora z ciągle niegasnącą nadzieją, iż kiedyś w końcu Kalia do niego przemówi.

Niestety, ona go nawet nie zauważała i nic nie wskazywało na to, że może cokolwiek się zmienić. Jego płomienne mowy, błagalne zaklęcia i pocałunki pozostawały bez odpowiedzi.

Alido czuł się winnym i miał do siebie żal. Stchórzył. Tamtego wieczora zbyt długo grał w karty i nie odważył się wracać nocą przez mroczne krużganki. Zostawił ją samą...

Chciał teraz naprawić swój błąd.

Gdy któregoś dnia wchodził do komnat żony, poruszył go jakiś dziwny niepokój. Niczego nie spostrzegł, lecz lęk nie był złudzeniem. Z pośpiechem wszedł do drugiego pokoju; pokojówka siedziała skulona na podłodze w kącie, rozpaczliwie tuląc się do pokrytych aksamitną tkaniną ścian. Dygotała na całym ciele, a jej-twarz o wybaluszonych oczach nie wyrażała nic oprócz zwierzęcego strachu. Kiedy zbliżył się do niej, wydała z siebie cichy, zdławiony szloch i jeszcze mocniej przywarła do muru.

Nieokreślony dźwięk dobiegł z sypialni Kalii. Zajrzał tam. Siedziała na łóżku, a nad nią pochylała się postać w długiej, czarnej sukni z szerokim kołnierzem z białej koronki. - Co czynisz?! - krzyknął bez zastanowienia. Upiór odwrócił się szybkim i płynnym ruchem. Fala wrzasku rozlała się wokół serca barona...

Naprzeciw, spod grzywy siwych włosów, czerwone oczy patrzyły na niego z lodowatą pogardą. Żółtawe kły matowo lśniły w rozwartej paszczy, a wystające z rękawów szaty szpony miarowo poruszały się, jak gdyby mieszając powietrze.

Spostrzegł, że mankiety nie były już białe, lecz brunatne od zakrzepłej krwi.

- Wyjdź stąd! - słów nie usłyszał, za to rozkaz ten odczuł wewnątrz siebie tak, jakby po mózgu przesunęła się mu oślizgła i mokra szmata. Zadrżał ze wstrętu, ale kroku w tył nie zrobił. Stał odrętwiały ze zgrozy.

Strzyga przestała się nim interesować. Znowu zajęła się Kalią. Oplotła jej głowę pazurami, przystawiając czubki dwu z nich do czoła kobiety.

Źrenice Merena gwałtownie się rozszerzyły. Krótki zgrzyt dziurawionej czaszki - dwa rogowe haki weszły w nią aż do końca. Purpurowe ślepia upiorzycy spojrzały teraz ze skupieniem i wielką uwagą. Powoli wyciągała szpony z mózgu nieszczęsnej, wykonując nimi delikatne obrotowe ruchy. Chwilami ponownie je tam wpychała, lecz już pod innym kątem. I znowu cofała.

Bezgłośny, histeryczny śmiech wstrząsnął ramionami barona. Szaleństwo ogarniało jego umysł jak płomień słomianą strzechę. Coś zbierało się w nim, rosło, pęczniało, dusiło resztki zdrowego rozsądku i instynktu samozachowawczego...

- Neeeeeeeeeeee!!!! - przeciągły, nieprzytomny krzyk targnął murami pałacu. Skoczył do niej zaślepiony rozpaczą i furią, dobywając szpady.

Błysk szponów był szybszy niż myśl. Chrząst pękających kręgów trwał trochę dłużej. Urwana i zmiażdżona głowa uderzyła o ścianę, a kiedy spadła na podłogę, była już tylko bezkształtnym zlepkiem krwi, mózgu i włosów...

Królowa odwróciła się i podeszła do przeciwległej ściany. Tajemne przejście natychmiast otworzyło się przed nią, a w czarnym prostokącie zamajaczyła pomarszczona twarz Karła.

Kalia wstała i posłusznie ruszyła za swoją panią. Wychodząc, obojętnym spojrzeniem obrzuciła drgające jeszcze ciało męża...

Cała trójka zniknęła w ciemności korytarza, a fragment muru bez szmeru zamknął się za nimi. Chwilę później w przylegającym do komnat krużganku dał się słyszeć szcęk broni i wzburzone okrzyki nadbiegających strażników.

\* \* \*

Tej nocy podobne zdarzenia miały miejsce jeszcze w dwóch zamkowych komnatkach - tam również mieszkaly oblakane kobiety. To samo powtórzyło się, gdy minął następny dzień i działo się tak przez cały tydzień - co noc znikaly jedna lub dwie osoby.

Strzyga porywała zawsze w ten sam sposób i tylko tych, których umysły i myśli bez przerwy krążyły gdzieś poza rzeczywistością. Na postronnych świadków nigdy nie zwracała uwagi. Pozwalała im uciec albo ignorowała ich obecność. Jedyne w przypadku sprzeciwu lub choćby nawet najmniejszej próby oporu mordowała bez litości.

W ten sposób szybko zdołała nauczyć dworzan, że żaden z nich nie zginie tylko dlatego, że się z nią spotkał... Tak więc nawyk posłuszeństwa wobec silniejszego coraz wyraźniej dawał znać o sobie. Służalczność zastępowała bezrozumny strach u jednych i desperacką odwagę u drugich. Królowa mogła już swobodnie wychodzić na spacer po zamku - strażnicy, których mijała, udawali, że niczego nie widzą...

Porwania skończyły się, kiedy zabrakło odpowiednich ofiar. Nikt nie dowiedział się, jaki los spotkał uprowadzonych - przepadli gdzieś w tajnych zakątkach pałacowych lochów i gmatwaninie biegnących wewnątrz ścian korytarzy.

Do pełni księżyca nie wydarzyło się nic więcej. Oczekiwano jej z niepokojem, ale już nie tak wielkim jak dotąd. Spodziewano się, że w owym czasie strzyga będzie wychodzić do miasta. I słusznie. Pierwszej nocy rozszarpała w Katimie szesnaście osób. Był to zaledwie początek. Podczas drugiej zginęło trzydzieści, a trzeciej przeszło pięćdziesiąt.

Nie było ratunku dla mieszkańców nawiedzanych przez nią domów. Zaparte kołkami i żelaznymi sztabami drzwi wyrywała razem z futrynami, rozbijała ściany i nieomylnie odnajdywała nawet najbardziej wymyślne kryjówki. Obdarzone Mocą Znaki i Ochronne Posągi stawały się w jej obecności bezużytecznymi śmieciami, albo rozpadały się w szary proch. Rysowane kredą Symbole znikaly, gdy na nie spojrzala.

Godzinami wędrowała wśród długich cieni, oświetlonymi księżycowym światłem ulicami, śledzona skrycie przez setki przerażonych par oczu, a wokół słychać było tylko przejmujące, trwożliwe wycie psów, które cichło i zamierało, kiedy zbliżała się do nich na kilkanaście kroków. Konie w mijanych przez nią stajniach wpadały w szal i rankiem znajdowano je pokaleczone lub martwe, a niekiedy zagryzały się między sobą. Delikatniejsze i bardziej wrażliwe stworzenia po prostu przestawały żyć, kiedy padał na nie cień strzygi.

Nie wiadomo, co sprawiało, że ten czy ów dom albo kamienica zwracały jej uwagę. Gdy jednak to się już stało, podchodziła i po chwili huk rozbijanych drzwi zagłuszał skowoty kundli. Głośniejsze i dłuższe były krzyki mordowanych mieszkańców. Czasem słychać było płacz dzieci. Złowroga cisza zapadała tam szybko, a wysoka postać w czarnej, powłóczystej szacie znów pojawiała się w strugach srebrzystego blasku i bez pośpiechu ruszała w dalszą drogę w poszukiwaniu następnego naznaczonego przez fatum domu. Sunęła za nią groza niczym tren jej pośmiertnej sukni.

Trzeciej nocy ktoś, komu strach nie odebrał resztek rozsądku, spostrzegł, że początek i koniec nocnej wędrówki strzygi znajdują się w królewskim pałacu. Stąd wychodziła i tu powracała. Wieść o tym lotem ptaka obiegrała Katimę. Rankiem nieprzeliczone tłumy zebrały się przed główną bramą pałacu. Do południa stało tam już całe miasto. Na razie zachowywali się spokojnie, ale wśród oficerów gwardii zapanowało duże zdenerwowanie. Siły garnizonu były zbyt szczupłe, aby powstrzymać masowy szturm tłumów, a tym bardziej nie mogło być mowy o zmuszeniu ich do odejścia. Udali się więc do Redrena, aby nakłonić go do wezwania posiłków z pobliskiej Deremy.

Władca uważnie wysłuchiwał kolejnych raportów i wniosków.

- I czego oni chcą? - zapytał, kiedy skończyli.

- Wiedzą, że królowa ma tutaj schronienie. Wasza Wysokość...

Redren uniósł brwi. Zauważył już wcześniej, że od pewnego czasu w jego obecności przestali mówić o niej „strzyga”, a nazywali ją po prostu „królowa”. To mogło wiele znaczyć...

- ... i żądają...

- Żądają...?? - król przerwał zastępcy Ksina.

- Tak, panie, dokładnie tak wyrzekli to ich przywódcy. Bunt wisi w powietrzu - dodał.

- Czy są tam rajcy miejscy i burmistrz?

- I oni, i również kapłani. Ze wszystkich świątyń w mieście.

- Ach, tak... - zamyślił się - no to czego żądają!? - Redren z gniewnym akcentem wymówił ostatnie słowo. Nie był do niego przyzwyczajony.

- Zabicia królowej - padła wymuszona odpowiedź dowódcy straży. Z wyraźnym trudem przeszła mu ona przez gardło.

- Nie dziwię się - mruknął do siebie król i popatrzył

na swoich poddanych - ci jednak sprawiali wrażenie zdziwionych...

- Ale... - powiedział głośno - chyba bardziej zależy im na ich własnych głowach po zachodzie słońca, czy tak?

- Zapewne, Wasza Wysokość - przytaknęli skwapliwie.

Redren zamilkł na chwilę. Widać było, że walczy ze sobą.

- Dobrze - odezwał się wreszcie - wywiesicie na zamkowej bramie pergamin z królewskim podpisem i pieczęcią, będzie na nim moje przyrzeczenie, że nikt więcej nie straci życia...

Zaskoczeni oficerowie wymienili pomiędzy sobą zdumione spojrzenia.

- ... to po pierwsze - w jego głosie zadźwięczał już mocny, stanowczy ton - po drugie: dwadzieścia chorągwi lekkiej jazdy z obozu pod Deremą ma stanąć tu jeszcze przed zmierzchem, i po trzecie: natychmiast wezwać Rodmina!

Odprowadził ich i pozostał sam. Bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Z rękami założonymi na plecach, starym zwyczajem, zaczął przechadzać się dookoła komnaty. Czuł i wiedział, że lada dzień przestanie tu rządzić. Dowódcy gwardii, chociaż mimowolnie, to jednak wystarczająco jasno dali mu to do zrozumienia. Pojawił się ktoś silniejszy i jemu gotowi byli dać posłuch. Wygląd zewnętrzny widocznie nie miał tu żadnego znaczenia..., tak samo jak przegrany monarcha...

Nie wielu było takich, na których mógł teraz liczyć. Brakowało mu Ksina i niecierpliwie czekał na niego. Był pewien, że kotołak potrafiłby stawić jej czoło...

Jej... - nie potrafił już myśleć „matka” - ani tym bardziej „królowa”. Dla niego stała się tylko odrażającym potworem, a tamten wybuch gniewu, sprzed dwóch tygodni, wspominał jedynie z niesmakiem. Do reszty odechciało mu się zabawy w synowski szacunek... Po zbrodniach, które popełniła w mieście, czuł do niej wyłącznie wstręt, ale nie powstydziliby się i nienawiści... Wszystko, co dotąd zrobiła, miało swój cel - czuł to i widział, jak z całym okrucieństwem wypełniała jakiś ponury zamysł. Nie pojmował go jeszcze do końca, lecz wiedział już, iż ona przed śmiercią musiała obmyślić coś, co nikomu dotąd nie śniło się nawet w najkoszmarniejszych snach..., natomiast on - Redren - miał teraz niczym nie zachwianą wolę, by unicestwić ów zamiar i to za wszelką cenę. Dając ludowi słowo, położył na szalę swój honor, a gotów był rzucić i deremską jazdę, tylko ciągle nie wiedział przeciwko komu... - zbyt pewnych siebie oficerów straży mogła spotkać ogromna niespodzianka...

- Wasza Królewska Mość, przybył dostojny Rodmin - głos lokaja przerwał tok jego myśli.

- Niech wejdzie - powiedział szybko.

- Czy mimo strat, jakie poniosłeś, możesz uzbroić przynajmniej tuzin gwardzistów w piki z grotami z damastu Yev? - zapytał od razu, nie dając magowi czasu na powitanie lub ukłon.

- Kiedy Wasza Wysokość chce ich mieć? - odparł Rodmin zdumiony taką bezceremonialnością.

- Dziś wieczór.

- Tak, panie, mogę - zamyślił się nieco.

- Doskonale, więc obejmiesz nad nimi dowodzenie i zaczekacie na strzygę w pałacowych ogrodach, tam gdzie ją ostatni raz widzieli.

Rozkaz był jasny, ale widać było, że Redren chce coś jeszcze powiedzieć. Stał niezdecydowany, wahał się.

- Rodmin, powiedz mi - nie wytrzymał i cisnął w kąt swoją monarszą wyniosłość - kim ja właściwie rządziłem przez te piętnaście lat, bo myślałem że ludźmi?

Mag podniósł wzrok i popatrzył bystro: z twarzy króla opadła noszona stale maska arystokratycznego znudzenia, a spod niej wyjrzało teraz oblicze zmęczonego człowieka...

Nigdy dotąd nie widział swego władcy w tak żalnym stanie. Milczał, czekając co będzie dalej.

- ... Wiedziałem, mało że wiedziałem, sam przecież wykorzystywałem to, ilekroć było konieczne. Przekupna zgraja! Dla władzy, złota i dziewczek gotowi mnie każdej nocy w jednym worku z królową do fosy spuścić - to nigdy mi nie przeszkadzało, w końcu dwór to nie klasztor dla wykastrowanych mnichów. Znam sposoby tej gry i lubiłem w nią grać, ale zawsze myślałem, że są w niej jakieś granice! Gdybyż mnie kiedyś otruli. Niech będzie - mogłem się nie dać. Znaczący nie byłem dość bystry. Ściągną tu któregoś z koronowanych rzeźników z Karu, bo on im da więcej złota - też dobrze, ostatecznie to człowiek jak inni, no albo prawie. Ale strzygę!

Przekleństwo! Kimże więc oni

są, jeśli to im nie robi różnicy?! Mów!

- Każdy się może stać strzygą albo wampirzem. Wasza Królewska Mość, tak to już jest i słowa nic tu nie zmieniają - padła zwięzła odpowiedź - prawa Onego są twarde, a życie dworu im sprzyja... - dodał spokojnie.

Redren zamilkł jak zdzielony obuchem. Pierwszy raz dotarło do niego to, że aby unicestwić upiory, nie wystarczy je tylko zabijać...

- Idź zrobić, co ci kazałem - odezwał się po długiej chwili milczenia.

Rodmin skłonił się i zniknął za drzwiami. - Dzięki za naukę - wyszeptał do siebie władca, patrząc bez przerwy za nim.

Tego dnia nie chciał już nikogo widzieć ani z kimkolwiek rozmawiać. Wiele godzin spędził ciągle wpatrując się w lustro. Zaduma nie opuściła go aż do wieczora, a kiedy zapadł mrok, kazał podać sobie puchar z usypiającym wywarem z ziół. Miał chęć spokojnie przespać tę noc i rano obudzić się bez zmartwień lub nie obudzić się wcale...

Słudzy zdjęli z niego odzienie i szybko przygotowali łożo. Położył się w nim, a wokół, jak zwykle, stanęły silne strażę. Sen nadszedł łagodny i mocny.

Okropny skrzek wdarł się do świata leniwie płynących marzeń i rozbił go w bury pyłu. Częściowo przebudzony leżał, nie otwierając oczu, a do jego otępiełego umysłu docierały wolno, jakby z oddali i w dużych odstępach, pojedyncze, stłumione wrzaski, skowyty, odgłosy uderzeń, trzaski łamanego drewna. Mimowolnie wsłuchał się w nie, a wtedy one wyraźnie przyspieszyły, następując już prawie bez przerwy i jakby zbliżyły się ku niemu.

- To musi być walka - rozpoznał wreszcie i w tym momencie obudził się całkiem...

Harmider spadł na niego ze wszystkich stron. Zwolniona karuzela zdarzeń odzyskała normalne obroty. Otworzył oczy;

był w samym środku cyklonu - strzyga szalała w sypialni! Połowa z chroniących go gwardzistów poniewierała się po podłodze niczym podarte łachmany, a reszta szaleńczo atakowała upiory, usiłując przygwoździć ją pikami do ściany.

Walczyli bez strachu, bez jakiegokolwiek respektu dla nadnaturalnego potwora. Znać było szkołę Ksina, ale mimo to nie mogli sprostać jej szybkości i sile - ginęli jeden po drugim pod razami skrwawionych szponów. Jednakże ona też nie

pozostawała bezkarna. Smukłe, stalowe groty kilkakrotnie już z chrzęstem wchodziły w jej zeschnięty kadłub. Lecz za każdym razem łamała tkwiące w niej drzewce jak patyki i znowu, najeżona złómkami pik, ruszała w morderczy taniec, rozdając śmierć na prawo i lewo.

Ktoś cisnął w nią pochodnią. Trafił, ale płomień nie objął obryzanej krwią sukni.

W drzwiach sypialni stłoczyła się nagle, ściągnięta tu z ogrodów, drużyna Rodmina. Błyskawicznie uformowali dwusereg i depcząc po trupach, ruszyli, zaganiając strzygę w kąt komnaty. Ostrza Yev jakby popchnęły ją tam samym swoim blaskiem. Żyjący jeszcze gwardziści z nowym zapalem przyłączyli się do przybyłych.

Los upiorzycy zdawał się być przesądzony. Osaczona pod ścianą, przez moment jakby czekała na unicestwienie i gdy już prawie ją mieli, zerwała się w desperackim ataku. Zanurkowała pod rzędami grotów i wpadła prosto na ludzi. Krzyk, jęki, tumult. Zwarty szyk zamienił się w bezładne kłębowisko. Koliste ciosy szponów rozdarły je na dwie części i rozrzuciły na boki.

Teraz ruszyła w stronę siedzącego na łożu króla. Czterech gwardzistów natychmiast skoczyło na niego, przywalając Redrena własnymi ciałami. Ich broje omal nie połamały mu żeber.

Żołnierz z grupy Rodmina, jeden z nielicznych, którzy zdołali utrzymać się jeszcze na nogach, doskoczył i pchnął piką odwróconą tyłem do niego strzygę. Magiczny damast do końca wszedł w plecy królowej...

Nie wydała z siebie żadnego dźwięku, tak jak cały czas do tej pory, a tylko konwulsyjnie szarpnęła się w przód...

Jęk zdumienia i grozy przebiegł przez komnatę, bo oto pod wpływem tego ruchu ostrze samo z niej wyszło! Zawiodła najdoskonalsza z broni przeciw upiorom! Grot nie rozwinął się w jej ciele w kolczasty krzak, a jedynie spęczniał i pomarszczył się jak farba na mokrym drewnie.

Byli więc bezbronni. Nie zatrzymywana już przez nikogo podeszła do łoża i zrzuciła leżących na nim gwardzistów. Wywlekła z pościeli Redrena.

- Każ im przestać! - pojawiło się w umyśle władcy.

Miał wrażenie, że w jego mózgu gmerają jakieś lepkie paluchy.

- Odłóż broń! - był bliski wymiotów. Żołnierze posłusznie, choć z ociąganiem, złożyli na podłodze piki i wycofali się pod ściany.

- Niech wyjdą, a mag niech zostanie.

Redren zadygotał z odrazy i upadłby, gdyby nie zaplecione na nim pazury.

- Wyjdźcie, Rodmin ty zostań - rozkazał, przezwyciężając omdlenie.

Puściła go, kiedy mag zamknął drzwi za ostatnim gwardzistą. Wychodzący wynieśli rannych. Zostali sami z trupami i strzygą. Król, zataczając się, doszedł do łoża i siadł na nim ciężko.

Nieznacznym ruchem szponów skinęła na Rodmina. Zbliżył się do niej ocierając krew z czoła.

Królowa wyprostowała się i skrzyżowała ramiona na piersiach. Grymas wstrętu przemknął po twarzy maga.

- Mam przekazać jej wolę - zwrócił się do Redrena.

- Spozregła, że łatwiej, niż ty panie, znoszę zetknięcie umysłów... - przerwał na



moment, a władca spojrział przytomniej.

- Ludzi w mieście zabiła dla przykładu. Jeśli nie będziesz posłuszny, panie i nie wykonasz poleceń, ona rozszarpie tak wielu twoich poddanych, że doprowadzony do rozpaczycy lud strąci cię z tronu. Mieszkańcy Katimy są od tej chwili zakładnikami. - Rodmin mówił powoli i ze spokojem. - Ona ma dość energii i nie musi już więcej mordować, ale czy będzie, to tylko zależy od ciebie, panie. Teraz pyta, czy zgadzasz się na jej warunki?

Redren od dłuższej chwili patrzył na nią z bezsilną wściekłością.

- Twoją odpowiedzią ma być jedynie „tak” albo „nie” - dodał mag.

Upokorzony władca zerwał się, jakby chciał skoczyć do niej z gołymi pięściami.

- Ona nie obawia się tłumu przeszukującego pałac. Sądzi, że za dnia nikt nie może jej znaleźć. Chce szybkiej odpowiedzi.

Redren spod przymrużonych powiek wpatrywał się w stojącą pod ścianą okrwawioną mumię. Ona też przyglądała się jemu, ale w przeciwieństwie do niego, patrzyła z wyniosłym i pełnym chłodu dostojeństwem. Król nie mógł znieść tego wzroku...

- Dobrze.... zgadzam się... - wyrzucił z siebie z trudem.

- Na razie, będziesz panie rządzić tu w jej imieniu. Jutro wydasz zakaz praktykowania magii, a inne polecenia otrzymasz później.

Strzyga zaczęła iść w stronę drzwi.

- Stój, zaczekaj - wykrzyknął Redren - co masz zamiar uczynić? Co uczyniłaś z porwanymi?

Zatrzymała się i odwróciła. Rodmin znów zaczął mówić:

- Od tej pory mamy, panie, zwracać się do niej słowami: Wielka Matko...

Król skrzywił się, jakby napluto mu w twarz.

- ... porwani są wybranymi, którzy za siedem lat dostąpią zaszczytu służenia jej jako jedni z pierwszych. Teraz zaś spoczywają bezpiecznie, czekając aż ich nędzne zwłoki przemienia się w ciała nadistot...

Redren słuchał tego z osłupieniem i szeroko otwartymi oczami.

- Państwo wampirów i strzyg...?! - wyszeptał zdławionym głosem.

- Tak, panie, tłumaczę wszystko co do słowa - odezwał się Rodmin.

- Wielka Matka uważa, iż nie może być tak, że nad-istoty kryją się w norach i lasach, a nędzni ludzie, te niedokończone upiory, tępią je i prześladują. Czas skończyć z takimi prawami. Wielka Matka chce stworzyć nowe; wedle nich nagrodą za zasługi za życia będzie prawo żywota po śmierci...

- Wystarczy, dość! - Redren ukrył twarz w dłoniach. Strzyga powoli majestatycznie ruszyła do wyjścia. Ktoś musiał podsłuchiwać pod drzwiami, gdyż usłużnie otwarto je przed nią. Wyszła na korytarz, a wtedy stłoczeni na nim żołnierze rozstąpili się pośpiesznie formując podwójny szpaler. Kiedy znalazła się między nimi, padł krótki, stanowczy rozkaz:

- Przed siebie broń!

Szybki metaliczny szczepek rozległ się w chwili, gdy gwardia oddawała honory...

## **Tępiciele**

- Ksin, nie! - rozpaczliwy krzyk i gwałtowne bębnienie pięści. Kołotak zdrętwiał w pół ruchu - to był głos Hanti!

- Ksin, otwórz, proszę!

Oszołomiony wodził bezmyślnie wzrokiem od klingi uniesionego sztyletu, do drzwi i z powrotem.

- Och! Ksin, Ksin... - zabrzmiało żałośniej i ciszej.

Ta zmiana tonu wyrwała go z otepienia, odłożył broń. Wstał i z wahaniem otworzył.

- Żyjesz - szepnęła z ulgą, rzucając mu się na szyję. Omal nie przewróciła go - stał na zbyt miękkich nogach.

- Słuchaj, to nie ty, nie ty, byłam tu w nocy, przy tobie, spałeś, przyjechałam za tobą, tylko Mara wiedziała, nie wierzyłam, musiałam sprawdzić, bałam się, Daron nic nie wie, nie ufałam mu, nie mogłam do Samni - mówiła bezładnie, starając się powiedzieć wszystko na raz. - Pragnęłam czuwać nad... - pocałunkiem zamknął jej usta.

Mocno przyciskając do swoich warg, pił ją, jakby chciał wypić z niej duszę.

- Och... - po chwili zwiotczała mu w ramionach. Puścił, by mogła odetchnąć.

Wpatrzona w niego zamglone oczy odzyskały poprzedni blask.

Zamknął drzwi i poprowadziwszy żonę w głąb komnaty, posadził na stole.

- Mów teraz powoli i po kolei - powiedział, próbując nadać głosowi spokojne brzmienie.

- Nikt, nic mi nie umiał wyjaśnić, Rodmin ciągle mnie zbywał, a ja tak bardzo się bałam o ciebie. Więc poprosiłam o pozwolenie na wyjazd i pojechałam za tobą. Jestem tu od wczorajszego ranka. W mieście wszyscy gadali o tobie te straszne rzeczy, a ja nie wierzyłam im ani trochę, naprawdę, wierzysz mi?

- Oczywiście, Hanti, mów dalej.

- Zatrzymałam się w zajeździe pod zamkiem, stamtąd wysłałam posłańca do Mary, tylko jej ufałam. Ona przyszła do mnie i opowiedziała o wszystkim, co się tu działo. I o tych zabitych i o szansie, którą ci dał Daron. Wtedy postanowiłam, że będę z tobą tej nocy...

- A gdybym zrobił ci coś złego... - nie odważył się wymówić słowa „zabił”.

- To było nieważne - szybko potrząsnęła głową - i tak nie chciałabym żyć..., ale przecież ja nie wierzyłam. I byłam tu, a ty cały czas spałeś, bardzo mocno i nic cię nie mogło obudzić.

- Jak weszłaś? - popatrzył na drzwi.

- Odciągnęłam zasuwę zagiętym drutem, tak samo zrobiłam wychodząc...

- Ach, tak... - zamyślił się głęboko - więc spałem...?

- Tak, tylko dziwnie jakoś, jak nigdy dotąd, ty przecież masz bardzo czujny sen po Przemianie.

- Kto wiedział, że tu byłaś - zapytał, chodząc od ściany do ściany.

- Mara i nikt więcej.

Prawie już na nią nie patrzył.

- Kiedy wróciłeś do ludzkiej postaci, ja poszłam przespać się do komnaty, w której ukryła mnie Mara. Cieszyłam się, że wszystko jest dobrze. A potem ona zbudziła

mnie, mówiąc, że zginął trzeci i że Daron myśli, że to ty...

Przybiegłam najszybciej, jak mogłam. Resztę znasz - uśmiechnęła się lekko.

Ksin podniósł z podłogi sztylet. Zawinał go i odłożył. Usiadł na stołku, spoglądając na Hanti nieprzeniknionym wzrokiem. Zapadło milczenie.

Z korytarza dobiegły kroki kilku idących z pośpiechem osób. Ktoś bez pukania pchnął drzwi. W progu stanęli: Daron, Alliro i Mara.

- Całe szczęście... - wysapał komes, patrząc na Ksina i Hanti.

- Panie, wybacz staremu durniowi! - Alliro przypadł do kolan swego dowódcy - myślałem... Ksin pochylił się i podniósł go szybko.

- Nie mam ci czego wybaczać, ja myślałem to samo co i ty...

- Panie mój... - w oczach walecznego żołnierza pojawiły się łzy - prędzej sobie prawą rękę utnę, niż znów zwątpię w twoją prawość! - zawołał w uniesieniu.

- Już dobrze - łagodnie odsunął go od siebie - czy ktoś jeszcze, oprócz was, zna prawdę? Mara pokręciła przecząco głową.

- Nikt, ja powiedziałam tylko im dwóm.

- Mądrze zrobiłaś - pochwalił ją Ksin.

- I co teraz? - rzeczowo zapytał Daron.

- Może najpierw usiądźmy - kotołak szerokim gestem pokazał im miejsca.

Znać było, że wrócił mu dawny spokój i pewność siebie. Z trudem hamował ulgę i radość. Hanti zrobiła coś, co znaczyło więcej niż uratowanie życia. Ona zwróciła mu wiarę w siebie. Zatarła to potworne piętno, od którego łatwiejsze do zniesienia byłyby najcięższe tortury. Znowu miał prawo do marzeń i sądów...

Zdobyta z takim wysiłkiem zdolność zachowywania dziennych myśli i uczuć w czasie pełni, była warunkiem i jedynym źródłem, z którego mógł czerpać wewnętrzną siłę i świadomość, że jego istnienie ma jakiś sens. On - Ksin - półczłowiek, półzwierzę, półdemon. Był wszystkim po trochu. Musiał mieć więc swój własny kodeks praw. I miał go, ale nie było w nim miejsca na słabość, nie umiał jej sobie wybaczać, a na czyn, który, jak sądził, popełnił, nie miał usprawiedliwienia. Tępiciele zabijają szkodzącego ludziom upiora i to właśnie zamierzał zrobić Ksin w chwili, gdy nadeszła Hanti...

Zniecierpliwiony Daron przerwał nagle tę pełną zadumy ciszę.

- Skoro to nie ty - zaczął - musimy znaleźć tego drugiego...

- Nie ma innego kotołaka! Gdyby było jak mówisz, nie włożyłby nocą do tego pokoju tylko po to, aby porobić rysy na parapecie i drzwiach.

- Więc pewnie jakiś pomocnik...

- Znowu spisek?! - wtrąciła się Mara.

- Na pewno - potwierdził Ksin - i ktoś z waszej służby musiał w tym brać udział..., bo zobaczcie: ścinało mnie z nóg za każdym razem zaraz po Przemianie... Jest tylko jedna rzecz, która daje taki skutek, to kocie ziele. Musieli zaprawiać mi nim jedzenie albo napoje!

- Pewnie robili tak, abyś nie mógł go wyczuć - Daron dalej obstawał przy swoim.

- Bzdura! - zezłościł się kotołak - po to, żebym uwierzył w swoje nie istniejące zbrodnie! Miałem zginąć z własnej ręki, taki chyba był plan, a rysy to przecież wspaniałe dowód; sam w niego uwierzyłeś.

- Tak samo jak i ty... - komes ukrył zmieszanie - ...a wszystko tu jednak wychodzi

na moje: - dodał szybko - dopilnowali byś spał, pokieroszowali co trzeba, sprowadzili drugiego, a zresztą przypomnij sobie, co mówiłeś po obejrzeniu pierwszego trupa...

- Ale kto to zrobił?! O kim wy mówicie?! - wybuchnęła Hanti.

- Oczywiście, nikt inny, jak tylko nasi umiłowani tępiciele - odparł Ksin kpiąco - pamiętasz jacy wspaniali byli z nich jasnowidze... - spojrzał na Darona - tylko trzeba nam więcej dowodów...

- Ostatecznie mógłbym też być i ja... - odezwał się tamten.

- Nie obraż się mój drogi, ale to trochę zbyt zawiła, jak na ciebie, intryga... - Mara z miejsca zamknęła mu usta.

Brązowe oczy męża łypnęły na nią złowrogo.

- ... kłopot w tym, jak je zdobyć - ciągnął dalej kotołak - trzeba by ich... - zamyślił się nagle.

- Słuchaj... - za moment rzekł do Darona - chciałbym zobaczyć ciała dwóch ostatnich zabitych.

- Możesz obejrzeć tylko tego z dzisiejszej nocy - padła odpowiedź - tamci już pochowani, ale bądź pewien, że wyglądali tak, jak i ten pierwszy... - z odrazą skrzywił się na samo wspomnienie.

- Być może... - Ksin wstał i sięgnął po wiszący na kołku płaszcz. Założył go i naciągnął kaptur tak, aby całkiem zasłonił mu twarz.

- Alliro... - odezwał się do milczącego dotąd setnika.

- Na rozkaz, panie! - stanął wyprostowany.

- Powiesz o wszystkim naszym ludziom. Przygotujcie się i czekajcie na znak. Idź.

- Tak, panie - złożył ukłon i zniknął za drzwiami.

- Chodźmy - Ksin zwrócił się do pozostałych.

- Ale kobiety lepiej niech pójdą do siebie - Daron ruchem głowy pokazał kierunek.

- Zgoda - Mara skinęła twierdząco i wyprowadziła Hanti.

Komes i kotołak zeszli do zamkowych podziemi i niebawem stanęli przed wejściem do niewielkiej salki, w której zazwyczaj przygotowywano zmarłych do pogrzebu. Daron odprawił pilnującego lochu wartownika, każąc mu przy tym natychmiast wezwać zarządcę Zerena.

Umyte już ciało zamordowanego żołnierza leżało na zbitym z surowych desek stole. Gotowa trumna czekała pod ścianą, a na jej pokrywie położono przyszykowany do zawinięcia zwłok całun. Trup był nagi, jedyne płótno, jakie go okrywało, narzucono powyżej ramion, a zarys, który zaznaczał się pod nim, w niczym nie przypominał twarzy, ani nawet zwyczajnej obłóści głowy...

Ksin podszedł bliżej; tors ramiona i uda pokrywały dziesiątki głębokich ran o różnej szerokości i rozmaitym kształcie. Te na brzuchu zaszyto, aby nie wypłynęły jelita. Inne, szeroko otwarte, pozwalały zobaczyć poszarpane mięśnie i obnażone gdzieśgdzie kości.

Kotołak patrzył zadumany, pocierając lekko brodę grzbietem dłoni.

- Widziałeś już kiedyś takich? - zapytał Daron.

- Tak i to parę razy - odpowiedział.

- I dalej chcesz mówić, że to nie...

- Niby wszystko się zgadza - Ksin wpadł mu w słowo - tylko... trochę za bardzo się zgadza, rozumiesz? - dodał z naciskiem.

- Nie...

Machnął ręką i zdecydowanym ruchem podwinął rękawy. Zaczął badać rany, starannie, jedną po drugiej. Bez odrazy wpychał w nie palce, obmacywał brzegi i wnętrza. Po chwili Daron nie mógł już na to patrzeć.

- I czego ty tam szukasz?! - parsknął zirytowany, stając do niego plecami.

- Jeszcze nie wiem... - mruknął Ksin, nie przerywając oględzin - ale...

W progu stanął wezwany zarządca.

- O, dobrze, że jesteś! - zawołał Daron, nie zwracając uwagi na osłupienie swego pomocnika.

- Ależ... - wystękał tamten, wymownie patrząc na pochylonego nad zwłokami Ksina. Kotołak nawet na niego nie spojrzał.

- Bądź cicho i słuchaj uważnie - komes powstrzymał go i krótko opowiedział o wszystkim. Oczy przybyłego rozszerzyły się ze zdumienia.

- Szybko! Dajcie mi jakieś szczypce! - okrzyk Ksina przerwał wyjaśnienia Daron. Tamci dwaj z pośpiechem zbliżyli się ku niemu.

- Co...?

- Tutaj coś jest... - obie dłonie trzymał w rozległej ranie w okolicy lewego barku - tkwi w kości, palcami nie wyjmę.

- Jak to wygląda? - zainteresował się Zeren.

- Jakby grot strzały... - mruknął kotołak - no gdzie te szczypce?!

- Rusz się! - syknął zniecierpliwiony Daron.

Zarządca wybiegł z komnaty, a Ksin dalej grzebał w wyszarpanej ranie.

- To chyba jednak nie strzała... - odezwał się chwilę później - zagięte jest...

Komes z napiętą uwagą patrzył na jego ręce. Mimo najszczerzych chęci nie mógł w czerwonosinej masie dostrzec nic szczególnego.

Czas oczekiwania upływał z irytującą powolnością.

Nareszcie otworzyły się drzwi i do salki wpadł Zeren wymachując katowskimi cęgami.

- Nie mogłeś od cieśli pożyczyć?! - ofuknął go Daron.

- Bliżej do izby tortur miałem... - usprawiedliwił się zarządca.

- Dawaj! - Ksin wyrwał mu z ręki narzędzie. Za moment, bez skutku, spróbował wcisnąć je do rany.

- Masz sztylet? - zwrócił się do Daron.

- Mam - tamten sięgnął do pasa.

- Przetnij tu - pokazał -- o tak, a teraz podważ to żebro..., dzięki... - zręcznie manewrował szczypcami.

- O, jest! - pociągnął mocno i w zaciśniętych kleszczach pojawił się podłużny, szpiczasty przedmiot.

- Ząb kotołaka! - wykrzyknął Daron. Ksin zbliżył zdobycz do oczu...

- A od kiedy to kotołaki mają żelazne zęby...? - zapytał drwiąco.

Daron chwycił kiel w palce i obejrzał dokładnie.

- Rzeczywiście... - wysapał. Długą chwilę, w milczeniu, podawali go sobie z ręki do ręki.

Szczęk broni, szelest szat i kroki wielu ludzi rozległy się na schodach wiodących do przydzielonych tępicielom komnat. Na czele szedł Ksin w otoczeniu swoich gwardzistów, za nimi Daron z Zerenem i kilkunastoma drużynnikami. Pochód zamykało dwóch czarno odzianych urzędników oraz skryba sądowy z rulonem papierów pod pachą, pękiem piór i kałamarzem w garści.

- Otwierać, ścierwa! - deski w drzwiach zadygotały od potężnych kopniaków Ksina.

Stuknęła zasuwka i w powstałej za moment szczelinie pojawiła się twarz jednego z tępicieli.

- Czego... - głos uwiązł mu w gardle, kiedy rozpoznał Ksina.

- Wpuszczaj, mam sprawę do Berta... Tamten wykrzywił się z pogardą.

- Brat Bert nie zwykł mówić z czymś takim... - spojrzał znacząco - ruszaj precz piekielny bękarcie! - spróbował zatrzasać drzwi.

- Milan... - rzucił Ksin krótko.

Zwalisty gwardzista jak niedźwiedź wyforsował do przodu i szybkim pchnięciem obydwu ramion utorował drogę dowódcy. Tępiciel niczym z katapulty wyleciał na środek komnaty i nim zdołał odzyskać równowagę, Milan zdzielił go mocno w twarz. Zatoczył się, lecz żołnierz nie pozwolił mu upaść.

Błyskawicznie chwycił go za ubranie, przyciągnął do siebie i trzymając za kołnierz zadał dwa szybkie ciosy otwartą dłonią na odlew. Z powrotem postawił przed Ksinem.

- Gdzie Bert? - padło pytanie. Nie mógł mówić, krew z rozbitego nosa i warg obficie spływała po brodzie. Drżącą ręką pokazał sąsiednie drzwi.

Kotołak skinął wymownie i Milan, rzuciwszy tępiciele jak worek pod ścianę, skoczył na nie z rozbiegu. Trzask wyłamywanych zawiasów złął się z pośpiesznym tupotem wbiegających za plecami Ksina żołnierzy.

- Przeszukać wszystko! Sprawdzić każdy kąt! - padły rozkazy Darona.

Komes zatrzymał się obok kuzyna.

- Wchodzimy? - pokazał na pokój Berta.

Kotołak przytaknął w milczeniu.

Przełożony tępicieli zbierał się właśnie z podłogi, masując swą obolałą szczękę. Milan stał nad nim w lekkim rozkroku, szykując się do poprawienia ciosu.

- Wystarczy, odejdz - powstrzymał go Ksin. Gwardzista usunął się na bok, a Bert wstał, czepiając się ściany i oparł o nią ciężko.

- Czego chcecie? - wychrypiał z nienawiścią.

- W zamku poluje nocami jakiś nowy rodzaj upiora - rzekł Daron powoli - rany zadaje jak kotołak, ale kły ma stalowe. Pomyśleliśmy, ot tak sobie, że zapewne wy coś o tym wiecie...

- Niby dlaczego?! - w głosie Berta zadźwięczały niespokojne tony.

- O tym zaraz powinniśmy się dowiedzieć. Bądź cierpliwy - słowa komesa przepełniała jakaś wibrująca, lodowata słodycz, od której aż marszczyła się skóra na karku. K-sin milcząc, bez przerwy wpatrywał się w Berta., Do komnaty wkroczyli z godnością obaj sędziowie i pisarz. Ten ostatni beztrząsco strącił ze stołu leżące tam' przedmioty i zaczął rozkładać na nim własne przybory.

- Panie, oto znaleźliśmy! - zawołał nagle wbiegający drużynnik. Niósł coś, co natychmiast przekazał Daronowi.

- No, proszę... - mruknął komes pokazując wszystkim otrzymaną rzecz. Była to wykonana z żelaza imitacja szponów, osadzona na niezbyt długim, drewnianym trzonku, obciążonym dodatkowo okuciem z łożowiu.

- Cóż..., nie wygląda mi to na grzebień... - zwrócił się do Berta - ...na drapaczkę do pleców też nie...: można by się tym wtedy paskudnie pokaleczyć, prawda... O! Tu nawet, jak widzę, jest krew... - położył pazurnicę obok papierów skryby, który od dłuższej chwili skrzypiał już piórem na pierwszej z kart.

Niebawem drugi żołnierz przyniósł podobną broń. Różniła się tylko tym od poprzedniej, że szereg czterech stalowych haków wygięty był w przeciwną stronę, czyli w lewo.

Twarz tępiciele przybrała barwę popiołu.

- Przestańcie szukać, nie trzeba już! - usłyszeli stanowczy głos Zerena, a za moment on sam przyszedł do nich, trzymając w dłoniach jakąś dziwną maszynę...

Bert przełknął gwałtownie ślinę.

- No i mamy już wszystko - oznajmił zarządca - to paszcza naszego u p i o r a - z ukosa spojrział na stojącego pod ścianą.

Powoli i dokładnie zademonstrował działanie przyrządu: gdy ruszał dwiema dźwigniami, para stalowych szczęk - wierna kopia paszczy kotołaka - otwierała się i zamykała z metalicznym kłapaniem...

- Dobrze naoliwione - stwierdził - nie skrzypi nic a nic! Brakuje tylko j e d n e g o z ę b a... - dodał.

Ksin rozwarł zaciśniętą pięść.

- Czy tego? - wyciągnął dłoń.

Zeren przymierzył.

- Pasuje jak ulał...

Cichy, przeciągły szczęk rozległ się w następnej chwili - kotołak wy dobył miecz i podszedł niespiesznie do Berta. Czubek głowni dotknął nasady krtani tępiciele.

- I to ciebie posłano, byś bronił ludzi przed płodami Onego...

- Nie ośmielisz się... - tamten patrzył tylko na lśniącą smugę stali, której chłód czuł na gardle.

- Czemu...? - zapytał kotołak - ja zawsze zabijałem potwory...

- Człowieczeństwo, twoja największa duma, ono ci nie pozwoli..., ...!

Ramię Ksina wykonało płynny ruch w przód.

- Mylisz się Bert, ja przecież n i e j e s t e m człowiekiem...

Wybałuszone do granic możliwości oczy tamtego, nim zgasły, zabłysły jeszcze w wyrazie strasznego zrozumienia.

Cienki strumyczek krwi wyciekł z kącika zamartwych w śmiertelnym grymasie ust. Drugi, szerszy, popłynął wzdłuż klingi rowkiem zboczą.

Kotołak cofnął się i opuścił wzniesiony miecz, a ciało Berta z łomotem runęło na kamienną posadzkę.

- Odebrałeś chleb katu - stwierdził sucho Daron.

- Nie - zaprzeczył Ksin - to nie kata rzecz, ale tępiciele - powiedział z naciskiem. Zabrał pisarzowi jedną z czystych kartek i wytarł w nią zakrwawione ostrze.

- Zostało jeszcze piętnastu - przypomniał Zerei.

- Dowiedzcie się, jak wielki jest udział każdego z nich - Daron zwrócił się do sędziów - i kaźcie drzeć pasy z tyłków, gdyby nie chcieli mówić!

- Powiedzcie teraz, włodarzu, jakie wyroki być mają? - zapytał jeden z nich.

Komes zamyślił się nieco.

- Tych co własnymi rękami do mordowania naszych się przyczynili - na pal. Tych co jakoś inaczej pomagali - powiesić, a tym, co tylko wiedzieli, ale nie donieśli, gdyby tacy byli, po dwie setki batów dać i zaraz mi z miasta wygonić - skończył i spojrzał na Ksina.

- Chodźmy, nic tu po nas.

Wychodząc, przeszli przez pierwszą komnatę, w której związani i zbici w gromadę pojmani tępiciele czekali pod strażą na swoją kolej. Kotołak ominął ich bez słowa, Daron również nic nie powiedział, a jedynie przystanął na moment, przyjrzał się im i splunął.

Obaj kuzyni rozstali się tuż za progiem. Ksin wrócił do siebie.

- Czy to już koniec? - spytała Hanti, wstając na jego widok.

- Dla nas tak, ale dla niektórych ten dzień dopiero się zaczął... - powiedział, obejmując ją w talii. Wsparł czoło o jej głowę.

- Jestem znużony... - dodał.

- Zemsta to męcząca rzecz, prawda? - cofnęła się, aby spojrzeć mu w oczy - wiem, zabiłeś go...

- Nie z zemsty - zaprzeczył - wczoraj postanowiłem, że zniszczę tego potwora.

Tylko że wtedy myślałem o sobie...

- Rozumiem. Więc nie miałeś powodów, by oszczędzić...

- Tak.

Rozczesał palcami jej włosy.

- Zostawmy to już, chcę zapomnieć. Skończone. Milczał przez chwilę.

- Wiesz, brakowało mi ciebie przez te tygodnie...

- I mnie..., ale zaraz... - odsunęła się zwinnie - mówiłeś coś o znużeniu?

- Lecz nie o aż takim... - dopadł ją jednym susem - nie uciekniesz mi!

- I wcale nie zamierzam - zarzuciła mu ręce na szyję. Jedną dłonią mimowolnie pogładził jej biodro.

- Co to...? - zaskoczony raz jeszcze dotknął materiału sukni - nie masz nic pod spodem?

- A czy powinnam mieć? Właśnie teraz... - przywarła do niego całym ciałem.

- Ach, ty... - pchnął ją na skrzynię z bielizną.

- Co, ja... - zalotnie zatrzepotała rzesami. Powoli podwijiała luźną tkaninę; stopy, ...łydki, ...kolana, ...uda, dalej... Przez moment patrzył jak urzeczony i nagle skoczył do niej z tygrysim błyskiem w oczach.

Od razu usiadła na kufrze i szybko uniosła nogi opierając je piętami o krawędź. Już była otwarta. Czekwała...

- Wchodź... - wy dyszała mu w twarz - prędzej... Sięgnął tam jedną ręką, drugą szarpiąc się z zapięciami szaty. Zadrzała, sycząc jak oparzona. Pożądanie zaćmiło mu umysł niczym dzban najmocniejszego wina. Pieścił ją rozpaczliwie, zmagając się teraz z upartą sprzączką od pasa. Puściła wreszcie - był wolny! Hnati wyprężyła się,



aby go przyjąć... i wtedy...

Grzmot pięści walących w drzwi ściał lodem wzburzoną krew w żyłach.

- Dostojny panie, bywajcie! - wydarł się jakiś pacholek.

- Czego tam! - wrzasnął Ksin, bliski popełnienia drugiego już dzisiaj zabójstwa.

- Pirowie przez rzekę przeszli, sioła palą, rzną ludzi. Komes wszystkim do bijaczki zdatnym na koń kazał siadać.

- Przekaż, że zaraz przyjdę! - odkrzyknął mu kotołak, poprawiając ubranie.

- Ksin... - zabrzmiało żałośnie - a ja...

- Pomóż zbroję założyć!

- Co! - zerwała się na równe nogi - to ja ci już za nic jestem!

- Kobieto... - zirytował się, wyciągając pancierz - nie pora!

- Nie to nie! - krzyknęła rozżalona, wybiegając z komnaty.

Huknęło aż zadygotały ściany.

- A bodaj cię... - nie dokończył obelgi zmuszony przytrzymać jakiś rzemień zębami.

W całym zamku zapanowała gorączkowa krzątanina. Szykowano broń, zakładano kolczugi i siodłano wierzchowce. Natomiast w karczmie zaszpuntowano beczki, a oberżysta z pomocnikami przystąpili do błyskawicznego cucenia żołnierzy niezdolnych, by wyjść o własnych siłach. W ruch poszły maczane w oliwie piórka i cebrzyki z wodą...

## **Dzieci Onego**

Słońce już kilka godzin temu zeszło ze swego najwyższego miejsca na niebie, a teraz niespiesznie i z całym majestatem sunęło ku linii szarego horyzontu. Jasność dnia nie osłabła jeszcze, ale cienie wydłużyły się znacznie, daleko wyprzedzając rzucających je jeźdźców, którzy, jak ciemno-stalowa, zmieniająca kształt chmura, gnali równiną zielonego stepu. Trzech innych zbliżało się do nich z przeciwnej strony. Spotkanie nastąpiło szybko, a nowo przybyli skupili się wokół prowadzącego wojsko Daron.

- Są o dwie mile stąd! - zawołał jeden ze zwiadowców.

- Będzie ich może cztery setki - dodał drugi.

- W sam raz jak dla nas... - mruknął Daron - dołączyć do reszty!

- Pół biedy - zwrócił się do jadącego obok Ksina - z Pirami nigdy nic nie wiadomo.

Czasem przyłazi ich trzech, a innym razem trzydzieści tysięcy. Diabli wiedzą, kiedy im co do łbów strzeli!

- Jaką wybierasz taktykę? - zapytał kotołak.

- Iii tam - machnął ręką - taktyka! Mądre słowo ze szkoły rycerskiej. Tutaj, Ksin, jest prowincja, żaden z nich - wskazał szerokim gestem - o czymś takim nie słyszał. Tu nie ma zabawy w szyki, kupa na kupę wali, lepsi uchodzą z życiem, oto cała filozofia.

- Jeszcze tak nie walczyłem - stwierdził Ksin.

- Racja, to nie ronijscy najemnicy w służbie Karu... Tak, to byli przeciwnicy! - rozmarzył się. - Byłeś pod lintą Czwartego Roku Psa?

- I tam i pod Radwą i w całej nandejskiej kampanii - odpowiedział Ksin.

- Ale Iinta..., tam dopiero daliśmy im łupnia.

- Nie powiem, żebym sobie wtedy użył. Prawie całą bitwę przestałem z założonymi rękami.

- Byłeś w osłonie Redrena?

- Właśnie - przytaknął - raz jeden zanosilo się na coś ciekawego, kiedy Admis, wychodząc z lewej, zepchnął wprost na nas lekką jazdę ledejską, ale nic z tego nie wyszło; łucznicy ich rozpędzili. Ruszyliśmy dopiero wtedy, gdy karyjczycy wiali już na złamanie karku.

- To moja robota! - zawołał Daron - byłem przy rozstrzygnięciu. Dowodziłem kohortą w czasie ostatniej szarży. Trzy tysiące pancерnej konnicy... Pojmujesz? Potęga! Pięć linii ronijskiej piechoty zmiotło w okamgnieniu!

- Widziałem, a jakże! - Ksin pośpieszył z uznaniem - tak ich w piach wtratowaliście, że nawet grobów później nie trzeba było kopać; starczyło tylko z wierzchu ziemią posypać...

- Tak, to była jatka jakich mało... - Daron zapałzył się gdzieś daleko.

- A, co mi tam! - wykrzyknął nagle, wałąc pięścią w blachę okrywającą udo - zrobimy Pirom małą lintę, co ty na to?

- Sam przecież mówiłeś... - zdziwił się Ksin - szyku nie utrzymają!

- Jest tutaj chyba z pięćdziesięciu takich, co byli tam ze mną, do tego jeszcze ci twoi. Rozstawi się ich wzdłuż całej linii, a reszta będzie się ich pilnować.

- Może być.

- No to już... - uniósł ramię do góry - Stać! Zatrzymać się! Stój powiedziałem! - rozległy się donośne wrzaski.

Obaj ściągnęli wodze i skrócili w przeciwnie strony, zajeżdżając drogę pozostałym. Sunąca bezładnie gromada zwolniła w końcu i znieruchomiła.

- Stanać mi w dwa szeregi, konie łeb obok łba, ale już! - wydarł się Daron.

Tamci, spoglądając ze zdumieniem, zaczęli niemrawo wykonywać rozkaz. Widząc to, komes i Ksin wpadli pomiędzy nich i klnąc, ile wlezie, zabrali się za zaprowadzanie porządku. Bardziej doświadczeni żołnierze wraz z gwardzistami Ksina natychmiast ruszyli im z pomocą. Przez chwilę zapanował ogólny rozgardiasz i przepychanina, a ponad tym kłębowskiem krzyżowały się polecenia, wściekle wiązanki obelg, kwiczenie i rzenie koni. Powstał zupełny bałagan i zdawało się, że plan Darona wziął w łeb, lecz jednak udało się wreszcie rozstawić oddział w dwóch, w miarę równych, liniach.

- No, nieźle to wygląda - komes popatrzył na front swojej małej armii.

Dopóty, dopóki nie ruszą się z miejsca - Ksin zgasił jego zapał - ani ludzie, ani zwierzęta nie są przyzwyczajeni do takich zabaw...

- Trudno, będzie, co ma być! - dał znak niespiesznym machaniem.

Rząd jeźdźców zafalował i zaczął sunąć do przodu.

- Wolniej! Powoli! Pilnować jeden drugiego! - Ksin i Daron śmigali w tę i z powrotem, wstrzymując lub poganiając niesfornych wojowników.

Przebyli tak jakieś pięćset kroków, a szyk ciągle jeszcze się trzymał. Konwulsyjne przegięcia jakby się wyrównały. Konie zaczęły iść pewniej. Przyśpieszyli nieco i wtedy od prawego skrzydła oderwało się trzech zdezorientowanych ludzi. Daron

pognał tam siny z furii, po czym, wyjaśniwszy im donośnym głosem wszystkie okoliczności dotyczące ich nieprawego poczęcia, od razu zagonił na miejsca.

- Przed atakiem musimy strzec oba krańce - rzekł po chwili do Ksina, gdy znów się spotkali.

- Tak - potwierdził kotołak - tam najłatwiej się można pogubić.

Wyforsowali daleko przed pierwszą linię i z uwagą spojrzeli na swoje dzieło.

- Nie ma co marzyć, żeby zdołali utrzymać ten szereg choćby przez moment po pierwszym starciu - odezwał się Daron, odwracając głowę - ale jeśli uderzą tak, jak są teraz ustawieni, to już nie będzie źle...

- Szyk to nie luźna kupa - Ksin przyznał mu rację - swoją siłę ma, a bezładną watahę zgniec tak, jak pięść nos - uśmiechnął się lekko - o ile, rzecz jasna, wcześniej nie pójda w rozsypkę... - dodał z powątpiewaniem.

Komes popatrzył przed siebie.

- Zaraz będzie ich widać - mruknął. - Wiesz, że ostatnio nauczyli się kuć żelazo! Póki co, marnie jeszcze to im wychodzi: albo za miękki, albo za kruchy oręż ciągle mają. Później jednak, kto wie.. Dwa, trzy lata... ja tam wolałbym, żeby mnie tutaj już wówczas nie było. Wspomnij o tym królowi... - zerknął na Ksina.

- Nie zapomnę - obiecał kotołak.

- ... Żeby jednak nie nauczyli się tego zbyt wcześnie, kazałem wszystkim kowalom osiedlić się w miastach - ciągnął dalej - więc z żadnej wsi już nikogo nie porwą. Chłopi klną mnie za to nielicho, bo z byle czym, całymi dniami muszą...

- Co to? - przerwał mu nagle Ksin, wskazując na prawo.

Daleko i z boku, trochę z tyłu za idącym wojskiem, jakieś biegnące cienie pojawiały się i znikwały w wysokiej trawie. Było ich dosyć dużo. Zboczyli, by móc lepiej widzieć.

- A, to..., wilki, dziczące psy i coś tam jeszcze - wyjaśnił Daron - już dawno nauczyły się, że tam gdzie idą żołnierze, można znaleźć coś do Zjedzenia.. Dziś wieczorem też czeka je niezła wyżerka. Tu, na pograniczu, noce po bitwie zawsze należały do nich...

Ksin wyteżył wzrok: za zwierzętami przemykał jakiś inny cień... Coś ściągnęło nań jego uwagę. Rozpoznał zarys człowieka i w tej chwili zdał sobie sprawę z odczuwanego już od pewnego czasu wrażenia.

- Ależ, tam jest wilkołak! - wykrzyknął zdumiony.

- Bardzo możliwe - Daron przytaknął zgodnie - te stopy to chyba jedyne miejsce w całym Suminorze, gdzie nikt ich nie tępi. Myślałem, że słyszałeś już o tym. Taka bestia to pewność, że żaden ranny Pir nie wróci żywy do swoich... Jak widzisz, mamy różne sposoby, aby zniechęcić ich do najazdów. Kiedyś podobno próbowano osiedlić tu nawet strzygi, ale Pirowie bez trudu wytlukli je w ciągu dnia. Co innego taki wilkołak, ten już potrafi się ukryć... Ale gdzie on, nie widzisz?

- Jeszcze dalej, za stadem - odpowiedział Ksin.

- No tak, nie ma pełni i nie może nadażyć. Tam, patrz! - odwrócił się nagle.

Nie dalej niż tysiąc kroków od nich, mrowie jeźdźców wyroliło się z morza rozkołysanych traw. Dystans zmniejszył się szybko.

- A więc do zobaczenia po walce! - zawołał Daron, skręcając w stronę żołnierzy.

Pospiesznie wrócili, każdy na swoje skrzydło, i uporządkowali nieco już

rozluźniony szyk.

Falanga jazdy ruszyła miarowym klusem. Krzyki wodzów nadały jej tempo i rytm. Setki kopyt równo dudniły o ziemię. Grzmot okrzepł, gdy przeszli w cwał...

Wycie Pirów wiatr poniósł szeroko nad stepem. Ich drobne konie sprężyły się, wyciągając w przód łby. Uszy stuliły po sobie, a pęd rozwiały im jasne grzywy.

Gromada dzikich gnała wprost na rycerzy. Ta wielka z początku wataha rozpadła się teraz na wiele mniejszych kup, które, rozciągnięte niczym wysmukłe jęzory ognia, sunęły, aby pochłonąć Suminorczyków.

Naprzeciw żywy mur toczył się już w pełnym galopie. Błysk srebrzystych płomieni załśnił nad nim, gdy dobyli mieczy, a bojowy okrzyk wyrwał się im z gardeł.

Przebudził bestie, uśpione w zakamarkach dusz.

Poczucie jedności i siły przeniknęło mózgi i serca, spajając ich w jeden rozpędzony monolit. Szał, amok sięgnęły szczytu. Oto hymn potęgi i mocy!

Pierwsze piryjskie kliny obalił i zmiażdżył sam impet.

Walec z żelaza i kopyt przetoczył się po nich z łatwością, rozgniółł i pomknął dalej. Następne skłębiły się przed nim jak potok na skalnej ścianie, a zepchnięte wpadły na nadjeżdżających z tyłu. Chwilę później cała barbarzyńska horda zbiła się w skotłowany wał koni i ludzi, który dopiero swą masą powstrzymywał napierających żołnierzy. Dalszą drogę musieli sobie wyrąbać...

\* \* \*

Szczęk, łomot i wrzaski dotarły do uszu siedzących spokojnie drapieżników. Długie nitki śliny ściekały ze wszystkich pysków, a ich ślepie błyszczały pożądliwie.

Zziajany człowiek dobiegł z głośnym sapaniem i przycupnął na skraju stada...

\* \* \*

Na moment przed pierwszym starciem setnik Alliro jakby odpłynął gdzieś duchem. Puścił wodze, a obie dłonie zacisnął na drzewcu opartej o piersi halabardy. Przymknął oczy, jego twarz ściągnęła się w dziwnym wyrazie. Zdawał się nie dostrzegać niosącego go, oszalałego żywiołu...

Nagle, gdy trzech wojowników piryjskich znalazło się dziesięć kroków przed nim, Alliro stanął w strzemionach. Ruch ten, z początku powolny, zakończył się z szybkością pioruna. Ochryply ryk przebił się ponad wszechwładny rumor. Halabarda wzniesiona gwałtownym wyrzutem ramion zatoczyła krótki łuk do tyłu, a wyćwiczony wierzchowiec zniżył łeb, dając przestrzeń dla ciosu. Jeszcze ułamek chwili i potężne ostrze runęło z piekielnym wizgiem.

Błysk stali, kwik, charkot i czerwone bryzgi. Trzech Pirów, w tym jednego wraz z koniem, zmiotło natychmiast na ziemię. Straszliwe rany naznaczyły ich trupy. Pierwszemu czerep odpadł niczym czapka. Dwaj następni pogubili swe trzewia, a koń zwałił się z przerąbanym grzbietem.

Stary mistrz zajął już pole po zabitych wrogach. Jego broń dosięgnęła innych. Żelazo raz po raz spadało jak grom z jasnego nieba. Długość drzewca określiła

promień morderczego kręgu...

\* \* \*

Na prawym skrzydle Ksin szalał upojony walką. Parł do przodu, rażąc na prawo i lewo; a żaden Pir nie zdołał stawić mu czoła. Ścigał ich, tnąc jednego po drugim. Świst cięć i krzyki agonii towarzyszyły każdemu zamachowi jego ramienia. Sztylet w lewej dłoni kończył niekiedy to, co zaczynał miecz. Polował jak kot w gnieździe myszy - nie było ratunku dla Pira, na którym spoczął błysk jego zielonych oczu...

Pionowe źrenice miały zabójcze skry. On - demon - nie miał tu równych sobie...

\* \* \*

Znajdujący się daleko od pola bitwy wilkołak, nie spuszczał oczu z kłębiącego się tłumu, oblizwał spierzchnięte wargi i nierwowo podrapał się w tył głowy.

Jakaś suka podniosła się z trawy i niepewnie zbliżyła ku niemu. Przymilnie położyła mu pysk na kolanach...

\* \* \*

W samym środku kipiącego waru gwardzista Milan wpadł prosto na Pira, którego poniósł oszalały koń. Obaj zobaczyli się dopiero w ostatniej chwili. Milan był szybszy, lecz nie miał już czasu, by wznieść miecz do góry. Zdażył tylko nadstawić głownię; tamten nadział się na szeroką klingę i przejechał przez całą jej długość, uderzając piersiami o jelec. Ich twarze znalazły się o pół piędy od siebie...

Dzikus splunął mu krwią między oczy.

\* \* \*

Te zdarzenia i tysiące innych epizodów, niekiedy krótszych niż mgnienie oka, nastąpiły w czasie dwóch niepełnych kwadransów. Pirowie nie wytrzymali dłużej.

Kilku pierwszych uciekinierów porwało za sobą całą resztę i niebawem kto żyw, ratował się ucieczką ze stworzonego przez kuzynów Fergo piekła.

Wał barbarzyńców, dotąd powstrzymujący rycerzy, pękł w wielu miejscach, a drużyna Darona przelała się tędy jak woda przez wyrwy w tamie. Zaczęli zajądły pościg, ale piryjskie wierzchowce okazały wyższość, unosząc swych lekko odzianych jeźdźców daleko przed zakutych w żelazo Suminorczyków. Lecz ci, gonili ich jeszcze aż do rzeki Krzemiennej, a tam łucznicy dokonali reszty, zbierając haracz spośród przepływających się Pirów.

Obie grupy przez jakiś czas wygrażały sobie, po czym rozeszły się w przeciwne strony. Tamtych wróciła mniej niż połowa...

Ksin i Daron jechali otoczeni przez swoich żołnierzy. Okrzyków radości znacznego zwycięstwa nie było. Najbardziej dziwiło to przyzwyczajonych do święcenia triumfów gwardzistów, którzy zbici w gromadkę ze zdumieniem patrzyli na swoich towarzyszy. Ci zaś sprawiali wrażenie zmęczonych ciężką robotą

rzemieślników. Zamyślenie przeważało nad zadowoleniem. Dla nich była to jeszcze jedna bitwa, którą zdołali przeżyć. Wiedzieli, że prędzej, czy później nadejdzie ta ostatnia i wrócą z niej przywiązani jak worki do siodeł...

Po prostu zbyt długo już trwał ów beznadziejny ciąg najazdów, odwetów, podchodów, potyczek i klęsk. Ksin zrozumiał, dlaczego Daron tak bardzo chciał wrócić do Katimy - zesłanie tutaj było wyrokiem śmierci zawieszonym na czas bliżej nie określony...

- Chyba nie zdołali narobić zbyt wielu szkód? - zagadnął go, aby rozproszyć posepne myśli. Komes odwrócił głowę.

- Dwie spalone osady... Jak na nich to rzeczywiście niewiele - odrzekł powoli - jednak łomot dostali solidny!

- Ożywił się. - Będę musiał przeciwżyć z moimi walkę w szyku. To dobry sposób!

- Ale, powiedz mi, kim oni są, czego chcą? Szukają tu łupów czy ziemi?

- Kto ich tam wie - Daron machnął ręką - wyprawy, podczas których przynajmniej jeden człek ocalał, nie dalej niż na tydzień drogi w głąb ziem za rzeką dobrnęły i żadnych grodów tam nie znalazły. Nasze wypady zwykle jeden albo dwa dni trwają, a jak dobrze pójdzie, udaje się jakieś świeże obozowisko otoczyć i dzikich w pień wyrznać. To wszystko, co wiemy. Jeńców, oprócz wyjątków, o których ci już mówiłem, nigdy nie braliśmy, oni zresztą też. Stąd nawet nikt ich języka nie zna. Kogo bez broni zdybia

- to w łeb, a my im na tę samą melodię śpiewamy. Ludzie już dawno zapomnieli, od kiedy tak jest, ale jeden mądry w Katimie gadał, że ponoć piąty wiek tak dzieje się. Może to i prawda. Stolica daleko, Redren z karyjskim sułtanem co kilka lat do oczu sobie skaczą, a o nas to chyba tylko sam diabeł jeszcze pamięta...

Z powrotem znaleźli się na poboju. Przeszło dwie setki ciał i kilka dziesiątek martwych koni leżało na zdeptanym spłachetku stepu. Ci, którzy nie wzięli udziału w pościgu, bez pośpiechu krzatali się wśród zabitych. Ktoś prowadził sznur kilkunastu powiązanych kolejno wierzchowców z trupami przerzuconymi przez siodła. Drugi szedł w jego stronę, wiodąc następne trzy... Innych układano na derkach pomiędzy dwoma końmi. Tych było już znacznie więcej.

Przeraźliwe krzyki, przechodzące chwilami w charkot lub rozedrgany skowyt, rozlegały się w różnych miejscach na tym ponurym polu, milkły i znów powracały. Jeden z nich usłyszeli gdzieś wyjątkowo blisko... - to ranny Pir związał się z bólu o kilkadziesiąt kroków przed powracającymi. Obie dłonie przyciskał do przesiąkniętej krwią szaty na brzuchu, a piana ściekała mu z ust wykrzywionych w okropnym grymasie. Wybałuszone oczy patrzyły półprzytomnie.

Żołnierze przejeżdżali obok głusi na jego błagalne jęki.

Samotna, wbita w stratowaną ziemię włócznia sterczała ukośnie pomiędzy dwoma skurczonymi ciałami. Ksin pochylił się, chwycił ją i wyciągnął grot z darni. Ruszył w kierunku rannego...

- Zostaw! - Daron złapał go szybko za ramię - nie dobijaj! Ten spojrzał na niego zdumiony.

- Wilkołaki nie żrą padliny, zapomniałeś?!

Zawahał się, ale broni nie rzucił.

- Syty pod żadną wieś nie podlezie, nikomu nie będzie szkodzić...

Ksin skinieniem głowy przyznał mu rację. Cisnął precz niepotrzebną broń. Zawrodość barbarzyńcy pozostała daleko za nimi...

Później, gdy gromada żołnierzy ruszyła w powrotną drogę, niebo płonęło już intensywną czerwienią, oświetlając kolumnę sunącej niespiesznie jazdy. Różowe blaski zachodu migwały setkami rozbłysków na hełmach, ostrzach pik i częściach uprzęży.

Kuzyni Fergo prowadzący ten malowniczy pochód nie mieli jednak zamiaru podziwiać jego groźnego piękna. Daron drzemał kiwając się nad końską grzywą, a Ksin bez przerwy spoglądał gdzieś w bok. Znajomy, choć niesłyszalny zew nieustannie nadciągał z głębin falujących traw. Kusił i przywoływał, budząc w nim nie odczuwane dotąd pragnienia i emocje. Nigdy w podobny sposób nie odbierał jeszcze wrażenia obecności innej nadistoty.

Coś, takie dalekie i zapomniane, tłumione przez długie lata minionego życia i tylko czasami przypominające mu o swoim istnieniu, teraz najwyraźniej skończyło już z nieśmiałością.

- Nie jesteś człowiekiem, nie jesteś... - mówiło stanowczo - ty sam to powiedziałeś...

- Co z tego, od dawna o tym wiedziałem! - wdał się w wewnętrzny spór.

- Czemu więc ciągle udawałeś jednego z nich? Zabiegałeś o ich uznanie!

Dowodziłeś, że potrafisz być lepszy niż tamci!

- Musiałem, inaczej nie mógłbym żyć między nimi!

- To prawda, ale oprócz tego wydumałeś sobie ten ludzki rodowód, pokrewieństwo, powinność i co tam jeszcze. Dlaczego? To wszystko zrobiłeś na siłę, bo przecież tak mało cię z nimi łączy...

- Ale uznali mnie wreszcie.

- Bo swoją prawością zamknąłeś im usta, lecz czy to cokolwiek zmieniło? Nadnaturalne pochodzenie stało się dla ciebie jedynie rodzajem szlachectwa. Wymyśliłeś sobie ten kodeks praw, aby go nigdy nie stracić.

- A czy to mało?

- Tyś to powiedział! Forma bez treści to śmieć, a czyż kotołak nie miał być tylko budzącym podziw dodatkiem do człowieka, tak jak u innych uroda lub siła..., do człowieka, którym, jak mówisz, nie jesteś!!!

- Cóż więc osiągnąłem...? Kim jestem...?

- Jesteś demonem, kotołakiem, a nie człowiekiem potrafiącym grać kotołaka! Osiągnąłeś zaś to, że niczego nie musisz się wstydzić i, co więcej, nikt nie sądzi też, że powinieneś się wstydzić, wręcz przeciwnie!

- Byłem skazany na takie bycie lepszym, bo inaczej czekało mnie samo dno i trupożerstwo.

- Właśnie tak! Koniec końców nadistota to ty! Czemu trzymasz się sfery zwyczajnych stworzeń?! Rzuć wreszcie ten zbędny nawyk. Kiedy padasz, lecisz dużo niżej niż oni, ale wznosząc się... Zrób ów następny krok!

- Co to znaczy? Czy teraz mam nimi gardzić?

- Dureń! Są tacy, jacy są, praw danych im przez naturę nie przekroczą, ale też są potrzebni. Jak Hanti tobie...

- Albo jak im psy, kury i woły...

- Sam już nie wiesz, co mówisz! Przecież ich można prowadzić... Każdy człowiek może zostać demonem...

- Niby tak..., ale jakim...? I jak...?

Zew Onego przeszył go nagłym dreszczem.

- Idź tam!

- Po co? Gardzę wilkołakami.

- Tak było do tej pory. Dzisiaj już nie jest. Idź!

- Idę - wyszeptał, posłusznie ściągając wodze. Wykręcił i dźgnał ostrogami. Koń stanął dęba, a potem ruszył galopem. Pognali przez mrok zapadający nad stepem.

Nadnaturalny zmysł Ksina pokazał im najkrótszą z dróg...

\* \* \*

Wilkołak siedział teraz w wysokiej trawie i niecierpliwie czekał na pełnię. Stłumione, rytmiczne dudnienie natychmiast wyrwało go z ośpienia. Zerwał się i dał nura w gąszcz. Uciekał, klucząc zakosami, lecz tętent bez przerwy rozlegał się za nim i przybliżał z każdą upływającą chwilą. Niebawem słyszał już parskanie wierzchowca i szelest gwałtownie rozchylającego się zieliska. Dławiący strach chwycił go za gardło i powalił na ziemię. Zastygł w bezruchu, a później jęknął żałośnie, gdy koń zatrzymał się przy nim. Był pewien, że cios i ból spadną na niego za chwilę. Zamiast tego usłyszał śmiech. Uniósł wciśniętą w darń głowę i popatrzył do góry. Dopiero teraz dotarło do niego przed kim właściwie leży, lecz ciągle nie mógł uwierzyć własnym oczom. Widział świetnego rycerza w pięknej, połyskującej ciemnym błękitem zbroi, ale zmysł Obecności mówił mu co innego. Zapewne zdziwiłby się ogromnie, gdyby tylko potrafił się dziwić. Jednakże po tej umiejętności, jak i po całej reszcie ludzkich odruchów, nie pozostało w nim już ani śladu...

Wstał, cofnął się kilka kroków i z rozdziawioną gębą zaczął głupawo popatrywać przed siebie. Nagi, potwornie brudny, oblepiony skorupą rozmazanych odchodów cuchnął tak, że Ksinowi odechciało się śmiać. Najgorsze były w nim jednak oczy: wytrzeszczone, rozbiegane na wszystkie strony i pozbawione jakiegokolwiek wyrazu... To było już samo dno zezwierzecenia.

Kotołak spoglądał nań zadumany. Czuł wstręt, lecz uczucie to nie było już tak silne jak niegdyś. Tym razem smutek rozgościł się w jego duszy.

- Oto brat... - powtarzał w myślach te dwa pełne goryczy słowa - brat..., ale powinienem go zabić... W każdym innym miejscu i czasie zatłuc bez chwili wahania! Nie zasługuje na litość, za późno, aby cokolwiek zmienić... - mimowolnie dotknął oplatających prawy nadgarstek rzemieni, tak jakby chciał zdjąć rękawicę...

- Dla niego śmierć byłaby wybawieniem, ja jestem niezwykłym wyjątkiem...

- Czy jest gdzieś dla nas nadzieja? - A gdyby nawet mój los był tym, o który tu chodzi, to ile potworów mogłoby pójść w moje ślady?

- ... Być może wiele - dumiał - jeżeli zatroszczyć się o nie dość wcześnie. Jednak one do tej pory stawały się po zdjęciu uroku jedynie ludźmi... Traciły nie tylko złe cechy, ale też zdolność stykania umysłów i pozostałe talenty nadi-stot. Mnie udało się przypadkiem... - trącił konia, zawrócił i jechał powoli przez step.

- W jaki sposób mogłyby zachować to, co jest samą istotą demona? Czy tylko



razem z pyskami pełnymi kłów i szponami tam, gdzie powinny być dłonie?

- Skoro tak - zakpił sam z siebie - to zapewne wampiry będą wyłazić z trumien tylko po to, aby podyskutować sobie o poezji i sztuce! A żywić będą się wyłącznie nektarem z kwiatów... - wzruszył ramionami - ... strzygi - soczystą trawą... - bliżej było mu do rozpachy niż śmiechu.

- Czy jest gdzieś druga strona Onego? Gdzie jest...?

Cały świat wydał mu się ponurym polem bitwy, na którym ludzie i potwory zmagają się w beznadziejnej walce. Dokładnie tak, jak niegdyś opowiadał mu Rodmin. Tylko, że on, Ksin, był teraz w tym wszystkim jedynym i bezsilnym obserwatorem...

Wtem, jakby kryształowa kula, pełna olśniewającego światła, trafiła go prosto w środek czoła. Aż zaparło mu dech! Ależ tak! Jak mógł o tym zapomnieć! Te niezwykle natychmiast umykające mu znaki Obecności, które czasami odbierał podczas wędrówek po rodzinnym lesie. Rusalki, elfy! One wyczuwały go wcześniej i znikwały zawsze szybciej, nim zdołał cokolwiek zobaczyć. Dlatego ani on, ani tym bardziej pozbawieni zmysłu Obecności ludzie, nie mogli nic o nich wiedzieć. A jednak istnieją!

Teraz pędził już na złamanie karku, jakby go diabli gonili. Zimny wiatr chłodził mu skronie i rozpalone policzki.

- Tu musi być rozwiązanie! - wciąż jeszcze nie wiedział jakie, ale czuł, że ta myśl jest prawdziwa i że koniecznie należy ją sprawdzić.

- Prawa Onego nie są więc tylko skażeniem pierwotnej natury, ale mogą ją również wzbogacać! Tak! - Och, jak bardzo chciałby to rzec Rodminowi!

Ogromna radość dodała Ksinowi skrzydeł - nareszcie odnalazł i pojął samego siebie! Oto nie był już pojedynczym dziwem, owocem splątanego zbiegu okoliczności i niezwykłych przypadków, lecz dziełem twardych reguł i niezmiennych prawidłowości. Był chorym, który po prostu wyzdrowiał! Świadomość tego krzepiła i dodawała otuchy.

- Należy tylko znaleźć sposoby leczenia innych... - tu zastanowił się chwilę - oczywiście, w beznadziejnych przypadkach pozostaną stare i wypróbowane metody..., bo nic pewnie nie uda się zrobić z upiorami ożywającymi jedynie w nocy, czyli strzygami i wampirami, im można by, co najwyżej, przywrócić ludzki wygląd i wnętrze. Rzecz więc w tym, aby niszczyć pokłady zaszczepionego sztucznie zła i nienawiści, nie ruszając delikatnych cech nadistoty. U mnie wyszło to raczej nieszczególnie; na dodatek pozostały mi jeszcze wszystkie własności kotołaka - oto dlaczego mój Zew musiał płoszyć łagodne formy demonów. Z daleka jestem nie do odróżnienia od innych... Nie umiem też wyczuwać obecności ludzi, a one potrafią. Muszę się tego nauczyć!

- Tak wiele jest do zrobienia i żeby tylko... - natłok myśli wypełnił mu głowę. Nawet nie spostrzegł, kiedy dogonił powracających żołnierzy.

Zrównał się z Daronem i znów jechał tuż obok niego.

- Gdzieś się podziewał, do kata?! - burknął komes, budząc się z drzemki.

Ksin spojrzał przytomniej dookoła.

- Gdybyś wiedział... - zaczął, lecz odpowiedzią było tylko ciche posapywanie. Za moment co innego przykuło jego uwagę: w dali, nad horyzontem, błyszczała już luna

srebrzystego światła - księżyc wschodził...

- Przebudź się! - trącił Daron.

- Co jest...!?

- Niedługo pełnia. Jeśli nie zdążymy wrócić do Diny na czas, narobię wam tutaj sporego zamieszania...

Komes popatrzył na niego, a potem na swoich ludzi.

- Nie ma obawy - uspokoił go - będzie dobrze - dodał i ryknął tak, że aż spłoszyły się konie:

- Hej, wy tam! Pięćdziesięciu zostaje przy rannych, reszta za mną! - pognał, nie oglądając się na nic.

Gromada jeźdźców natychmiast ruszyła za nim, oddzielając się od zwartej dotychczas kolumny.

## Irian

Podkowy zadudniły gwałtownie na głazach zamkowego dziedzińca. Ksin i Daron wpadli nań jako jedni z pierwszych, a reszta stłoczyła się w głównej bramie o chwilę później. Żołnierze, pokrzykując na siebie nawzajem i przywołując stajennych, szybko rozproszyli się po całej powierzchni oświetlonego rzędami pochodni placu.

Zwabiona hałasem Mara stanęła na galerii najniższego z krużganków. Przez moment z napięciem przypatrywała się powracającym, szukając wśród nich męża i kotołaka, aż wreszcie dostrzegłszy ich, uśmiechnęła się i pomachała im dłonią.

- Milin pyta: czy dobrze wam poszło? - zawołała, starając się przekrzyczeć gwar.

Obaj dowódcy podjechali bliżej pod miejsce, na którym stała.

- Powiedz smykowi, że step znowu gładki - odparł wesoło Daron - wykosiliśmy tam jak należy...

Ksin nie miał czasu na pogawędki ani na myślenie o tym, dlaczego Hanti nie wyszła go powitać i co mogło to znaczyć... Gdy wjeżdżali do zamku, dwie trzecie księżycowej tarczy wystawało już zza linii horyzontu. Teraz więc, poprzestawszy jedynie na jakiejś zdawkowej uprzejmości, zeskoczył na ziemię i podzwaniając zbroją pobiegł schodami ku górze.

Do swej komnaty wpadł niczym pocisk z katapulty. Okno lśniło w niej delikatnym jak pajęczka sieć światłem, które błyszczącą, niby rozlana rteć, smugą kładło się na drewnianej podłodze.

Unikając owego jasnego miejsca pośpiesznie odczepiał okrywające mu ciało blachy i rzucał je, gdzie popadło. Miał za sobą już jedno niemiłe doświadczenie, kiedy pełnia zaskoczyła go w zbroi i nie zamierzał przeżywać tego po raz drugi. Zniszczył wtedy kosztowny napierśnik i naramienniki, zrywając wszystkie nity oraz rzemienne paski, ale najbardziej ucierpiała wówczas głowa, uwieczona w niezdetym na czas hełmie...

Plama światła szybko rosła w szerz, a on, zdoławszy wreszcie uporać się z pancerzem, kilkoma ruchami pozbył się miękkich szat i zdecydowanie wszedł na jej środek. Gorące mrowie przeniknęło przez skórę do kości. Uspokoił oddech, wyrównał bicie serca i wygaszał kolejne stany świadomości. Niebawem jego umysł

znalazł się poza zasięgiem bólu i teraz już był gotów.

Przemiana zaczęła się zaraz po tym, a więc zdążył w ostatnim momencie.

Wyjście ze stanu medytacji po Przemianie zajmowało mu w nowej postaci zawsze trochę więcej czasu niż wtedy, gdy był człowiekiem. Dlatego też dopiero po dłuższej chwili otworzył oczy i prężąc grzbiet przeciągnął się z zadowoleniem.

- Jak tam Pirowie? - głos Hanti zaskoczył go bardzo. Wyglądało na to, że była w pokoju, jeszcze zanim tu wszedł. Zbyt mocno jednak zajmował go wówczas księżyc, aby dość uważnie popatrzeć na boki.

- A niech to... - zganił się w myślach - takie gapiostwo można przyplacić życiem..., ale, na szczęście, tym razem to tylko ona... - sapnął z ulgą.

- Hej, pytałam cię przecież... - te słowa rozległy się w kącie, w którym stało łóżko.

- Rozgromieni - przesłał jej zwięzłą myśl.

- A ja... - wymówiła to niemal szeptem, lecz w głosie jej zadźwięczało coś takiego, że krótka sierść zjeżyła mu się między uszami. Ciepły dreszcz przeszedł wzdłuż kręgosłupa i spłynął w dół na podbrzusze. Odwrócił głowę, spojrzął...

Leżała naga, wyciągnięta na wznak, a w księżycowym świetle jej smukłe ciało lśniło nieskalaną bielą kości słoniowej. Głowę, ramiona i piersi krył gęsty, stężyły pod ścianą mrok, a granica jasności i czerni niespiesznie przesuwiała się po niej w rytmie spokojnych oddechów. Czekwała...

Teraz zaś, jakby czując na sobie wzrok Ksina, drgnęła i wolno uniosła nogę, nie odrywając stopy od prześcieradła.

Ten pozornie niedbały ruch kusił go, wabiąc jak tajemnicze wezwanie. Bezgłośnie podszedł do łoża i wspiął się na nie przednimi łapami. Dłoń Hanti wychynęła z ciemności, dotykając spiczastych uszu i pyska. Za moment palce zagłębiły się w sierści na karku i grzbiecie.

Siennik zaszeleścił gwałtownie, już leżał koło niej. Jego chłodny nos musnął leciutko policzek, a potem przeniósł się niżej i pieścił jej ramię, szyję, delikatną skórę za uchem i pod brodą.

Odchyliła w bok głowę, aby miał więcej miejsca. Nie widział, ale miał pewność, że uśmiechnęła się przy tym...

...Później szorstkim językiem błędził po piersiach, trącąc ciągle ich szczyty, wędrował przez brzuch, biodra, niżej...

Nagły dotyk szponów poraził ją silnym dreszczem - aż jęknęła z emocji i lęku. Rozkoszny ból przeniknął jak powiew śmierci, gdy pazury przeorały jej ciało, niemalże drapiąc je do krwi.

Ta demoniczna pieszczota była niczym mały, strącony kamyczek, od którego zaczyna się wielka lawina. Ciche szaleństwo spadło oszalamiającym oparem. Ów jeden ruch łapy wyzwolił wszystkie uśpione w nich żywioły, a senny nastrój prysł jak rozwiany obłok.

Oba ciała sprężyły się w gwałtownym zrywie namiętności i zespoliły w rozkołysany, dyszący kłęb. W ułamku chwili odpłynęli w dal, sycąc się sobą z dzikim, obłądnym zapamiętaniem...

Hanti o twarzy ściągniętej w nieziemskim zachwycie i ustami chwytającymi powietrze jak ryba wyjęta z wody, sprawiała wrażenie zawieszonyj gdzieś ponad przestrzenią i czasem. Natomiast Ksin, pochylony, zamykający ją w żelaznym

uścisku swych mocarnych, okrytych zjeżoną sierścią ramion, ze szponami wbitymi w siennik i drewno zagłówka łoża, uderzał, wchodził, przenikał jej pulsujące, palące płynnym ogniem wewnątrz w nadludzkim rytmie tętniącego żywiołu. Jego pysk otwierał się i zamykał nierówno, konwulsyjnymi zrywami. Niekiedy zakrzywione kły trafiały na siebie z głośnym kłapaniem i szczękiem, a zdławiony, chrapliwy warkot bez przerwy bulgotał mu w krtani.

Zasnute mgłą zapomnienia oczy obojga długo stawały się nie dostrzegać niczego, lecz teraz nagle zapatrzyły się w coś, co tylko Ksin i Hanti mogli zobaczyć...

Dwie pary źrenic momentalnie rozszerzyły się aż do granic możliwości...

Ona krzyknęła pierwsza, ale krzyk ten natychmiast zadrżał, załamał się, zmienił w szloch, jęk i zamarł na bezsilnych ustach. On zawył przeciągłym, gardłowym basem, niczym kot, który posiadał kocicę i runął na nią z furją, chwytając zębami prześcieradło tuż obok jej szyi... Szarpnął, zadygotał gwałtownie i padł jak pod ciosem topora.

Znieruchomieli...

Po chwili, w szarym, kryjącym łoże kochanków półmroku, rozległ się cichy szept, szelest, a może westchnienie - któreś z nich zakończyło już lot wśród miłosnych przestworzy i powróciło tam, skąd zaczęło swą drogę. Drugi szmer dołączył do tego pierwszego niebawem i gra przyśpieszonych oddechów od nowa wypełniła przestrzeń. Kobieta i jej demon znów pogrążyli się w rwącym, pełnym zamętu i wirów strumieniu rozigranej rozkoszy. Wzburzony nurt poniósł ich w bezkresną dal, aby potem raz jeszcze porzucić pozbawionych mocy i woli gdzieś na swym sennym brzegu...

Ponownie zebrali się, odnaleźli go, a on i tak zaraz uciekł im tak jak poprzednio...

Cała noc zesła Ksinowi i Hanti na owym szukaniu, na szalonych wzlotach, odpływach i odpoczynkach w stanie słodkiego omdlenia. Z czasem okresy wytchnienia wydłużały się, myśli mąciły, aż wreszcie, sami nawet nie wiedząc kiedy, głęboko zasnęli...

Srebrna poświata za oknem zbladła i zgasła powoli. Ciało kotołaka zmiękło, zwiotczało niby rozgrzany wosk i falując płynnie przemieniło się w ludzką postać. Ksin nie spostrzegł ani w żaden sposób nie odczuł tego, co nastąpiło; miłosne znużenie chroniło przed bólem równie dobrze jak głębia nadrzeczywistych medytacji...

Szary brzask zastał już tylko mężczyznę i kobietę, uspiionych, złączonych ze sobą więzami splecionych ramion i leżących wśród nieruchomych fal skotłowanej pościeli. Takimi znalazł ich również świt, chłód poranka, a potem pierwsze godziny nowego, słonecznego dnia.

Ciche i delikatne pukanie w niczym nie zmąciło łagodnego nastroju, panującego w komnacie. Zabrzmiało raz, drugi i znowu powtórzyło się po krótkiej przerwie.

Skóra tuż koło ucha Ksina lekko zadrżała, po czym on sam otworzył oczy i uniósł się nieco na łokciu. Ten ruch obudził Hanti. Oboje zwrócili głowy w kierunku drzwi.

- Coś takiego... - mruknął Ksin i przetarł twarz wierzchem dłoni - pierwszy raz od trzech dni ktoś w końcu zechciał darować sobie walenie pięściami. A już myślałem, że przyzwyczaję się do tego sposobu proszenia mnie o pozwolenie wejścia...

- Otworzyć? - popatrzył na żonę.

Skinęła twierdząco i naciągnęła na siebie część prześcieradła.

Kotołak pochylił się, chwycił leżący przy łożu trzewik i rzucił nim mierząc w uchwyt zasuw. Odskokzyła z gwałtownym szczękiem.

- Droga wolna!

Szczupły, niewysoki człowiek, w długim, pokrytym burym pyłem płaszczu i ciężkich podróżnych butach, wszedł szybko i już miał się uklonić, gdy niespodzianie nadepnął na brzeg porzuconego przez Ksina pancerza...

Masywna, stalowa płyta, leżąca wypukłą stroną do dołu, wystrzeliła w górę jak z procy i wyrznęła przybysza drugą krawędzią w kolano. Syk bólu i zaskoczenia rozległ się zamiast uniżonych słów powitania. Blacha brzdęknęła złośliwie i potoczyła się w bok, a nieszczęśnik, hamując się z trudem, zmiął w ustach jakieś grubsze słowo.

- Ktoś ty?! - spytała Hanti, dusząc w sobie śmiech. Jej głos zabrzmiał teraz z pełną powagi dumą, przypominając obu mężczyznom, iż ona, aczkolwiek bez ubrania, ani na chwilę nie przestała być damą...

Podwójnie speszony gość najwyraźniej zapomniał języka w gębie. Przez moment patrzył na nią z osłupieniem i wyrazem całkowitego zagubienia w oczach.

- Ja.. poseł, pani, od króla... Garo mi mówią... -wyjąkał niepewnie.

Wesoły, pogodny uśmiech natychmiast zniknął z warg Ksina.

- Co się stało?! - zawołał z napięciem. Okrzyk kotołaka podziałał jak zimna woda. Tamten oprzytomniał wreszcie.

- Strzyga panie... - kolejne słowa potoczyły się gładko.

- Więc jednak... - myślał Ksin, słuchając go uważnie. W trakcie opowieści, Hanti, chwyciwszy nagle dłoń męża, z przerażeniem wpatrywała się w jego profil. Straszne przecucie wypełniło jej duszę niczym czarna, dławiąca mgła, a dziwny chłód dosięgnął aż szpiku kości...

- Wyruszamy dziś po południu! - zdecydował kotołak, gdy relacja Gara dobiegła końca - zawiadam zaraz mych ludzi.

- Tak, kapitanie!

- A ty panie Garo, zostajesz tutaj by wypocząć, czy jedziesz z nami?

- Nie pora na wywczasy, z tobą kapitanie! - odpowiedział stanowczo poseł.

- Więc dobrze, idź, odśwież się, zjedz coś i czekaj w gospodzie. Każdy tu wskaże ci do niej drogę - odprawił go ruchem głowy.

Ten skłonił się i już bez żadnych przeszkód wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Wstańmy, ubierzmy się...

- Ksin! - niespodzianie rzuciła mu się na szyję - Och, Ksin!

- Hanti, co ci jest? - zdumiony potrząsnął ją łagodnie - no, co?

Przez chwilę tuliła się do niego jak dziecko, po czym cofnęła i popatrzyła gdzieś w bok.

- Nie, nic, tylko takie babskie prze... - nie dokończyła, zamilkła, i nagle uśmiechnęła się jak zazwyczaj.

- Podaj mi suknię - poprosiła.

Konie, kolasa i oddziałek gwardii stały gotowe do drogi już od jakiegoś czasu. Kobiety wciąż jeszcze żegnały się u podnóża zamkowych schodów, szepcząc coś i całując się na przemian, gdy ich mężczyźni, uściskawszy swe dłonie, stali patrząc na siebie w milczeniu.

- A jednak głupio, że tyle lat w wojnie pomiędzy sobą zmarnowaliśmy... - rzekł Daron ze smutkiem, przerywając ciszę.

- Ech, nie ma o czym mówić - odparł Ksin pojednawczo - ale cieszę się, że słyszę to właśnie od ciebie...

- Co tu dużo gadać, warto było tak razem, przynajmniej nie nudziłem się przez ostatnie dni - komes zmienił temat.

- Ja tam wolałbym obyć się bez takiej uciechy.

- A wiesz, ja chyba również...

Roześmiali się krótko.

- Zostawmy słowa poetom, my i tak nie znajdziemy dość dobrych - powiedział kotołak - a obaj przecież myślimy to samo. Czas na nas. Bywajcie i do zobaczenia w Katimie! Hanti!

- Idę! - odrzyknęła i podbiegła jeszcze do Darona.

Uściskali się, a on odprowadził ją do powozu. Dwie dziewczki służebne wsiadły tam zaraz za nią i wtedy Ksin wskoczył na konia, którego przytrzymał mu Garo.

- Niech będzie, co ma być. W drogę! - szybki gest dłoni ożywił nieruchome postacie gwardzistów.

Odgłosy kopyt i kół powozu ucichły za zamkową bramą wśród krętych uliczek Diny...

Ten dzień zakończył się dla nich w małej, przydrożnej karczmie zaledwie pięć godzin później. Ze względu na kobiety musieli zrezygnować z planów zbyt forsownego marszu. Teraz więc, w porównaniu z poprzednią drogą, z Katimy, zanosilo się na to, że czas podróży przeciągnie się co najmniej o jedną trzecią. Ksin był zirytowany, a Garo bez przerwy wspominał o konieczności pośpiechu.

Wieczorem doszło pomiędzy nimi do kłótni, której powodem stała się propozycja posła, aby pozwolić Hanti i jej służebnym jechać w umiarkowanym tempie, a oni po prostu zostawiliby je za sobą. Kotołak zaś, pamiętając o niedawnym napadzie i nie chcąc, aby Hanti musiała znów kusić лихо, stanowczo się temu sprzeciwił. W końcu niewiele brakowało, by powiedzieli sobie za dużo, lecz ostatecznie stanęło na tym, iż zrezygnują z głównego traktu i pojedają dalej skrótami przez boczne drogi, mało znanymi szlakami, ale się nie rozdziela.

Pomysł ów podsunął im Alliro razem z misą pieczonej dziczyzny i dwoma garnkami zimnego piwa, stąd też przystali na to bez większych oporów i znacznie szybciej, niż można było się tego spodziewać po początkowej ostrości sporu...

Nazajutrz więc, zebrawszy w gospodzie dostatecznie dużo wskazówek, rozstali się z wygodnym gościńcem i ruszyli przez obce im dotąd okolice. Ryzykowali niemało, gdyż zagubienie drogi i błędzenie na oślep mogło kosztować ich o wiele więcej czasu, niż nawet powolna wędrówka królewskim traktem. Jeszcze poważniejszym kłopotem miała okazać się sprawa noclegów i zdobycia żywności, ale ciekawość wzięła górę nad zwątpieniem, bo dalsza podróż zapowiadała się jednak nadzwyczaj

interesująco.

I tak, już od jakiegoś czasu, jechali piaszczystym duktem poprzez mieszany las, który niekiedy przerzedzał się, przechodząc w step, chaszczę czy też obszerne polany. Dzień był gorący, lecz w miarę obfity cień dość dobrze chronił ich przed narastającym upałem.

Dochodziło południe...

Garo, Alliro i Ksin omawiali właśnie plany na najbliższą przyszłość, gdy ten ostatni nagle zatrzymał konia.

- Stójcie! - nakazał szybko.

- Dlaczego? - zdziwił się poseł, a Alliro spojrział na niego z politowaniem.

- Widać panie, że kapitana naszego nie znacie

- stwierdził sucho - skoro tak rzekł, to pewnie jakaś poczwara gotowa nam szkód narobić... Garo zaniepokoił się mocno.

- Prawda to? - pośpiesznie zapytał Ksina. Kotołak skinął twierdząco.

- Od razu widać, że przez dzicz wędrujemy... - mruknął.

- Ale co?!

- Południca. Zwyczajna rzecz w takim miejscu i czasie

- wyjaśnił Ksin - kiedy słońce wysoko i wiatr ścichnie na chwilę, to zaraz budzą się i wyłazą z łądyg...

- Przecież zboża tu nie ma?!

- A niby skąd miało być i to na takim uroczysku?

Zresztą już po żniwach... Jest w tamtej kępie łązy. O! Będzie sto kroków stąd - dodał.

- Tyle ludzi..., chyba się nie odważy?

- Starczy, że głowę wychyli i w najlepszym razie same konie popłoszy, a jeśli ktoś spojrzy wtedy na nią, to rozum straci...

- Takie są urodziwe? - szczerze zaciekawiał się poseł. Kotołak nie odpowiedział, a tylko uśmiechnął się lekko.

- Nie radziłbym podglądać... - odparł, mrużąc oczy. Powóz zatrzymał się przy nich.

- I co teraz? - spytała Hanti - nie chcę, by było jak tam, koło...

- Pamiętasz jeszcze? - zdziwił się Ksin - no dobrze, zaraz coś wymyślimy... Alliro!

- Na rozkaz, panie!

- Byłeś przy tępicielach, kiedy sprawiali ich Daronowi obwiesie?

- Tak, panie.

- To, jeśli cię znam, wybrałeś sobie pewnie to czy tamto z rzeczy, które im już nie były potrzebne... Speszony setnik przytaknął bez słowa.

- A nie masz może strzał z grotami ze srebra?

- Mam panie! - zawołał ucieszony.

- Więc daj mi szybko jedną! - zeskoczył na ziemię - hej, wy tam, a ma któryś łuk?!

- Ja, kapitanie! - odkrzyknął Milan i wyciągnął broń z sakwy.

- Dobry piryjski, w bitwie zdobyłem - powiedział, podając go dowódcy.

- Zaczekajcie... - kotołak ruszył w stronę upatrzonych zarośli i zatrzymał się o kilkadziesiąt kroków od nich. Założył strzałę na cięciwę, po czym powoli naciągnął łuk.

Wyrównał oddech, zamknął oczy - w tej chwili wzrok tylko by mu przeszkadzał.

Całkowicie zdał się na podświadomość i pozwolił jej zapanować nad swoim ciałem.

Zew brzmiał, pulsował, przenikał subtelnym dreszczem. Jego źródło najpierw niejasne, nieuchwytnie, tak jakby rozmazane, teraz zaczęło się skupiać i kurczyć w jeden wyraźny punkt gdzieś w przestrzeni przed strzelcem...

Ręce Ksina uniosły się w górę, w bok i znieruchomiały, a palce puściły cięciwę. Jęknęła śpiewnie i cicho.

Kotołak odwrócił się i bez pośpiechu powrócił do swoich.

- Po wszystkim - odrzekł - zwracając łuk. Mieli wyraźnie zawiedzione miny.

- Tak bez niczego...? - Hanti była zdumiona - a krzyk?

- Nie zdążyła, zginęła od razu - wyjaśnił, wskakując na siodło - Ruszajmy!

- Czy ona tam leży? Można ją teraz zobaczyć? - wyrwał się nagle Garo.

Ksin z sykiem wypuścił powietrze i mocno przygryzł dolną wargę, a kąciki ust znalazły mu się prawie za uszami.

- Idź, obejrzyj sobie. Znajdziesz ją o pięć kroków od drogi - powiedział, z trudem panując nad głosem.

Posel wyforsował do przodu i zatrzymawszy się obok wskazanego miejsca, zsiadł, po czym zniknął w zaroślach. Wszedł chwilę później i to o wiele szybciej, niż wszedł. Wręcz wypadł stamtąd na złamanie karku.

Gromki śmiech Ksina powitał go ze zjadliwą drwiną, a on jak niepyszny czekał, aż reszta do niego dołączy.

- I co, rozmiłowałeś się w niej? - zakpił kotołak.

- Mogłeś uprzedzić, kapitanie - odburknął urażony.

- A dlaczego, w końcu nie ma to, jak samemu sprawdzić i powąchać...

- Ale coście tam, panie ujrzeli - nie wytrzymał Alliro - powiedzcie nam.

Garo machnął ręką i wykrzywił się z niechęcią.

- To był rozpadły trup starej baby - mruknął, patrząc na Ksina spode łba - taki, co chyba już z rok w grobie leżał, bo aż drgał od robaków i czerwi...

- Tak z nimi jest... - kotołak pojednawczo poklepał go po ramieniu - południce same w sobie to rodzaj na wpół cielesnych obłoków, które przeważnie, choć jednak nie zawsze, przyjmują człowiecze kształty. Potrafią wnikać w łodygi traw albo też w liście drzew i trwać tam, dopóki świeci słońce. Zapewne rośliny w jakiś sposób pomagają im czerpać siłę ze słonecznych promieni... A w nocy oraz zimą, o ile wiem, kryją się gdzieś pod ziemią. To dziwne istoty. I groźne, nawet dla mnie... Z tej przyczyny wiadomo o nich mniej niż o całej reszcie demonów. Nikt, na przykład, nie wytłumaczyłby ci, dlaczego napastują ludzi i czemu robią to inaczej niż inne upiory; swym ofiarom nie rozszarpują przecież ciała, lecz umysły... I to na odległość! A gdy już jakaś zostanie zabita, wtedy ziemia natychmiast wyrzuca z siebie truchło tej, która dała początek południcy. Pewien stary mag zauważył kiedyś, że zawsze były to takie kobiety, co za życia zdradzały dziwną skłonność do roślin... Jednak najniezwyklejsze jest to, że trup pojawia się za każdym razem tam, gdzie upiorzycę zabito i to niezależnie od tego, jak daleko jest grób, który zapada się w tej samej chwili!

- Niemożliwe! Bo... - Garo z miejsca ugryzł się w język.

- A widzisz! - zawołał Ksin szybko - nie uwierzyłbyś, gdybyś nie zobaczył!

- Ja dalej nie mogę uwierzyć... - poseł, słuchając kotołaka całkiem zapomniał już o



urazie - to jest przeciwne naturze!

- Nie, Garo, to świadczy po prostu, że my prawie nic z jej praw nie pojmujemy... Ten zamyślił się nieco.

- Miałeś rację, kapitanie - powiedział po chwili - tu naprawdę można zabłądzić - pokazał na okolicę - ale widzę, że tak jak powiedziałaś, nie będzie przynajmniej męczyć nas długość i nuda podróży. Zastanawia mnie tylko jedna drobna rzecz...

- Cóż takiego? - zachęcił go Ksin.

- Jeśli tak od razu, pierwszego dnia, przytrafiła się nam taka przygoda, to co zdarzy się jutro i później... W odpowiedzi kotołak bezradnie rozłożył ręce.

- Zobaczymy... - uśmiechnął się tajemniczo.

O wampirach, wilkołakach tudzież innych upiorach i ich własnościach rozmawiali jeszcze do późnej nocy, a potem cały następny dzień oraz kilka kolejnych.

Bohaterowie Ksinowych opowieści, o dziwo, jakoś nie wchodzili im w drogę, jak się tego obawiał Garo. Najważniejszą sprawą było utrzymanie właściwego kierunku wędrówki.

Ostatnie otrzymane w gospodzie wskazówki dotyczyły osady, w której mogliby wynająć odpowiedniego człowieka, aby ten zaprowadził ich do następnej. Taki bowiem był uzgodniony wcześniej plan przedostania się przez tę najdzikszą i najrzadziej zaludnioną prowincję państwa Redrena.

Rozciągała się ona pomiędzy pograniczem piryjskim, a południowo-zachodnimi księstwami Starego Suminoru i długi czas z powodu nieurodzajności swych ziem uważana była za niezdatną do osadnictwa. Również nie natrafiono tu nigdy na rudy szlachetnych, czy choćby tylko użytecznych kruszców. Stąd od dawna już nazywano ją Rohirra, co znaczy „niemiła” lub też w innych dialektach języka Sum „niedobra”.

Zapewne na zawsze pozostałaby tylko przylegającym do granic Suminoru obszarem dziczy i schronieniem dla ściganych przez prawo przestępców, gdyby nie odkrycie na jej południowych kresach żyznych stepów, świetnie nadających się pod uprawę i do hodowli bydła. To zdecydowało, iż nagle, mocą jednego monarszego podpisu, znalazła się w środku przeszło trzykrotnie powiększonego państwa królów z Katimy. Jednakże w samej Rohirrze nie zmieniło się nic, a jeśli już, to na gorsze. Gościńce i drogi, jakie wówczas wybudowano, nie przecięły jej, lecz ominęły, a zbójckie bandy przeniosły się w pobliże uczęszczanych traktów, przez co straciła ona ponad dwie trzecie swoich stałych mieszkańców...

Sam Ksin, gdyby zechciał, mógłby uważać się za Rohirrczyka, gdyż puszcza w której spędził dzieciństwo i pogrzebał Starą Kobietę rozciągała się przy północno-zachodnich granicach tej prowincji i częściowo do niej przynależała. Teraz zaś, choć był daleko od rodzinnych stron, to jednak czuł się tu bardzo swobodnie i bez wahania prowadził swą grupę dokładnie tam, gdzie mieli zamiar dotrzeć, a więc do wsi o nazwie Zakła.

Jak na tutejsze warunki była to duża osada złożona z około stu chałup, z których wylegli wszyscy, aby powitać i ujrzyć nieczęsto pojawiających się tu wędrowców.

Przyjęto ich bardzo gościnnie i gdyby nie pośpiech, z jakim zdążali do Katimy, pozostałoby tutaj dłużej niż do następnego poranka.

Tego dnia podróżowali szybciej, gdyż ich przewodnik, mężczyzna w średnim wieku o imieniu Ajro, bez trudu potrafił znajdować drogę, którą mógł jechać wiozący

kobiety powóz.

Poza tym wszystko odbywało się jak zazwyczaj; szli, gawędzili, drzemali... Jednak gdy minął popołudniowy postój i od nowa podjęli przerwana podróż, Ajro, narzucił im szybsze niż dotąd tempo. Ksin początkowo nie zwrócił na to uwagi, lecz dostrzegłszy wyraźny niepokój w oczach przewodnika, zapytał go wprost o przyczynę.

- Tak trzeba, panie - odpowiedział tamten - bo jakby nie, to mała Irian bardzo by się rozgniewać mogła, że nocą my jej spokój mącimy...

- A któż to jest, ta Irian?

- Ano wątpię, panie, tak to u nas mówią, bo ludzie z daleka gadają inaczej: strzyga.

- Pierwszy raz słyszę, żeby ludzkie imię jakiejś upiorzycy dano...

- Ej tam, boć przecie, panie, to z dziesięć років już będzie, odkąd ona dziewczką po wsi naszej biegała i jak się to biduli pomarło...

- Tak mówisz, jakbyś do niej żadnej złości nie miał?!

- A niby skąd miałbym mieć!? Ja, czy tam kto inny? Wszystkim jednako żal.

Układna ci była dziecina... - zamyślił się - a wszystko za sprawą tej starej Rodliczy, bodajby i na tamtym świecie sparszywiła!

- Opowiedz nam wszystko - poprosiła Hanti, przysłuchująca się im już od jakiegoś czasu.

- Jak każecie pani. Ano to było tak: Irian pierwszą, a potem jej brata Dinka, urodziła Idą, żona smolarza Rety. Reto poczciwy był chłop, ino że w piach poszedł, zanim się syn urodził, no i kobietę samą przy dwóch kołyskach ostawił. Nieletko im było, ale jakoś tam szło i bogi też chyba łaskawie patrzyli, bo córa się Idzie udała nad podziw. Urodna była, niegłupia, że nawet pod dębem uradzili, co by ją, jak podrośnie, dla króla, w pałace zawieźć. I dobrze by się dziać mogło, gdyby ta jędza Rodlicha mieszać tu nie zaczęła... Ot, dzieciaka się ropusze zachciało! Sama nie mogła mieć, to dawaj, do Idy łązić, żeby jej Irian sprzedała. Chodziła, chodziła, aż wreszcie, jak ścierką przez pysk wzięła, to i przestała chodzić. Tylko że następnego dnia małą za rękę cap i w las. Porwała psia jucha! Ano skoro tak, to się chłopcy skrzykli, każdy co tam ciężkiego w obejściu miał, to wzięli i poszli szukać. A jak znaleźli, to tak to stare ścierwo wybili, że mała jej skóra ode gnatów nie odeszła, a wrzaski to pewnikiem i Piry słyszały. No i spokój był, tyle że nie na długo. Rodlicha ledwie się z wyrka podniosła, dawaj zaraz w mateczniki chodzić i jakieś zioła czy inne rzeczy do chałupy znosić i ciągiem się w niej zamykać. Żeby tam kto wcześniej pomyślał, to może inaczej by było, a tak... Mała za jakiś czas zaniemogła. Z początku chodziła, kwękała, ale co dzień to gorzej się z nią działo i nic jej nie mogło pomóc. A potem już ino leżała i płakała, że boli. Osobliwie rączęta i twarzyczka. I że też nikt wtedy uroku w tym nie zobaczył! Ano widać i ludziom coś na rozumy padło. Znaczy musiało tak być. Pomarła... Idą zaś z tej całej zgryzoty, choć licho wie, jak to po prawdzie było, zaraz na drugi dzień po córce oczy zamknęła. I Dinek, co mu ze cztery wiosny było, sam ostał. Ale nic to, żal nie żal, tak to już jest na tym świecie. Pochowali my je jak należało, i godnie, a jakże, a tu na siódmy dzień, znaczy od śmierci Irian liczony, patrzymy: grób małej rozryty, trumna pazurami rozdarta i trupa ani śladu...

Ksin tylko pokiwał głową i cicho zagwizdał przez zęby.

- No, teraz dopiero ludziom zasłona z oczu spadła. Całą gromadą śmy do Rochlicy poszli i żywcem ją w stogu słomy spalili. Miast tego, może lepiej by było przymusić wpierw sukę, żeby urok spróbowała odczynić, ale w złości na próżno rozumu szukać. I stało się... Odtąd co noc Irian wokół wsi krążyła, ale ani razu nikomu jakakolwiek się krzywda nie stała, choć byli tacy, co ją o parę kroków od siebie widzieli. Jakiś wędrowny mędrzec, który później w progi nasze zawitał, gadał, że owa niezwykajna łagodność stąd pochodzi, że duszy niewinnego dziecięcia czary dość mocno nie mogły się imać i po części ją taką, jaką była za życia, ostawiły. Znaczący dobroci w niej wiele jeszcze i pamięci tego, co drzewiej było, śmierć nie zatarła. Szczera prawda to była, bo rychło baby zaczęły gadać, że ona czasem po zmierzchu do posłania braciszka przychodzi i spokojności jego snu pilnuje. Jedna ponoć widziała, jak Irian pazurami derkę na niego naciągała, kiedy mały się odkrył we śnie...

Od pory tej każdy, kto upolował coś albo w zagrodzie zarznął, część mięsiwa zawsze na płocie ostawiał, aby nieboga pożywić się mogła. Tak było dopóki nowe nie spadło nieszczęście; gorączka nam na dzieciska przyszła i naście wypadło pochować, w tym i Dinka, który nigdy tak w sobie za mocny nie był. Oj, było wtedy, oj było... Co noc do grobu małego chodziła i wyła, aż się serce krajało, a baby to ino ciągiem chusty przy oczach trzymały. Do dziś, co wspomnę, to znów zaczynają beczeć. One już takie za przeproszeniem jasnej pani... - skłonił się w stronę Hanti.

- A potem to przyplątał się tu jakiś wypierdek, co należał do cechu tych, co zabijają stwory Irian podobne...

- Tepiciel? - rzucił Ksin.

- A tako właśnie! - potwierdził Ajro - żeby my tylko wcześniej wiedzieli, kto zaczął i dlaczego przylazł, to by zaraz kłonicie w ruch poszły. A ten parszywiec pewnikiem mistrzem chciał ostać, a do zasługi ubicie wapierycy było mu potrzebne, bo choć nikt go nie prosił, o zmroku na Iriankę się zbój zasadził. Ale szczęśliwie się wszystko skończyło, bo to jego flaki ona nam na opłótkach rozwiesiła...

Jeno że po tym ufność do ludzi straciła, brata między żywymi nie było, więc i jej samej nic już przy wsi nie trzymało. Odeszła w te okolice, o właśnie tu, gdzie my teraz idziemy i żyje sobie spokojnie, ale obcych nocami nie cierpi. Paru już pokasała i to tak, że przez kilka niedziel z betów się podnieść nie mogli. Stąd i nam roztropniej będzie odejść, nim słońce w lesie się schowa...

- I mówisz, że tu jej ziemia? - zagadnął go Ksin z lekkim uśmiechem - a ona gdzieś tutaj jest i to blisko?

- Nie inaczej, panie.

- Więcej masz racji, niż ci się wydaje! - kotołak stanowczo powstrzymał konia i zeskoczył na ziemię.

- Zaraz wracam! - zawołał, znikając w skłębionej masie krzewów.

- Panie...? - Ajro osłupiał, a Hanti niespodziewanie zbladła...

Ksin odszedł o kilkadziesiąt kroków od dróżki, którą jechali i zatrzymał się przed starym, ogromnym drzewem. Jakies pięć łokci nad ziemią w grubym, obrośniętym mchem pnium ział otwór obszernej dziupli.

Nawet gdyby nie istniał zmysł Obecności, to same ślady na korze powiedziałyby

mu już wszystko...

Chwycił za krawędź dziury, podciągnął się i wślizgnął do wnętrza. Drzewo było prawie że puste w środku, a ową mroczną, posępną norę w połowie wypełniały zeschnięte liście. Przykłęknął i zaczął je rozgrzebywać.

Leżała niezbyt głęboko, może ze dwie piędzi pod powierzchnią. Po chwili wyciągnął ją i oparł bezwładne ciało o próchniejącą ścianę. Patrzył...

Szczupła, płowowłosa bardziej przypominała mu jakieś nieznane dotąd drapieżne zwierzątko niż stryżę. Nie miała żadnych, tak charakterystycznych dla tego rodzaju upiorów zniekształceń czy śladów zatrzymanego gnicia. Moc Onego przeformowała tę małą z zachowaniem jakiejś subtelnej harmonii, która wyczierała z każdej miękko zarysowanej linii jej ciała. Z daleka można było wziąć Irian za kilkunastoletnią dziewczynę, choć jednak zbudowana była zupełnie inaczej niż jakakolwiek kobieta...

Nigdy dotąd nie widział nic podobnego.

Bez namysłu zarzucił ją sobie na plecy, po czym wy dostał się z dziupli i na rękach zaniósł do swoich...

Jeśliby teraz piorun uderzył nagle, to wywołałby tym o wiele mniejsze wrażenie, niż pojawienie się Ksina ze stryżą w ramionach. A on szedł spokojny, wyprostowany. Pysk Irian opierał mu się o szyję, a jej łapy, pozbawione sierści, zakończone lśniąco niby masa perłowa szponami, luźno kołysały się w rytm jego kroków.

Konie rzeń zaczęły, dziewczyny Hanti piszczeć, a Ajro był przerażony.

- Panie! Coście zrobili?!

Kotołak ominął go, nie mówiąc żadnego słowa i ruszył w kierunku powozu. Szybkim ruchem położył Irian na siedzeniu przy żonie. Przestraszone służki natychmiast wyskoczyły stamtąd z dzikim wrzaskiem.

- Wracać mi tu, ale już! - krzyknęła na nie Hanti, odzyskując zimną krew.

Podeszły niepewnie, a Ksin odwrócił się do przewodnika.

- Mówiłeś, że ona do króla miała iść, tak, no to my teraz ją do pałacu weźmiemy...

Chłopu odjęło mowę, lecz również i Garo tępo wytrzeszczył oczy.

- Jakby tam jednej było mało... - wystękał zupełnie ogłupiały poseł.

- Nadworny mag waszą Irian się zajmie i może z powrotem przywróci jej ludzką postać. Dobrze umie on uroki zdejmować - wyjaśnił Ksin.

Ajro okazał więcej bystrości niż stojący za nim dworzani, bo po chwili już jego oczy spojrzały na kotołaka przytomniej.

- Skoro tak chcecie, panie, to czemu nie - powiedział spokojnie - radość we wiosce będzie, kiedy tam o tym rzeknę, ale co wy poczniecie, jak ona się dzisiaj po zmierzchu przebudzi. Przecie Irianka nigdy do pełni nie musiała czekać, by się z owego dziennego bezwładu podnieść...?

Ksin potarł grzbietem dłoni policzek i zmarszczył czoło.

- Znajdź nocleg dla nas, to tam pomyślimy - odparł.

- Jak każecie, panie, teraz donikąd nam już nie spieszno, tedy więc możemy do starej chałupy iść, co tu niedaleko stoi.

Pokazał kierunek i chwyciwszy za uzdę jedną z zaprzężonych do kolasy kłaczy, poprowadził ich w stronę chaty. Zaledwie zbczyli z drogi, od razu znaleźli się w takim gąszczu, że powóz utknął w nim już po kilkunastu krokach. Dalej ruszyli

dopiero wtedy, gdy Milan i Rino swoimi dwuręcznymi mieczami skosili wszelkie zawadzające krzaki i drzewa...

Z początku taka wędrownka zdawała się być zbyt mozolna, lecz Ajro wiedział jednak, co robi. Po pewnym czasie dobrnęli tam, gdzie grunt był bardziej kamienisty, dzięki czemu rosnące tu zielsko sięgało najwyżej do kolan i kłopoty skończyły się w okamgnieniu. Szybko ujrzeni dach opuszczonej chaty, a niebawem już szykowali się w niej do nadejścia nocy.

Teraz Hanti po krótkiej naradzie z Ksinem wzięła władzę nad grupą w swe ręce. Najpierw zapędziła do roboty gwardzistów, każąc im zbierać chrust i grzać wodę, po czym sama, z pomocą jednej służebnej, zabrała się za mycie Irian i odszorowywanie jej z warstwy dziesięcioletniego brudu.

W tym czasie druga dziewczyna przerobiła jedną z kobiecych szat, w którą ubrano strzygę zaraz po zakończeniu kąpieli. Wreszcie, czystą i pachnącą ziołami, Irian ułożono na przygotowanym wcześniej pościeliu w chacie.

Ajro i Garo patrząc na to wszystko, bez przerwy tylko przecierali oczy ze zdumienia, nie zdolni wykrztusić z siebie choćby jednego słowa. Tego było zbyt wiele, jak na ich zdolność pojmowania. Jedyne Alliro i reszta żołnierzy od dawna przyzwyczajonych zarówno do swego dowódcy, jak i do jego pomysłów, przyjęli rzecz całą spokojnie.

Pozostały czas upłynął im już na zwyczajnych w tych okolicznościach pracach, które skończyły się przed wieczorem. Konie zamknęli w pobliskiej szopie, a sami zasiedli do wieczerzy. Zachód słońca zastał ich jeszcze przy jedzeniu, dlatego tym razem skończyli je szybciej niż zwykle i pośpiesznie rozlokowali się w chacie. Większość wlaźła na strych, wciągając za sobą drabinę. Jedyne Ksin, Ajro i Hanti odważyli się w dole czekać na chwilę, w której Irian przebudzi się z podobnego do śmierci letargu.

Kotołak przykleknął najbliżej, bo jakieś trzy kroki od strzygi. Hanti stanęła za nim, a Ajro daleko pod ścianą. Z góry osiem par oczu z napięciem śledziło każdy ich gest albo słowo.

Ksin spojrzał na moment w bok.

- Otwórz drzwi i zostaw otwarte - polecił przewodnikowi.

Ten zrobił, co mu kazano i znów powrócił na swoje miejsce.

Na zewnątrz ciemność gęstniała z każdą upływającą chwilą.

Kilka woskowych świec od dawna paliło się w izbie, lecz owo mizerne światło nie rozpraszało do końca panującego tutaj półmroku. Długie cienie przedmiotów i ludzi drgały lub falowały lekko na ścianach i glinianym klepisku, a mętna szarówka zatarła kontury trwających w bezruchu postaci.

Irian zaczęła żyć...

Ksin wyczuł to, zanim zdążyła otworzyć oczy, i niemły chłód ogarnął go wzdłuż kręgosłupa. To co leżało przed nim, nie było jakąś tam zamienioną w potwora dziewczyną, tak jak mu się to dotychczas zdawało, ale najzwyczajniejszą strzygą gotową bez wahania wypatroszyć ich w tej samej chwili, w której taka myśl powstałaby w jej głowie. Zmysł Obecności nie potwierdził słów Ajra; kotołak nie znalazł żadnej różnicy pomiędzy nią a innymi upiorami....

Na ucieczkę lub gniew było już za późno. Ksin sprężył się, tłumiąc wściekłość na

siebie i zamarł ze wzrokiem utkwionym w Irian. Jediną bronią, jaką teraz miał, była jego krew, a sposób obrony polegałby na zmuszeniu upiorka, aby go ugryzła. Nie wiedział tylko, co zrobi w przypadku, kiedy zamiast kłów pójdą w ruch szpony...

Zerwała się tak szybko, że Hanti i Ajro nie zdążyli dostrzec jej skoku - był on jak błysk miecza tnącego powietrze. Już stała, opierając się tyłem o ścianę. Ostry, wibrujący syk przerwał panującą tu ciszę i narastał, przechodząc w złowieszczy skrzek. Rozjarzone blaskiem czerwonych oczu spojrzenie Irian błyskawicznie przemknęło po całej izbie i zatrzymało się na twarzy Ksina. Przeciągły, gardłowy dźwięk ścichł nagle o jakieś półtonu. Obecność istoty pokrewnej musiała ją bardzo zaskoczyć; raz jeszcze z uwagą przyjrzała się Hanti, przewodnikowi i znów zerknęła na kotołaka. Lekko przekrzywiła łeb. Zamknęła otwartą paszczę. Pazury wciąż drgały nieznacznie, ale łapy trzymała przyciśnięte do tułowia.

Nagle coś innego zajęło jej uwagę - suknia, popatrzyła po sobie. Czubki szponów dotknęły jedwabnej tkaniny. Przyszczypała kawałek i pociągnęła; pazury stuknęły o siebie.

- Irian... - poderwała łeb w górę i gwałtownie poruszyła uszami.

- Irian... - powtórzyła Hanti.

Momentalnie zwróciła się w stronę kobiety, wysuwając swe podkurczone ramiona do przodu. Ksinowi serce stanęło w gardle; gdyby teraz zaatakowała, to w żaden sposób nie zdołałby osłonić przed nią żony - Hanti była zbyt blisko! Jakikolwiek gwałtowny ruch z jego strony mógłby tylko pogorszyć sytuację.

- Irian... - w wyciągniętej ku strzydze dłoni pojawiło się zgrzebło, a ta z napięciem wpatrzyła się w ów przedmiot.

Kotołak zacisnął zęby; jeśliby właśnie w tej chwili Irian postanowiła odgryźć Hanti rękę, on byłby zupełnie bezradny...

Krótki i nagły skowyt poraził mu nerwy jak płomień. Strzyga w mgnieniu oka jakby rozplynęła się w powietrzu. Szum, jazgot i potężny łomot! Nie myśląc, nie patrząc na nic, poderwał się i w obłędnym, szaleńczym skoku przypadł do Hanti przywalając ją własnym ciałem...

Czekał na ból, zgrzyt rwanych mięśni, a zamiast tego usłyszał okrzyk zdumienia:

- Opamiętaj się! - zdławiony jęk rozległ się po tych słowach - omal mnie nie zabiłeś!

- C...c..., co się stało...? - wymamrotał bezmyślnie.

- No, złaż ze mnie! Patrz, jak się potłukłam... Przecież ona uciekła!

Uświadomił sobie, że cały jest mokry od potu. Bryła lodu powoli topniała mu gdzieś pod sercem.

- Ano uszła, panie, przez drzwi, przecie otwarte były... - Ajro potwierdził pośpiesznie.

Wstał, odetchnął głęboko i pomógł Hanti się podnieść. Patrzyli na siebie w milczeniu.

- Czy odszukasz ją jutro? - spytała nagle. Pokręcił przecząco głową - miał dosyć już tego wszystkiego.

- Może to i lepiej... - odpowiedziała, zamyślając się nieco - ale...

- Oj, za pozwoleniem, skoro aż tyle szczęścia mieliśmy, lepiej nie kusić znów losu - doradził przewodnik.

- Masz rację - przytaknął kotołak - chodźmy spać.

- Trzeba przygotować posłania, pomóż mi - odezwała się Hanti.

Ksin pochylił się nad jednym z leżących pod ścianą tobołów i zaczął rozsupływać oplatające go rzemienie.

- Panie... - ton głosu Ajra sprawił, iż momentalnie zeszywniał. Bardzo powoli obrócił głowę w kierunku drzwi...

Irian stała w progu ze wzniesionymi do góry szponami. Zupełnie cicho. Wtem zatrzeszczały deski! - To na strychu ktoś się gwałtownie poruszył.

Weszła do izby. Wolno, krok za krokiem, jakby nieśmiało zbliżała się ku Hanti... Przerobiona suknia zwisała z tej małej ofiary uroku, niczym luźno rzucona szmata. Żadnego wdzięku.

Ksin uspokoił się wreszcie, gdyż w całej postawie strzygi był raczej lęk lub niepewność, ale nie gniew.

- Więc ona nie przyszła tu walczyć... - przemknęło mu.

Stała przed Hanti i nagle przytuliła się do niej z jakąś dziecinną ufnością. Kobieta cofnęła się nieco, usiadła, a kiedy tamta ułożyła swój łeb na jej kolanach, sięgnęła po odłożone zgrzebło i zaczęła ją czesać. Irian zamknęła oczy, przyjmując pieczętę z nieśmiałym popiskiwaniami, a rozradowana Hanti z zachwytem spojrziała na Ksina.

- Jest nasza... - szepnęła do Ksina.

Ze strychu spuszczone drabinę i ukrywający się tam zaczęli schodzić na dół. Irian nie zwróciła na nich uwagi, nawet wtedy, gdy wszyscy skupili się wokół niej.

Zdumienie, podziw i zupełne zaskoczenie sprawiły, iż nikt nie zdobył się choćby na jedno słowo. Dopiero po dłuższej chwili Garo rzekł coś Ksinowi do ucha, a za moment obaj wyszli z chaty i przystanęli w pobliżu szopy, w której zamknięto konie.

- Więc o co chodzi? - zapytał kotołak.

- Kapitanie, czy Irian to nasz sprzymierzeniec? - zagadnął go poseł.

- Nie rozumiem...

- No, czy ona będzie walczyć z królową? Ksin wzruszył ramionami.

- A niby dlaczego miałyby to zrobić?

- Bo przecież..., ona to...

- To co?! - przerwał mu zniecierpliwiony kotołak - nie dlatego ją odnalazłem!

- Ale może..., no jakoś jej to wytłumaczyć...?

Ksin spojrział z politowaniem.

- Nawet gdyby to było możliwe - powiedział zimno - to wymyśl mi choćby jeden powód, dla którego dwie strzygi miałyby walczyć ze sobą. No czekam!

- Ja nie wiem...

- I ja też nie! - uciął krótko - I przestań wreszcie zaprzętać sobie tym głowę. Czas spocząć. Idziemy!

Nie patrząc na siebie, wrócili do chaty. Światła pogasły tam szybko i potem już tylko żar z paleniska cokolwiek rozpraszał mrok. Z czasem zasnęli wszyscy z wyjątkiem Hanti, która ciągle, miarowo rozczesywała włosy tulącej się do niej strzygi. Tak było do wschodu słońca, kiedy ta z powrotem zapadła w letarg.

Niebawem znów wyruszyli w drogę, a Hanti, trzymając na kolanach głowę Irian, drzemała, odsypiając ostatnią noc. Jadący tuż obok Ksin, CO trochę spoglądał na nie

zadumany.

- Więc jednak mamy córeczkę... - powtarzał sobie z niedowierzaniem.

## Ostatni pojedynek

Podróż przez Rohirrę, mimo iż na początku zdawała się być szaleństwem, opłaciła się im ogromnie. Nie tylko nic nie stracili, ale zyskali jeszcze, gdyż trwała ona o cały tydzień krócej w porównaniu z drogą, którą przebyli jadąc w przeciwną stronę. Dzięki temu do Katimy dotarli na dwie noce przed pełnią księżyca, a to szczególnie cieszyło Ksina.

Przez główną bramę miasta przejechali więc wczesnym rankiem osiemnastego dnia miesiąca Ryb i unikając zbędnego ryzyka zatrzymali się nie w pałacu, lecz w jednej z karczm. Jej właściciel, od kiedy wszyscy przyjezdni w popłochu opuścili stolicę, nie miał aż do tej pory jakichkolwiek gości i to sprawiło, iż przyjął ich tak, jakby byli przynajmniej wysłannikami stronnictwa do walki o zmniejszenie zbyt wysokich podatków. Od niego dowiedzieli się o tym, co zaszło w Kadmie po wysłaniu Gara i o strachu, z jakim mieszkańcy stolicy oczekiwali kolejnych poczynań Starej Królowej.

Mówił długo i tak pochłoneła go własna opowieść, że nawet nie zwrócił uwagi na podłużny tobół, który gwardziści ostrożnie wydostali z powozu i wnieśli do pokoju kobiet... Gdy skończył, Ksin natychmiast przywołał posła, pomówił z nim chwilę, po czym bezzwłocznie odprawił do pałacu.

Rodmin zjawił się niecałą godzinę później, zastając ich jeszcze przy śniadaniu. Hanti i kotołak od razu zerwali się na widok starego przyjaciela.

- Podobno macie dla mnie jakąś robotę? - zapytał mag po powitaniu.

- A żebyś wiedział... Zjesz coś? - Ksin zrobił zapraszający gest.

- Nie, ja już... - wymówił się szybko.

- A wina?

- Chętnie.

Hanti sięgnęła po dzban, napełniła i podała im kubki. Usiedli, zaczęli pić.

- Powiedz, co się tu porobiło... - zaczął Ksin. Rodmin spochmurniał nieco.

- Ona rządzi, a Redren potulnie jej słucha... - rzekł, odstawiając opróżnione naczynie - nie, nie dolewaj - odezwał się do Hanti. - Nauczyła go posłuszeństwa... - pokrótce opowiedział im o wydarzeniach w pałacu.

- A teraz mówcie, co tu za robota, ten człowiek gadał coś o urokach...?

- Wzięłeś swoje Przedmioty? - zapytał kotołak.

- Wiele mi ich nie zostało, ale mam kilka... - dotknął wiszącej przy pasie sakwy.

- Więc chodźmy! - oboje poprowadzili maga do izby na piętrze, a kiedy znaleźli się wewnątrz, Ksin zaryglował dokładnie drzwi.

- Tutaj... - Hanti odsłoniła baldachim nad łóżem.

- Cóż to jest? - Rodim popatrzył zdumiony.

- Odwiń... - rzucił kotołak.

- Czy wyście rozumiemy potracili!!! Ksin i Hanti jak na komendę przecząco pokręcili głowami. Magowi odjęło mowę.



- Ja... wszystkiego... po was, ale... - wykrztusił wreszcie -jeśli ktokolwiek się dowie..., tu całe miasto nocą boi się własnego cienia, a wy... Żywcem na strzępy i to gołymi rękami!

- Uspokój się i słuchaj! - kotołak niemal przemocą posadził go tuż przy Irian.

- Ona jest inna... - dalej mówił już z takim pośpiechem, jakby obawiał się, że Rodmin im stąd ucieknie... - i trzeba z niej zdjąć ten czar! - zakończył stanowczo.

Mag przez dobrą chwilę patrzył na nich zupełnie nieobecny wzrokiem.

- A jeśli się wyda... - zaczął znowu.

- Ty powiesz?! - Ksin przerwał mu ostro.

- Nie!

- No to nie ma zmartwienia. Do dzieła! Rodmin podrapał się w potylicę.

- Więc dobrze! A niech to diabli... - machnął ręką i spojrzał na strzygę.

- Pomóżcie mi ją rozebrać - rzekł spokojnie.

- Lepiej ja sama... - Hanti pochyliła się szybko nad posłaniem. Sprawnie ściągnęła sukienkę z Irian i naga ułożyła na wznak. Popatrzyła jeszcze, po czym odruchowo przyglądała jej rozczochrane przed chwilą włosy i cofnęła się, aby zrobić miejsce magowi. Ten przykleknął przy brzegu łoża i uważnie przyjrzał się małej, powoli sięgnął do sakwy.

- Rzeczywiście - stwierdził - przekleństwo nie przeniknęło ciała tak bardzo, jak to zazwyczaj bywa; w każdym razie nie widać tego na zewnątrz. Sprawdźmy... - wyciągnął srebrne wahadełko i wprawił je w ruch nad strzygą. Szepcząc coś, przenosił je w tę i z powrotem wzdłuż jemu tylko znanych linii. Ksin spostrzegł, jak zawieszona na Inianej nitce bryłka metalu wyraźnie zmieniała szerokość swoich wychyleń w zależności od miejsca, przy którym się znajdowała. I tak w okolicach dłoni lub raczej szponów hamowała gwałtownie, jakby coś ją ściągało w dół, a nad czołem i sercem przeciwnie; odpychanie było tak silne, że aż zaczynała miotać się niczym uwiązana pszczoła.

- Ho, ho, kto by pomyślał... - Rodmin cofnął rękę z wahadłem i wziął następną rzecz: była to niewielka kulka z bursztynu. Przez chwilę intensywnie pocierał ją o rękaw jedwabnej koszuli, a gdy skończył, nieznacznym ruchem rzucił ją w stronę Irian.

Miodowozłoty pocisk, mimo iż mknął prosto na nią, nagle wykrzywił swój lot, zboczył i upadł w pościel...

Mag odwrócił się do Hanti i Ksina.

- Drugi raz w życiu widzę coś podobnego - powiedział - ty byłeś tym pierwszym... - dodał, spoglądając na kotołaka.

Jest tak, jak u ciebie. Jeśli, rzecz jasna, pominąć mniej istotne różnice. To zgrabne połączenie umysłu całkiem zwyczajnej dziewczyny z większością typowych cech demona. Ja mówię „zgrabne”, ale ten kto jej to zrobił, prędzej widziałby w tym swój błąd, gdyż jeśli to miała być zemsta, nie należało dopuścić, aby pozostały w niej wspomnienia z poprzedniego żywota. Znać, że robił to początkujący czarownik i na rzeczy dość dobrze się nie znał.

- To była kobieta - sprostowała Hanti.

- Ach tak... - Rodmin najwyraźniej myślał już o czymś innym.

- Więc nie powinieneś mieć teraz żadnych trudności! - zawołał Ksin.

- Zaraz, zaraz... - mag zgasił jego entuzjazm - nie wiem jeszcze, na czym opiera się w niej działanie owego uroku. U ciebie jest to część zwierzęcej natury, a ona zdaje się była człowiekiem pełnej krwi...

- Tak, masz rację... - kotołak spowaźniał nagle.

- Teraz musimy to zbadać, na szczęście został mi jeszcze jeden... - pokazał im smukły, przejrzysty jak szkło sześciograniasty kryształ. Jego obydwie końce zeszlifowane były w ostre, mieniające się wszystkimi barwami tęczy, szpice. Z daleka wyglądało to tak, jakby po obu stronach płonęły kolorowe ogniki. Rodmin uchwycił go dwoma palcami i ostrożnie przybliżył do Irian...

Przejmujący, wysoki ton zabrzmiał w zapadłej ciszy i szybko przybierał na sile. Dźwięk wibrował, gdy mag zaczynał kołysać ramieniem i milkł, kiedy je cofał. Zmieniał się również nad każdą częścią ciała strzygi, w miarę jak Rodmin przesuwiał go ponad nią.

- Przekleństwo! - parsknął niespodziewanie - Zobaczcie! - stanowczym ruchem przyłożył kryształ do czoła Irian.

Przeraźliwy wizgomal nie zwałił ich z nóg. Za moment przestali go słyszeć, lecz nim jednak zdolali sobie to uświadomić, od strony okna rozległa się seria szybkich, gwałtownych trzasków. Spojrzeli: niektóre spośród wprawionych tam szklanych płytek pokryła sieć białych pęknięć...

Aszsz...!!! - Rodmin zasyczał z bólu i natychmiast, rzuciwszy w kąt kamień, zaczął dmuchać na oparzone opuszki palców.

- Nic z tego! - burknął po chwili.

- Co jest?! - zapytał Ksin.

- Nie dam rady, nie mogę zdjąć tego uroku.

- I ty to mówisz! - wybuchnęła Hanti. Mag przestał wymachiwać dłonią i uważnie popatrzył gdzieś w bok.

- O, macie go! - podszedł i czubkiem buta trącił leżący na podłodze kryształ...

Klejnot był martwy. Stracił poprzednią przejrzystość, pociemniał, stał się brudnoszary, a jego końce nie skrzyły się już barwnym światłem.

- Tylko swoista Moc mogła zrobić z nim coś takiego - wyjaśnił - znaczy to, że zaklęcie było jednowymawialne, a więc odczynić może wyłącznie ten, kto je rzucił...

- Ale tamta nie żyje!

Rodmin rozłożył bezradnie ręce, Hanti usiadła, a Ksin zaczął krążyć po izbie.

- I nie ma innego sposobu? - odezwał się wreszcie.

- Sposób to zawsze jest, tylko trzeba go znać - odpowiedział mag.

- Ale może byś jednak spróbował... - zaproponowała Hanti.

- Na oślepie?

- Właśnie.

- Nie. Ryzyko za wielkie. Prędzej bym ją rozsrożył, niż odczarował. Trudno, wychodzi na to, że powinienem przeprosić cię owej wiedźmy...

- Za co?! - zirytował się Ksin.

- No jak to, powiedziałem przecież, że nie znała swojego rzemiosła!

- Lepiej byś coś wymyślił!

- Niby co? To beznadziejny przypadek. Nic tutaj nie wskóram, a tobie radzę, byś przestał zaprzętać sobie tym głowę, zapomniałeś dlaczego tu jesteś? Aha, skoro już o

tym; Redren chce z tobą mówić. Będzie czekać w południe.

Kotołak popatrzył przez okno.

- To już niebawem - odrzekł.

- W takim razie pójdziemy tam razem - Rodmin ruszył w kierunku drzwi.

- Jak długo jeszcze macie zamiar ukrywać Irian? - zagadnął, kiedy znaleźli się na ulicy.

- Nie zastanawiałem się nad tym - odparł Ksin

- myśleliśmy, że będzie można wyzwolić ją od Onego, lecz teraz sam nie wiem.

Może ukryjemy w Samni albo gdzie indziej..., a może jednak znajdzie się ten sposób...

- Na to nie licz, nie warto mieć złudzeń. Moja sztuka trwa od przeszło tysiąca lat i przez cały ten czas nigdy nikomu nie udało się złamać reguł mocy swojej, choć mówią, że można, ale to tak, jakby szukać jednego drzewa w wielkiej puszczy...

- O! To jeszcze umiałbym...

- A ziarenka piasku na pustyni?

- Już nie... - kotołak posmutniał.

- No widzisz..., tak z tym jest.

- Więc zostawmy to wreszcie. Jak tam moja gwardia?

- Ksin zmienił temat.

- Zbiesiły się łajdaki i trudno się im dziwić; Redren ugiął karku, to i dali posłuch mocniejszemu. Od tamtej pory król jest dla nich jak dym: kiedy w oczy nie lezie, to i nie ma się czym przejmować! Stracił poważanie i tyle. Dopiero dzisiaj, kiedy usłyszeli, że już wróciłeś, zaczęli się trochę miarkować, bo nie wiedzą jeszcze, czym się to wszystko skończy...

Do pałacu dotarli jakieś pół godziny później. Pozornie nic się tu nie zmieniło; strażę, które mijali, jak dawniej oddawały honory, a napotkani dworzanie równie chętnie odpowiadali na słowa powitania lub wymieniali ukłony. Nikt ani odrobinę nie uchybił zasadom etykiety, lecz w każdym oczach Ksin widział zawsze ten sam utajony błysk; jedno krótkie, lustrujące spojrzenie - patrzyli zimno, niczym widzowie na gladiatora, ważąc jego szansę i myśląc na kogo postawić...

Redrena zastali w niewielkiej, raczej niegodnej króla komnacie. Władca był sam, jeśli nie liczyć drzemiącej mu na kolanach puszystobiałej kotki, i siedział w bogato rzeźbio-

nym fotelu. Gdy weszli, odłożył jakieś przeglądane właśnie papiery, po czym skinął uprzejmie głową. Chciał coś rzec. ale nie zdążył...

Królewska faworyta obudziła się natychmiast w momencie, w którym Ksin stanął w progu i zwróciła na niego swe piękne przejrzystobłękitne ślepka. Uniosła łepkę, a z jej zgrabnego, szlachetnie ukształtowanego pyszczka wydostało się krótkie i pełne zachwyty miauknięcie. Już stała gotowa, sprężona do skoku na podłogę, gdy nagle Redren odruchowo przytrzymał ją za kark...

Wściekłe, przeciągłe prychnięcie było właśnie tym, co nie dało królowi dojść do słowa. Rozjuszona kocica bezceremonialnie ugryzła monarchę w palec i wyrwawszy się śmignęła w dół, prosto do nóg kotołaka. Zaczęła ocierać się o nie z gardłowym, entuzjastycznym mraukotem, okazując mu tym sposobem swoją najgłębszą aprobatę...

Zapanowała zupełna konsternacja. Redren zaniemówił, mag zaczął gryźć wargi, a sam Ksin stał i z widocznym wysiłkiem próbował zachować obojętny wyraz twarzy. Dopiero po dłuższej chwili, kiedy kotka bynajmniej nie zamierzała przestać, przyklęknął i wzięwszy ją w dłonie, zaczął delikatnie masować jej szyję i grzbiet. Zwierzątko zwiotczało nagle, a on wstał, przeszedł kilka kroków i ułożył je na stoliku Redrena.

- Obudzi się za jakąś godzinę lub dwie... - wyjaśnił, unosząc głowę.

Król z trudem przypomniał sobie to, co miał zamiar powiedzieć wcześniej.

- Więc cóż, siadajcie... - odchrząknął znacząco.

- Jakie będą rozkazy, panie? - zapytał Ksin.

- Żadnych rozkazów - odparł Redren - masz wolną rękę, rób co chcesz, byle prędko! Możesz nawet i teraz zacząć. Dość błazeństw!

- Czy mam odszukać jej kryjówkę?

- Tak, a potem spal, rozszarp, zadźgaj, zresztą sam najlepiej wiesz, co masz zrobić! A ja już się zajmę tym przeklętym bydłem... - Tygodnie upokorzeń sprawiły, iż władca przestał nagle panować nad sobą - tu wszystko buntuje się przeciw mnie, nawet takie o... - zamierzył się na kotkę i byłby ją strącił ze stołu, lecz powstrzymał go jeden krótki błysk oczu Ksina...

- Za pozwoleniem. Wasza Wysokość - pośpiesznie wtrącił się Rodmin - obawiam się, że w ten sposób mc nie zdziałamy.

- A to dlaczego? - Przecież on wywęszy ją choćby i przez trzy ściany!

- To nie węch panie...

- Nieważne! Więc czemu nie?!

- Bo trzeba jeszcze znać drogę przez owe ściany, Wasza Wysokość.

- Młotami je przebijemy!

- Tak, i pół zamku zawali się nam na łby! - mag zaczął już tracić cierpliwość.

- Nie podnoś głosu, Rodmin - król oprzytomniał wreszcie - ale może jednak się nie rozleci?

- Nie sędzę, aby Starzy Majstrowie nie przewidzieli czegoś tak prostego, Wasza Wysokość, a po drugie wszystkie mury są tu tak grube, że na ich rozbicie może nie starczyć dnia..., czy mam dalej mówić?

- Nie, dosyć. Więc zgoda, ale co czynić w takim razie?

- Zaczekajmy, aż sama stamtąd wylezie - zaproponował Ksin.

- I co wtedy?

- Jeżeli będzie to w czasie pełni, to niechaj rozstrzygną szpony... - po tych słowach ogarnął go nagle jakiś dziwny chłód i takie niejasne, nieokreślone poczucie nieodwracalności... Nigdy dotąd nie czuł czegoś podobnego przed walką...

- Ja jestem gotów! - stanowczo zdusił ów zaczadzający mu umysł ponury opar i spokojnie popatrzył w oczy króla.

- Dobrze, zgadzam się - odrzekł z namysłem Redren - a teraz mów, co tam na pograniczu...

Reszta dnia, aż do wieczora, upłynęła im już bez zmartwień. Najpierw Rodmin wyniósł uspioną kotkę do sąsiedniej komnaty, a potem Ksin opowiadał o wszystkim, co wydarzyło się w Dinie, a oni słuchali z uwagą, od czasu do czasu zadając różne pytania. Jediną kłopotliwą rzeczą mogła tu być sprawa Irian, ale kiedy kotołak

dochodził już do wydarzeń, które zaszły w puszczech Rohirry, Redren sam kazał mu skończyć.

- Ściemnia się - stwierdził - a lepiej, żeby cię w zamku po zachodzie słońca nie było, wracaj do siebie.

- Tak, panie! - Ksin wstał, skłonił się i zniknął za drzwiami. Do gospody wrócił najkrótszą drogą.

Podczas jego nieobecności nie działo się tam nic szczególnego. Kobiety siedziały u siebie, a gwardziści, jak zwykle, biesiadowali w głównej izbie. Jedynym nie pijącym wśród nich był Alliro, który zgodnie z rozkazem pilnował, aby żaden z pozostałych nie stracił umiaru i nie powiedział za dużo...

Na widok dowódcy natychmiast podnieśli się z ław, lecz on nieznacznym gestem pozwolił im zająć poprzednie miejsca i nie mówiąc nic, od razu poszedł na górę. Tam zamknawszy okna i drzwi od komnaty, razem z Hanti zaczął czekać, aż Irian przebudzi się z letargu, a potem przez pół nocy wszyscy troje bawili się razem w najlepsze.

Rozigrana strzyga śmigała po pokoju jak skra, a oni, najczęściej bez powodzenia, usiłowali schwytać ją w szeroko wyciągnięte ramiona. Dość łatwo zdołali wytłumaczyć jej, że tym razem powinna zachowywać się cicho i nie skowyczeć, więc teraz radość po każdej udanej ucieczce lub zwodzie okazywała klekocząc gwałtownie szponami, co w pewnym stopniu przypominało klaskanie. Natomiast kiedy Hanti, którą najprędzej zmęczyły te dzikie harce, siadała, aby nieco odpocząć, wtedy Irian od razu przybiegała do niej, dopominając się o swoją najbardziej ulubioną pieszczotę, czyli rozczesywanie włosów.

Na kilka godzin przed świtem Hanti i kotołaka zastąpiły obie dziewczyny służebne, dzięki czemu oni mogli iść spać, a strzyga nie pozostała bez opieki.

Ksin po zabawie z Irian i należyтым zadbanie o Hanti miał teraz ogromną chęć na to, aby spać przynajmniej aż do południa. Jednakże, zaledwie zdążył pograżyć się w leniwym strumieniu marzeń i obrazów, jakaś ręka brutalnie wyciągnęła go z powrotem na powierzchnię rzeczywistości.

Otworzył oczy: był ranek, a nad nim pochylał się Alliro, szarpiąc go mocno za ramię.

- Wasza Dostojność, kapitanie!

- Czego tam?! - warknął.

- Król przyszedł i mag Rodmin też.

Oprzytomniał w okamgnieniu.

- Gdzie oni?

- W izbie obok.

- A Irian?!

- Panienkę już oglądali...

Ksinowi zaschło w gardle. Ubrał się błyskawicznie, wybiegł z sypialni i jak pocisk wpadł do komnaty Irian; Re-dren opuszczał właśnie odchyloną wcześniej zasłonę nad jej posłaniem.

- Panie...

- Spokojnie, nie obawiaj się, zdążyłem już przyjąć do wiadomości, że strzyga strzydze nie równa... Więc wchodź i zamknij te drzwi.

- Koniec z żartami - rzekł Rodmin ze śmiertelną powagą - tej nocy ONA

przekazała mi swoje nowe rozkazy.

- Jakie...? - kotołak ochłonął nieco. W tej chwili myślał tylko o Irian i wyrozumiałości Redrena, a nowinki z pałacu niewiele go obchodziły.

- Dziś wieczorem mamy wysłać do labiryntu co najmniej pół setki dziewcząt i młodych kobiet, niekoniecznie dziewic. Czy pojmujesz, co to oznacza?

- Sądzę, że tak...

- No właśnie, więc co zamierzasz?

Ksin uspokoił się całkiem i z uwagą spojrział na maga.

- Oczywiście, nikogo tam nie pošlemy... - zaczął.

- Jeszcze by tylko tego mi brakowało! - przerwał mu rozeźlony Redren - motłoch z miejsca rozniósłby mnie razem z pałacem i gwardią, gdybym choć jednym słowem ośmielił się ogłosić, iż przystaję na ten warunek! Ale z drugiej strony, jeżeli tych bab nie pošlę, to ona sama osobiście pofatyguje się do mojej sypialni, aby stworzyć mi jedyną w życiu możliwość obejrzenia mej własnej wątroby... - dokończył z rezygnacją.

- W takim razie nie powinna zastać króla w pałacu - stwierdził kotołak.

- To wtedy zabije innych...

- No cóż... - rozłożył ręce - to prawda, ale jednak z tego, co wczoraj zdążyłem zauważyć, wynika, że Wasza Wysokość nie żywiłby do niej z powodu takiego czynu jakiejś wyjątkowej niechęci...

- Ech, Ksin... - Redren pokręcił głową - kawał drania z ciebie, ale rację to ty mimo wszystko masz; ta banda dawno już zasłużyła na porządną nauczkę...

- Wątpię - odezwał się Rodmin.

- Ale w co? - zapytał król.

- W to, aby w pałacu mogła zrobić krzywdę komukolwiek poza Waszą Wysokością. Na razie jeszcze, ludzie są jej potrzebni, więc nie uczyni niczego, co zmusiłoby ich do ucieczki. Raczej poczeka do pełni i urządzi znów jatkę w mieście...

- A ja zaczekam na nią przed wejściem do pałacowych ogrodów! - zawołał Ksin.

Redren aż zatarł ręce z emocji.

- Więc mamy to, o co nam wczoraj chodziło! Wywabimy ją z lochów, a ty Ksin pokażesz jej powrotną drogę do piekła!

- Tak, panie...

- A zatem wszystko jasne - podsumował władca.

- Idziemy - skinął na Rodmina - a ty... - spojrział jeszcze w stronę kotołaka - wracaj do łoża, bo zdaje mi się, że nie zamierzałeś tak wcześnie dziś wstawać.

- Tak Wasza Wysokość, do zobaczenia. - Kiedy drzwi zamknęły się za tamtymi, Ksin poślinił grzbiet swojej prawej dłoni i przetarł nią piekące po przebudzeniu oczy. Teraz już wcale nie miał ochoty spać.

Zszedł na dół i kazał podać sobie śniadanie. Zjadł je, a potem, zaszywszy się w kącie sali, zapadł nad kuflem, piwa w jakieś na wpół senne odrętwienie. Nie miał nic do roboty, pozostało już tylko czekanie: dwa dni i jedna noc.

Myśli płynęły leniwie; wspomnienia, plany, pomysły lub też zawile szeregi skojarzeń. Wszystko to pojawiała się gdzieś w nim, wewnątrz, zmieniało, snuło i rozpływało.

Chwilami miał wrażenie, jakby on sam również przestawał istnieć. Rzeczy i

sprawy dziejące się wokół niego oddaliły się teraz, zbladły, zszarzały i zobojętniały mu całkiem. Był tu i nie było go jednocześnie. Kilka godzin później Hanti usiadła tuż przy nim i podobnie jak on nie odezwała się ani razu. Czas mijał, a oni niekiedy wymieniali najwyżej krótkie spojrzenie czy uśmiech. Nic więcej nie chcieli i nie potrzebowali. Po prostu rozumieli...

I trwali tak aż do wieczora, a noc minęła im jak każda od trzech tygodni; to znaczy bawili się z Irian. Natomiast cały następny dzień spędzili zajęci sobą w łożu i oprócz własnych ciał nie interesowali się niczym i nikim. Wiele razy dobijano się do drzwi sypialni, lecz one ciągle pozostawały zamknięte. Dopiero nadchodzący zmierzch wymusił to nieuchronne rozstanie. Ksin ubrał się i wyszedł.

Bez broni, samotnie, w lekkiej, zwyczajnej szacie wędrował pustymi ulicami zamarłego ze strachu miasta. Przed nim w oddali i w gęstniejącym mroku rysował się wielki, czarny, na tle granatowo-łolowianego nieba, kontur królewskiego pałacu. Tylko w jego oknach pobłyskiwały światła, bo tu, dookoła, we wszystkich mijanych przez kotołaka domach za zawartymi okiennicami czaiły się jedynie ciemność i głucha cisza.

Dotarł tam, gdzie miał dojść i znieruchomiał. Stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach, czekając aż tarcza księżycy w całości wyjdzie zza linii horyzontu, a moment przed tym zdjął z siebie ubranie...

Wyczuli swoją obecność dużo wcześniej nim się zobaczyli.

- To ty? - nadpłynęło pytanie.

- Ja...

- Byłeś przy moim grobie, wiem...

Zaskrzypiała ogrodowa furтка. Wyszła. Zmierzyli się wzrokiem.

- Chodź ze mną, przydasz się...

- Nie!

- To czego chcesz?

- Nie pójdziesz tam...

- Zatrzymasz mnie?

- Tak.

Przystanąła wyraźnie zaskoczona.

- Głupcze! Ten komu ty służysz, uszedł przede mną z pałacu!

- Nieważne.

- Więc to tak; wysługujesz się ludziom!

- Ty rzekłaś...

- Wyśmiałabym cię za życia...!

- Więc spróbuj to zrobić teraz, bo przysięgam ci, że nikogo dziś nie zabijesz! - sprężył się do skoku.

\* \* \*

Rozochociona Irian nagle wypuściła z łap szmacianą piłkę, którą się dotąd bawiła i zastygła w zupełnym bezruchu. Stała sztywna, spięta, tak jakby w coś zasłuchana...

\* \* \*

- Zaczekaj! - powstrzymała go jeszcze - dlaczego tak czynisz? Czyżbyś postradał rozum? Jesteś demonem, a nie jednym z nich i masz tylko dwa wyjścia: albo nimi rządzić, albo pozwolić na siebie polować i w końcu zginąć!

- Ja umiem żyć między nimi.

- Bo z łaski ci na to zezwolili. Z łaski! Pojmujesz? A ty jesteś od nich mocniejszy, nie musisz ich słuchać, możesz rozkazywać, po co ci ich obawy, zasady i prawdy. Ty i ja jesteśmy ponad tym. A zresztą, według jakich praw można nas sądzić, i kto może to robić. Oni? Żalodne podpotwory. My możemy i musimy przekształcić lub zniszczyć to nędzne robactwo, bo inaczej drogi i tak przed takimi jak my nie ma i nigdy nie było!

- Mylisz się; była i jest.

- Jaka?

- Dla ciebie zamknięta na zawsze! Masz krew niewinnych istot na szponach...

- Ale ty możesz nią pójść? - w tym przekazie zadrżały jakieś złowrogie wibracje.

- Zapewne...

- To ja cię tamtędy pošle!!! - skoczyła z szybkością żmii.

Czekał na coś podobnego. Unik i świst pazurów. Runęła z łomotem waląc pyskiem o bruk. Nie zdążył poprawić ciosu - już wstała. Jej ramiona zamieniły się w mgliste, rozmyte smugi. On odpowiedział tak samo. Ta szermierka na szpony trwała zaledwie ułamek sekundy. Odkoczyli od siebie. Bark i bok Ksina zwilgotniały od krwi, ale i pomiędzy jego pazurami utknęły liczne strzępy z sukni i spowijających królową bandaży.

Zaczęli krążyć powoli, jedno wokół drugiego... Nagle on skoczył do przodu, w pół ruchu zwinął się w kłęb i przetoczył na bok. Raz jeszcze dała się zwięść. Uderzyła tam, gdzie go wcale nie było, odsłaniając się przy tym...

Szpony trafiły dobrze. Ten cios rzucił ją na kolana, a w łapach pozostał mu kawał jej boku. Jednak ona znów wstała tak, jakby nic się nie stało i tylko momentalny unik ocalił go przed utratą łapy.

Wycofał się na poprzednią odległość i poczuł, że wszystko na nic... Nie znał jej słabych stron! Ona przecież nie miała nawet serca! A całe to przekształcone w strzygę ciało nie żyło swym własnym życiem, lecz było zupełnie martwe.

Ramiona, nogi, głowa... - ich siła i szybkość ruchów nie pochodziły od mięśni, ale od animującej je Woli. Znaczy, że może ją szarpać, rwać, ile chce, jednak dopóki nie zniszczy źródła jej energii, z góry skazany jest na przegraną.

Dławiący skurcz chwycił go nagle za gardło - zrozumiał, iż walczy z czymś, czego nie można pokonać, jeżeli nie wie się, gdzie „to” właściwie jest!

- Jej mózg... - myślał szybko - tylko on..., a jeśli wydobyli go z czaszki w czasie balsamowania? To dalej leży w podziemiach... - odpowiedział sam sobie - w osobnej urnie...

A więc pomylił się, lecz teraz już nie miał wyboru. Musiał walczyć!

Ruszyła z wściekłą furją i dalsza walka nie trwała już długo... Ona mogła popełnić wiele błędów, ale Ksina zgubił ten pierwszy... Jeden nierozważny unik i zmieciony potężnym ciosem przeleciał kilkadziesiąt kroków w powietrzu i wyrznął o ścianę



jakiegoś domu. Niczym kłęb szmat bezwładnie osunął się po niej i z połamanymi łapami i żebrami legł nieruchomo na bruku.

Nawet nie spostrzegł, kiedy znowu do niego podeszła. Najwyraźniej nie miała zamiaru czekać, aż uleczy go światło księżyca... Okropny, mdlący ból przeniknął na wskroś przez brzuch. Coś pękło w nim z głuchym trzaskiem, a świat zakołysał się jak pijany.

Chwyciła kotołaka za tylne łapy, wywinęła nad łbem i uderzyła o ziemię jak cepem... Zachrzęściły łamane szczęki i wybijane kły.

Już nic nie bolało... Patrzył z zupełną obojętnością na krew buchającą mu ze zmiążdżonego pyska i wyciekającą z nosa różową pianę.

Strzyga powlokła go w stronę niewysokiego muru i tu raz jeszcze uniosła do góry...

Kręgosłup chrupnął sucho i Ksin przełamał się w pół. Teraz puściła. Przez chwilę spoglądała na niego zimno, po czym krótkim, dokładnie wymierzonym ruchem dźgnęła szponami jak kołkiem...

Pazury dosięgnęły serca...

\* \* \*

Irian ożywiła się nagle i z gwałtownym piskiem zaczęła ściągać z siebie sukienkę.

- Co robisz?! - wykrzyknęła Hanti - zaczekaj, zaraz, pomogę ci...!

Uwolniona od krępującej tkaniny strzyga podbiegła do okna i z rozmachem wbiła szpony w drewnianą ramę...

- Irian...!

Wyrwała je razem z framugą i zanim kobieta zdołała znowu otworzyć usta, zniknęła w powstałym otworze.

- Ir... - Hanti tknięta złym przeczuciem niedokończyła słowa. Jej twarz stężała. Momentalnie zrobiła zwrot w tył i wybiegła z komnaty.

Irian ze zwinnością łasicy skoczyła na dach ganku, a stamtąd wprost na ulicę i zaledwie dotknęła łapami ziemi, rozpląnęła się w srebrzystoszarym półmroku.

Pędziła szybko jak myśl, mijając domy, place, przesadzając parkany i płoty. Chmura rozwianych włosów sunęła za nią niczym ogon komety, a jej czerwone oczy płonęły zemstą i gniewem.

Przeciągły, wibrujący skowyt rozległ się w momencie, gdy wpadła na miejsce, gdzie przed chwilą walczył kotołak.

Stara Królowa wyczuwszy nową Obecność, przystanąła zdumiona. Drobną postacią śmignęła nad pobliskim murem, jak piłka odbiła się od ziemi i pomknęła wprost na nią...

- Ktoś ty?! Czego chcesz?!

Odpowiedzią był gadzi syk.

Irian nie знаła wcześniej sztuki stykania umysłów. A tego, czego zdążył nauczyć ją Ksin, zapomniała w tej chwili, toteż wszystko, co chciała teraz wyrazić, zawarło się w jednym potężnym wybuchu furii i zaciekłości. Była mniejsza, słabsza, lecz za to szybsza i już nic jej nie mogło powstrzymać.

Skrzek, wizg, błyskawice pazurów, kły... - nadnaturalny żywioł rozszalał się na

opustoszałej ulicy. Irian nie dała tamtej czasu na zdziwienie, po prostu zaczęła ją rwać w drobne strzępy, zręcznie unikając przy tym morderczych razów.

Ta mała strzyga nie wiedziała nic o zasadach animacji i to sprawiło, że wahanie nie odebrało jej, jak Ksinowi, pragnienia i nadziei zwycięstwa. Już w kilka chwil po pierwszym starciu odgryzła królowej lewy szpon i natychmiast, idąc za ciosem, chwyciła łeb tamtej w szeroko otwartą paszczę. Zacisnęła szczęki, uczepiła się pleców i pomimo rozpaczliwych wysiłków potwornej mumii nie pozwoliła się zrzucić.

Upadły na ziemię, zwinęły w drgający kłęb i potoczyły po bruku. Drugie ramię upiorzycy bez przerwy sięgało ku Irian, wyrывało jej włosy, raniło, lecz ona odpychała je ciągle, cały czas coraz mocniej i mocniej zaciskając zęby...

Czaszka królowej zachręściła nagle i pękła z trzaskiem, a jakaś mokra i lepka masa wypełniła pysk małej strzygi.

A więc ów żywy mózg, źródło siły i woli, ukryty był w tym zeschniętym, a rozgryzionym teraz czerepie! Znaczący, nie wydobyto go w czasie balsamowania zwłok. Ksin zwątpił zbyt wcześnie...

W ostatnim zrywie agonii poderwała się w górę, wstała, zachwiała się i razem z Irian runęła pod ścianę jakiegoś domu - wprost na drewnianą klapę zamykającą wejście do piwnic. Zgrzytnęły wyłamywane zawiasy, rozległ się huk, łomot i obie zniknęły w głębi mrocznej czeluści...

Zapadła zupełna cisza.

\* \* \*

Zdyszana Hanti wybiegła zza rogu jednej z kamienic mniej więcej o kwadrans później i stanęła, rozglądając się we wszystkie strony. Nie spostrzegła niczego. Nigdzie dookoła nikt dotąd nie zapalił światła, nikt nie uchylił drzwi. Była tylko noc, pustka i ona sama.

Postała tak chwilę, po czym zaczęła iść ze spuszczoną głową, wolno, przed siebie, bez celu...

Krzyki i tupot wielu nóg rozległy się w jednej z pobliskich ulic. Oprzytomniała, ruszyła w tamtą stronę.

Za zakrętem zamigotały pochodnie i ostrza broni. Gwardziści otoczyli ją i rozpoznali.

- Wasza Dostojność tutaj?!

- Gdzie kapitan?! Co z nim?!

- Co się tam działo?! - wykrzykiwali jeden przez drugiego.

- Przestańcie! Nie wiem, nic nie wiem... - zaczęła szlochać.

- Uwaga, król! - wrzasnął któryś. Rozstąpili się z wielkim pośpiechem, a Redren i Rodmin podeszli do niej za moment.

- Słyszeliśmy wycie, to nie był ani Ksin, ani tamta... - odezwał się władca - nie wiesz, co?

- Chyba Irian - odrzekła niepewnie.

- Ona?

- Uciekła mi.

- Rozumiem, ale co z Ksinem? Przecząco pokręciła głową.

- Panie, spójrz! - Rodmin wyciągnął otwartą dłoń, pokazując mu leżącą na niej jakąś dziwną poczwarkę.

- Co znowu?

- Rozwinęła się! Znaczy, że w pobliżu nie ma żadnego potwora!

- Jak to, przecież były aż trzy...?!

- Ale teraz już ani jednego...

- Oszalałeś... - zastanowił się jednak - z jakiej odległości to świństwo je czuje? - zapytał.

- Będzie przeszło pół miasta...

Z cienia wysunął się jakiś człowiek i podbiegł do grupki żołnierzy.

- Tam to..., o tam...! - zawołał drżącym głosem, pokazując kierunek.

- Co on plecie? - burknął Redren - dawać go tu! Dwaj gwardziści ruszyli do krzyczącego i przyprowadzili przed króla.

- Coś widział?

Tamten zamrugł oczami.

- Upiorzyce panie, gryzły się...

- Mów dalej!

- A potem to-ziemia je pochłonęła.

- Co takiego?!

- No, żebym tak żywy z baby nie wstał, prawdę mówię! Najpierw się żarły ze sobą, aż na ostatek pod ziemię zapadły...

- Prowadź!

- A...

- Szybciej! - ton głosu Redrena zgasił wszelki sprzeciw.

- Już, panie!

Kilka chwil później znaleźli się przed domem, obok którego zakończyła się walka obydwu strzyg.

- O, tu!

- Ty durniu, to przecież piwnica! Pewnie wpadły... - pomyślał. - Hej, wy tam, odszukać mi zaraz drugie wejście!

Gwardziści skoczyli do drzwi i nie czekając aż gospodarz przestanie się bać, sprawnie je wyważyli, po czym rozbiegli się po komnatach.

- Jest panie, znaleźliśmy! - rozległy się zaraz okrzyki.

- Trzech z pochodniami do mnie. Reszta pod ogrodową furkę!

- Redren przeszedł pośpiesznie przez próg, a za nim oprócz żołnierzy wcisnęli się Rodmin i Hanti.

Loch był dość obszerny, zastawiony rzędami beczek, baryłek oraz całymi stosami innych, najrozmaitszych rupieci.

- To powinno być tam... - król ruszył we wskazanym przez siebie kierunku - bo... - urwał nagle. - Prędko! Rod..., Hantińja... - niecierpliwym ruchem roztrącił jakieś zawadzające mu graty i gwałtowny rumor zagłuszył na moment jego dalsze słowa.

- ... martwa. Kim jest ta tutaj?! Hanti pochyliła się szybko i przyklękawszy, dotknęła włosów leżącej w kącie, nieprzytomnej dziewczyny.

- To Irian... - odrzekła głucho.

- Co...?! - Rodmin wyskoczył do przodu, niemalże potracając Redrena.  
- Rzeczywiście...  
- Ki diabeł! - zniecierpliwiał się władca - co się tu działo?!  
- Zabiła ją... - zaczął mag.  
- I ślepy by to zobaczył! - przerwał mu król - stara ma łeb strzaskany, a ta mała cała utyłana jej mózgiem! Hm... dziwne, że nie zasechł on w niej przez te siedem lat... Ale jak tamta...? Ona jest znowu człowiekiem... Czy żyje?  
- Tak, panie - Hanti zaczęła ścierać chusteczką stężoną białawą masę z twarzy Irian.  
- Jak to możliwe? - zwrócił się do Rodmina.  
- Nie jestem pewien. Wasza Wysokość - mag popatrzył uważnie - ale może bezwolnie przełknęła coś z tego, co miała w pysku i to sprawiło...  
- Panie! - krzyk i łoskot podkutych butów na piwnicznych schodach. W kręgu światła pojawił się jeden z wysłanych w stronę ogrodów żołnierzy.  
- Poszliśmy tam...  
- I co?!  
- Znaleźliśmy szaty, wiele krwi i to... - rozwarł zaciśniętą pięść, pokazując im kilka wyłamanych kłów...  
Rodmin sposepniał, a Hanti podniosła się bardzo powoli...  
- Czy to Ksina? - zapytał cicho Redren. Bez słowa skinęła twierdząco.  
- A gdzie kapitan Fergo? - znów spojrzał na żołnierza.  
- Tam go nie ma, panie.  
- Natychmiast wracaj, przeszukać całą okolicę!  
- Tak jest, panie! - skłonił się i wybiegł z piwnicy, król zamyślił się nieco.  
- Więc dobrze... - powiedział po chwili - wy dwaj... - skinął na stojących opodal gwardzistów - zanieście Irian tam, gdzie Hantinia wam każe, a wy... - przywołał innych - dopilnujcie, by szczątki naszej... - zająknął się lekko - ...matki ...znalazły się z powrotem w grobowcu. Ruszajcie!

Po tym ostatnim słowie w lochu gwałtownie zawrzało. Następne klamoty poleciały na ziemię, lecz już po krótkim czasie zapadła tam całkowita cisza. Rozkazy Redrena zostały wykonane. Przyniesioną do karczmy Irian umyto, po czym, wciąż jeszcze nieświadomą niczego, ułożono w łożu, przy którym usiadła Hanti.

Zszarzała i nieruchoma twarz kobiety nie wyrażała niczego i tylko jej oczy lśniły jakimś upartym i pełnym nadziei blaskiem. Czekwała...

Wieści od króla przyniesiono dopiero nad ranem. Żołnierze przetrząsnęli pałacowe ogrody, wszystkie okoliczne zaułki, piwnice, strychy i domy, ale zwłok Ksina n i g d z i e nie znaleziono...

## Pożegnanie

Irian obudziła się rankiem następnego dnia tak prosto i zwyczajnie, jakby to był tylko spokojny sen. Przemiana nie zatarła w niej wspomnień. Nie zapomniała niczego ani z czasów dzieciństwa, ani też z owych dziesięciu lat życia, po których pozostała jej na zawsze jedna wymowna pamiątka, a mianowicie oczy: czerwone i o perłowym połysku...

Później, przez pierwsze tygodnie, szybko przypomniała sobie zasady ludzkiej mowy i z zapalem uczyła się wszystkiego, co do tej pory było dla niej zamknięte i niedostępne. A kiedy od tamtej pamiętnej nocy upłynął pierwszy miesiąc, ona - moca królewskiej woli formalnie uznana za córkę Ksina i Hanti, a przez gwardzistów i dworzan zwana Różanooką - osobiście poprowadziła żołnierzy w głąb pałacowych podziemi w poszukiwaniu porwanych kobiet.

Odnaleziono je, a właściwie ich ciała, po kilku dniach i po wyniesieniu na zewnątrz spalono, albowiem wszystkie nosiły w sobie samo wyczuwane przez Irian piętno Przemiany.

Jedynym spośród uprowadzonych, którego nie spotkał los pozostałych, był ów nierozgarnięty karzeł, gdyż ten przepadł bez wieści, gdzieś w tej płataninie sekretnych przejść i korytarzy...

Następne dni i tygodnie upłynęły już w powszednim rytmie pałacowego życia. Rodmin odnowił pracownię, a Redren, oddawszy w ręce mistrza Jakuba kilkunastu dworaków, których bezczelność najbardziej dopiekła mu w okresie powtórnych rządów Królowej Matki, spokojnie powrócił do swojej ulubionej roli, starając się teraz uczynić wszystko, aby nadrobić cały ten stracony, jego zdaniem, czas, kiedy to bez przerwy zmuszany był do nieustannego myślenia i przewidywania...

Natomiast dla Irian nadeszła w końcu ta wymarzona chwila, w której z całym szacunkiem wręczono jej pierwsze w życiu zaproszenie na bal. Oniemiała ze szczęścia natychmiast pobiegła do własnej komnaty i nie wzywając służby, sama z zapalem zabrała się za przeglądanie i przymierzanie stosownych szat.

Po godzinie, zrzuciwszy z siebie kolejną, nie dość zadowalającą ją suknię, nie wzięła następnej, lecz pozostawszy nago, stanęła w bezruchu i powiodła wokół zamyślnym spojrzeniem.

Jej wzrok zatrzymał się na lustrze. Podeszła doń i wolno obróciła się przed nim, po raz już nie wiadomo który, z zachwytem podziwiając swoje nowe ciało. Ciągle jeszcze nie mogła się nim nacieszyć.

Pogładziła dłońmi ramiona, a później musnąwszy szczyty swych pełnych i jędrnych piersi, ogarnęła je szeroko rozwartymi palcami, jakby ważąc ich ciężar. Oparłszy ręce na biodrach, lekko zakołysała tułowiem, patrząc, jak harmonijnie falują w rytm ruchu. Na koniec dotknęła brzucha, delikatnie rozgarnęła paznokciami skrecone, białozłociste włosy pomiędzy udami i nagle szybkim gestem uniosła ramiona ku górze...

Twarcz ściągnęła się jej w wyrazie głębokiego skupienia i w tym momencie całą ogarnął ją skłębiony wir rozedrganego światła...

Przemiana nastąpiła w ułamku sekundy i teraz przed lustrem stała już czerwonooka, płowowłosa strzyga z gadzim wdziękiem przypatrująca się swemu odbiciu.

Porównanie musiało wypaść pomyślnie, gdyż zaraz komnata znów rozjarzyła się tajemniczym blaskiem i Irian spokojnie wróciła do dziewczęcych kształtów. Prócz niej tylko Hanti wiedziała jeszcze o tej niezwykłej zdolności i łatwości, z jaką przechodziła z postaci w postać.

Różanooka była naprawdę niezwykłą dziewczyną...

Zajęta strojami i własnym ciałem nie spostrzegła uchylających się drzwi, a

odczuwane już od jakiegoś czasu pewne niezwykle wrażenie uszło jej uwagi wśród radosnego podniecenia...

- Do licha ubierz się wreszcie! Jak długo mam tutaj czekać? - głos Ksina sprawił ją w zupełne osłupienie.

- Ojczy, to ty?! - błyskawicznie naciągnęła na siebie pierwszą z brzegu suknię.

- Tak, ja - odparł, wchodząc do komnaty. Z dzikim okrzykiem rzuciła się mu na szyję.

- Czy Hanti wie? - zapytała.

- Tak, właśnie od niej wracam.

- A Rodmin, król...

- Nie, oprócz was nikt mnie nie widział i nie zobaczy...

- Dlaczego?

- Za długo by mówić - machnął ręką.

- Ale, co to...? - Irian zmrużyła powieki - czuję cię jakoś inaczej...

- Boja nie jestem już kotołakiem, lecz elfem... Różowe oczy Irian rozwarły się bardzo szeroko, a Ksin wybuchnął śmiechem.

- No, nie patrz tak, po prostu Stara Królowa dotrzymała niechcący słowa...

- Nie pojmuję.

- Przed walką obiecała mi, że odmieni mój los i nie będę mógł obcować z ludźmi, a potem, kiedy już byłem w jej mocy, nie wyrwała mi serca, lecz tylko przebiła je pazurami i tym sposobem unicestwiła nie mnie, ale trwającą we mnie naturę kotołaka. Uległem więc Przemianie...

- I od razu przepadłeś bez wieści... - odrzekła z wyrzutem.

Ksin spoważniał.

- Wybacz, ale nie wolno mi o tym mówić. Uwierz mi, że przybyłem do was najszybciej, jak mogłem i tylko wy dwie możecie mnie zobaczyć.

- A jeśli ktoś inny... Pokręcił przecząco głową.

- Nikomu się to nie uda, jeżeli ja nie pozwolę mu na to. Tyle zdążyłem się już nauczyć...

- Ale dalej? Co z nami?

- Myślę, że kiedyś pójdziecie za mną... A co do ciebie, Irian, to sądząc po tym, co się tu działo przed chwilą, masz wielkie szanse na to, aby osiągnąć o wiele więcej niż ja...

Zarumieniła się aż po koniuszki uszu.

- Czy widziałeś mnie ojczy? - spytała trzepocząc rzęsami.

- Nie. Wyczułem, potrafię teraz o wiele więcej niż kiedyś, i to, jak przypuszczam, jeszcze nie wszystko...

Irian zamyśliła się nagle.

- Mówiłeś, żeby iść w twoje ślady, lecz jak? Ksin podszedł i łagodnie uchwycił ją za ramiona.

- Każdy odnajdzie tę drogę, jeśli tylko będzie tego naprawdę chciał - powiedział z powagą - pamiętaj... - ruszył w kierunku drzwi - wystarczy chcieć...

- Zaczekaj... - tyle pytań cisnęło się jej na usta, tak wiele chciałaby wiedzieć! - Nie odchodź tak, proszę! Ja nie... - wybiegła za nim na pałacowy korytarz, ale Ksina nie było już tutaj.

Światło kilku samotnych pochodni uparcie zmagало się z napierającym ze wszystkich stron mrokiem, a blade, bezkształtne cienie leniwie pełzały po ścianach i posadzce.

- Wybaczcie mi, że musiałem tak odejść, że nic wam nie mogę rzec - nadpłynęły skądś bezdźwięczne słowa - przebaczcie mi, żegnajcie... - subtelny, łagodny ślad Obecności rozpląnął się i gdzieś przepadł. Irian została sama.

Jakiś czas trwała tak, blada, w niedopiętej sukni, nie wiedząc, co z sobą począć, aż wreszcie ożywiła się nieco i powróciła do siebie.

Wolno, nie patrząc na ręce, zaczęła poprawiać swój ubiór. Sięgnęła po klejnoty. Ten gest zamarł w połowie ruchu. Bunt rozgorzał w niej nagłym płomieniem... i zgasł równie szybko, jak się pojawił. Uniosła głowę, rozchmurzyła czoło.

- Przecież nic nie jest jeszcze zamknięte lub przesądzone! - pomyślała i już spokojna uśmiechnęła się szeroko, bardzo szeroko...

KONIEC

Warszawa-Bielice, 1988-1989 r.